



Anita Shreve

TRUDNE DECYZJE

Tytuł oryginału: Change in Altitude

Przełożyła Alina Siewior-Kuś



TLR

Dla Ginger Barber

Część pierwsza

TLR

- Wyruszamy na Kenię. Nie w tę sobotę, tylko w następną - powiedział Patrick, wchodząc do pokoju gościnnego w Wielkim Domu, dokąd przeprowadzili się po awarii kanalizacji w małym domku.

Mówił o wyprawie bez zadęcia, jakby chodziło o proszoną kolację. Byli młodzi, mieli po dwadzieścia osiem lat. Przyjechali tu trzy miesiące temu.

Pomimo upału koszula Patricka wciąż zachowała ślady zaprasowania. James, którego czarna twarz połyskiwała na niebiesko, wyprał ich rzeczy w wannie, wysuszył i wyprasował. Nawet równik nie mógł dać rady jego kantom.

Patrick postawił na podłodze aktówkę i torbę lekarską. Z szacunku dla swojej pracy zgolił brodę, za to czarne włosy miał dłuższe niż większość mężczyzn.

- Wszystko załatwia Arthur. Wejście na szczyt zajmie cztery dni. Tragarze poniosą zapasy żywności i sprzęt.

Kiedy toaleta w domku Margaret i Patricka odmówiła funkcjonowania, przeprowadzili się tymczasowo do gospodarzy, Arthura i Diany, którzy mieszkali sześćdziesiąt metrów dalej w tak zwanym Wielkim Domu.

- Będziemy rozbijać obozowisko? - zapytała Margaret.

- Tam są szałas.

Za kilka minut powinna zacząć się przebierać do kolacji. Pod dłonią wyczuwała wyraźne szwy na białej poszwie.

- Muszę sobie kupić buty do wspinaczki.

Za oknem śpiewały ptaki; ucichną w chwili, gdy o tej samej godzinie niezależnie od pory roku, zima czy lato, dzień ustępuje nocy. W Afryce Margaret często czuła się oszołomiona, jakby przeraźliwy blask ranił ją w oczy.

- Kto pójdzie?

- Arthur i Diana, ty i ja. Arthur mówił o jeszcze jednej parze, ale zapomniałem, jak się nazywają.

- Będiesz mógł wziąć wolne?

Patrick wzruszył ramionami - miał elastyczne godziny pracy. Usiadł obok Margaret na skraju łóżka, robiąc w miękkim materacu głębokie V. Pomimo upału nosił długie spodnie, kolejny gest szacunku. W Kenii Afry-

kańczy w garniturach wychodzili z glinianych chat, by prowadzić *mata-tu*, miejscowe minibusy, sprzedawać złom lub kroić mięso. Swobodny strój oznaczał przechwalanie się własnymi umiejętnościami oraz upodobanie do amerykańskiego stylu życia. Tylko amerykańscy i niemieccy turyści ubierali się jak dzieci.

- Wszystko w porządku? - zapytał Patrick.

Miał błękitne oczy, wrażliwe na słońce. Na zewnątrz zawsze nosił ciemne okulary.

- W porządku - odparła Margaret.

- Jesteś jakaś cicha.

- Jak minął ci dzień?

- Prawie cały czas byłem w szpitalu.

Ten dom działał z precyzją zegarka, ale byli gośćmi Diany i Arthura od pięciu dni, bo sprowadzenie solidnego hydraulika okazało się dość skomplikowane. Najpierw trzeba było posłać mu wiadomość (nie miał telefonu) i opisać problem, następnie dobić targu co do zapłaty i zorganizować transport. Hydraulik, któremu Diana ufała, podobno pojechał do żony do Limuru. Nie wiadomo, kiedy wróci.

Margaret miała ochotę zapytać, czy nie można wezwać innego hydraulika, ale okazałaby swoim gospodarzom brak wdzięczności - w końcu przyjęli ich pod swój dach i karmili.

- O siódmej. - Margaret miała na myśli kolację. Patrick zapytał, czy chodziła po górach, i ujął ją za rękę.

Często brał ją za rękę, nie tylko wtedy, gdy zostawali sami. Gest ten oznaczał: „nagle o tobie pomyślałem”.

Chociaż byli razem od dwóch lat (pobrali się pięć miesięcy temu), niewiele o sobie wiedzieli. Margaret powiedziała, że kiedyś weszła na Monadnock, jeden z niższych szczytów Nowej Anglii. Patrick wspominał, jak podczas ostatnich wakacji w liceum wspinał się na górę Cadillac w Maine, żeby czwartego lipca zobaczyć wschód słońca. Dodał, że to tam na amerykańską ziemię padają pierwsze promienie słońca.

Zapytała, czy wspinaczka była trudna.

-Wcale nie.

Do sypialni dotarł wstrętny zapach gotującej się koniny. Margaret wiedziała, że nigdy się do niego nie przyzwyczai. Mięso przeznaczone było dla psów.

- Potrzebujemy, sama nie wiem, jak to ująć, instrukcji? - zapytała.

- Arthur na pewno wszystkim się zajmie.

Ciekawe, czy Diana zabija swoje konie, pomyślała Margaret, ale uznała, że nie: przecież człowiek za bardzo przywiązuje się do koni, żeby odbierać im życie. Pewnie James rano kupił mięso na *duka*, krew przesiąkła przez „Kenya Morning Tribune”, w którą je zawinięto. Niewiele chyba się różniło od wołowiny, którą Margaret kupiła dla Patricka i siebie; steki były zbyt świeże, krwiste, a przez to twarde, o wyrazistym zwierzęcym smaku.

- Jak wysoka jest Kenia?

- Prawie cztery tysiące dziewięćset metrów.

- Niecałe pięć kilometrów.

- My już znajdujemy się prawie półtora kilometra ponad poziomem morza. Myślę też, że urwiemy trochę wysokości, podjeżdżając pod górę.

- Kilimandżaro jest wyższe?

- Wyższe, ale łatwiejsze. Odnoszę wrażenie, że na tamten szczyt po prostu się idzie, zataczając wielkie kręgi. Trochę to trwa, ale większość amatorów daje sobie radę. Podobno to dość nudne.

Patrick zdjął zabłocone buty z brązowej skóry. Jeśli wieczorem zostawił je przed drzwiami, rano były wypucowane.

- My nie pójdziemy?

- Będziemy się wspinać. Część trasy jest trudna. Margaret wyobraziła sobie wyładowanego sprzętem landrowera Diany, jadącego przez połyskliwe jasnozielone plantacje herbaty, które widywała tylko z oddali.

Pokój gościnny wyglądał tak, jakby zaprojektowano go dla pisarza albo uczonego. Margaret czasami siadała za ciężkim rzeźbionym biurkiem, na którym stała stara maszyna do pisania Olivetti. Raz spróbowała na niej pisać, krzywiąc się przy każdym ostrym stuknięciu klawiszy; to było tak, jakby poprzez tatuaż próbowano przekazać delikatne i kruche przesłanie.

Fotel przy biurku był zabytkowy, rzeźbione poręcze pokrywała niemal srebrna patyna. Na ścianach wisiały fotografie ludzi, których Margaret nie

znała, drewniana tarcza przypuszczalnie używana niegdyś do obrony podczas bitwy oraz ułożone promieniście włócznie. Sądząc ze stanu, oprawne w skórę książki były często czytane. Margaret wyobrażała sobie, jak pierwsi mieszkańcy domu, dla których książki stanowiły jedyne dostępne w Nairobi słowo pisane, czytają je wciąż od nowa przy świetle lampy. Czasami brała którąś do ręki.

Po drugiej stronie pokoju znajdowała się toaletka w rodzaju tych, które widuje się w starych filmach, na szklanym blacie stał rząd flakonów z rżniętego kryształu, ze srebrnymi zakrętkami. Może pokój należał kiedyś do rodziców Diany? To oni zbudowali dom pod koniec lat czterdziestych dwudziestego wieku. Przyjechali tu z Anglii po wojnie, żeby spróbować swoich sił w hodowli koni. Margaret wzięła zdjęcie małżeństwa w eleganckich strojach - oboje wyglądali tak, jakby wybierali się na przyjęcie do Muthaiga Club. Twarz mężczyzny była ogorzala, na twarzy kobiety gościł słodki uśmiech. Podobno Diana w dzieciństwie ciągle słyszała, że jest podobna do ojca jak dwie krople wody.

Margaret przypomniała sobie historię młodego Masaja, którego amerykański dobroczyńca zaprosił do Nowego Jorku, by chłopak w wielkim mieście wypróbował swoją wrodzoną inteligencję i spryt. Dwa miesiące po przyjeździe młodzieniec wyskoczył z okna mieszkania na dziesiątym piętrze. Serce Masaja musiało płakać z żalu za doliną Rift, myślała, albo szara geometria miasta odebrała mu zmysły. Historia miała stanowić przestrożę, chociaż Margaret nigdy nie była do końca pewna, przed czym właściwie przestrzegała. Człowiek nie powinien opuszczać swojego środowiska? Bo jeśli to uczyni, w każdej chwili może popaść w szaleństwo?

Już teraz wszystko wskazywało na niemożność adaptacji. Pewnego razu wyjechali na długi weekend do Serengeti; po powrocie przekonali się, że całe wyposażenie ich sypialni zniknęło. Jedynym nietkniętym miejscem była szuflada z bielizną, w której Margaret trzymała paszporty. Taką nauczkę dostali na początku pobytu: trzymaj wartościowe przedmioty w szufladzie z bielizną, bo żaden Afrykańczyk nie weźmie do ręki damskich fig. Przyszli policjanci, popatrzyli na pokój, wskazali wybite okno i stwierdzili: „No tak,

to ktoś z zewnątrz". Czy ktoś ich nie lubi? Życzy im źle? Sprawy nigdy nie rozwiązano.

Patrick i Margaret kupili nowe łóżko i kazali zamontować zamek w drzwiach między sypialnią a salonem. Później dowiedzieli się od inspektora, że prawie wszyscy tak robią; nikt im wcześniej o tym nie powiedział? Okradli ich po raz trzeci w ciągu sześciu tygodni. Na targu ktoś zwędził ze słomianego koszyka portfel Margaret, a pewnego dnia rano Patrick po wyjściu z domu przekonał się, że ich stary peugeot stoi na blokach betonu. Nocą odkręcono wszystkie cztery koła.

Margaret podchodziła do kradzieży w racjonalny sposób. Przybysz nie stał nad przepaścią dzielącą ludzi żyjących wygodnie od tych, którym brakowało wszystkiego - znajdował się na gruncie w każdej chwili podatnym na erozję. Fizycznie czuła strach, z moralnego punktu widzenia kradzież wydawała się zadośćuczynieniem. Nauczyła się ścisnąć torebkę pod pachą i nie lubiła siebie z tego powodu. Dawała Jamesowi sute napiwki za pranie ich rzeczy. Była przekonana, że tutaj nie ma takiego zwyczaju, ale czuła się dzięki temu lepiej. James nigdy nie odmawiał przyjęcia pieniędzy.

Patrick nie pytał Margaret, co robiła w ciągu dnia; pytanie byłoby dość drażliwe, bo nie znalazła jeszcze pracy, choć w przeciwieństwie do niej jemu najwyraźniej to nie przeszkadzało. Gdyby jednak je zadał, odparłaby, że chodziła z aparatem wokół Langaty polnymi drogami, fotografując *askari* w długich szarych płaszczach, z nożami *panga* w pogotowiu albo tabliczki *Mbwa Kali*, „złe psy”, na bramach. Robiła też zdjęcia delikatnie opadających gałązek dzakarandy i fioletowo--pomarańczowo-różową eksplozję koloru bugenwilli, które pieniały się jak chwasty, porastając kamienne mury i dachy. Wiedziała, że inni lekarze ze szpitala podejrzliwie patrzyli na to, że Patrick zamieszkał w Langacie, raj dla emigrantów, tymczasem ona zakochała się w domku zupełnie przez przypadek.

Kiedy jechała obejrzyć mieszkanie do wynajęcia, peugeot ni z tego, ni z owego stanął na Ngong Road, a wracający z pracy Arthur zwolnił, by sprawdzić, czy nic jej się nie stało. Mogła się domyślać jego motywów, mieszaniny protekcjonalności i chyba chęci skorzystania z okazji: młoda

biała kobieta w spódnicy, stojąca na poboczu drogi koło białego peugeota, nowo kupionego, ale bez wątpienia używanego, może wręcz grata. Silnik nagle po prostu przestał działać.

Arthur opuścił okno od strony pasażera i zawołał:

- Wszystko w porządku?

Margaret podeszła do niego; biała twarz ufająca białej twarzy. Zastanawiała się później, czy gdyby był Afrykańczykiem, dałaby mu znak, żeby odjechał? Arthur nie przyjąłby odmowy, a Margaret była mu wdzięczna za pomoc. Próbował uruchomić silnik, na wypadek gdyby problem polegał na braku benzyny; w końcu Margaret była kobietą. zaproponował, że zadzwoni z domu. Zna mechanika, który się nią zaopiekuje. Takich użył słów: „Zaopiekuje się panią”.

Margaret przyglądała mu się uważnie. Miał brązowe jak glina włosy, ciemne oczy, dołek w brodzie i białe zęby, które odsłaniał w swobodnym uśmiechu. Dolna połowa twarzy nie pasowała do górnej.

Siedząc w mercedesie Arthura, Margaret po raz pierwszy zobaczyła nieoczekiwane piękno wypielegnowanych ogrodów i wysokich żywopłotów Langaty, przedmieścia Nairobi.

Zakręcił i zatrzymał samochód na początku długiego podjazdu. *Askari* w długim płaszczu płaczącym się na gołych nogach podskoczył, żeby otworzyć drzwi od strony kierowcy. Arthur najmniejszym gestem nie okazał, że go zauważył. Ścieżkę do domu niczym fioletoy dywan pokrywały płatki dzakarandy. Piętrowy dom zbudowany był z kamienia, okna miał dzielone na szybki. Margaret otaczały jaskrawo kwitnące krzewy, których nazw nie znała. Za ogrodem po horyzont ciągnęło się niebo barwy kwiatów kukurydzy; tak nasyconego koloru Margaret nigdzie nie widziała. Doszła do wniosku, że to musi mieć jakiś związek z równikowym słońcem, ze szczególnym kątem padania promieni.

Arthur zaproponował jej drinka, po czym wykonał niezbędne telefony. Samochód odholowano do warsztatu. Margaret uświadomiła sobie, że ma gołe nogi, zwłaszcza kiedy do pokoju weszła żona Arthura, Diana. Nie kryła zaskoczenia na widok gościa, o którego obecności nikt jej nie poinformował, i od razu zauważyła w dłoni Margaret szklaneczkę. Arthur wyjaśnił

sytuację i Margaret w końcu została obdarzona uśmiechem Diany; było to wielkie zaskoczenie. Zadzwoiła do Patricka do szpitala, żeby mu powiedzieć, że zaproszono ich na kolację w Langacie. W pokoju obecny był Arthur, w jej głosie brzmiał więc większy entuzjazm, niż w rzeczywistości czuła, może nawet brakowało jej tchu. W słuchawce rozległy się łagodne narzekania męża.

Tego pierwszego wieczoru przy kolacji padło kolejne zaproszenie. Domek gościnny na terenie posiadłości stał pusty, a Arthur wymienił sumę mniejszą niż ta, którą Patrick i Margaret zdecydowali się zapłacić za tanto mieszkanie, zresztą Margaret dopiero wybierała się je obejrzyć. Diana proponowała, żeby Margaret i Patrick, który przyjechał autobusem z Nairobi, przenocowali i obejrzelik domek w świetle dnia. W łóżku tamtej nocy Patrick był czujny, może wcześniej niż Margaret usłyszał słaby szcęk zamka. Objęli się mocno na obcym materacu, jakby na nowo definiując siebie jako parę, jakby w tym momencie potrzebny był akt oporu.

Rano obejrzelik domek gościnny z białymi stiukowymi ścianami i czerwonym dachem, otoczony różowymi i pomarańczowymi bugenwillami. W salonie stał stolik przykryty cynobrowo-żółtą khangą. Kuchenne drzwi otwierały się na połówki jak w saloonie, z sypialnią sąsiadowała łazienka. Podłogę pokrywały wypolerowane deski tworzące skomplikowany parkietowy wzór. Ściany były białe, okna podzielone na małe szybki. Nawet w Ameryce - może zwłaszcza w Ameryce - Patrick i Margaret nigdy nie mieszkali w równie pięknym domu. Zanim samochód odmówił posłuszeństwa, zajmowali lokal nad klubem nocnym w hotelu Ngong Road. Wcześniej musieli znieść ponury pobyt w hotelu Gloria, gdzie umywalkę i sedes pokrywała warstwa brudu, a karaluchy uciekały, kiedy Margaret otwierała drzwi łazienki. Sądziła, że tamtego poranka Patrick musiał widzieć jej pragnienie, by zostać w domku, dlatego zrezygnował z własnych łagodnych obiekcji.

Domek gościnny usytuowany był dostatecznie daleko od domu Arthura i Diany, by dawać pozory niezależności. Diana zapewniała, że ledwo będą się widywać: Arthur pracuje całymi dniami jako szef działu sprzedaży w

Colgate-Palmolive, a ona hoduje konie i nie ma czasu dla znajomych. Wszystko to brzmiało zachęcająco. A może raczej Margaret dołożyła starań, by tak się wydawało.

Tamtego popołudnia James zrobił im zdjęcie: Margaret, w białej sukience na ramiączkach, siedzi w fotelu przed drzwiami ich nowego domu w Afryce. Włosy ma jasne i wyblakłe, choć w rzeczywistości są jasnobrązowe z miedzianymi pasemkami, skórę w odcieniu ciemnoczerwonym, który jej matka nazywała „indiańskim”, lśniącą i jakby polakierowaną.

Za nią stoi Patrick w białej koszuli z krótkimi rękawami i krawacie. Ma zdrową opaleniznę, włosy sprawiają wrażenie sklejonych, jakby nie mył ich od kilku dni albo wręcz przeciwnie, przed chwilą wyszedł spod prysznic. Twarz kryje się w cieniu, okulary przeciwsłoneczne zasłaniają oczy.

James z szalenię poważną miną obsługiwał nikona Margaret, ale uśmiechał się, oddając jej aparat.

W Wielkim Domu, jak Patrick i Margaret w tajemnicy postanowili go nazywać, James gotował, nakrywał do stołu, podawał potrawy, sprzątał ze stołu i zmywał naczynia. Patrick i Margaret nie mieli służących. Dopiero niedawno Diana wysłała Jamesa do domku, by zrobił pranie. Chociaż Margaret dość wcześnie udzielono rady, żeby wynajęła kogoś do tej pracy, uznała, że to zadanie zbyt intymne, by zlecać je komuś innemu. Usiłowała pracować w wannie, ale nie była w stanie dobrze wypłukać mydła. Skapitulowała, kiedy Patrick dostał wysypki na karku, chociaż w dalszym ciągu sama gotowała i podawała do stołu, a Patrick zmywał. To było jednak pyrrusowe zwycięstwo. Nie zatrudniając służby, pozbawiała Afrykańczyka miejsca pracy.

Przy kolacji, w czasie której po raz pierwszy wspomniano o wspinaczce, Arthur, z włosami wciąż noszącymi ślady grzebienia, mówił o hipoksji, nie szczędząc ponurych szczegółów.

- Płuca wypełniają się krwią. Z reguły cztery, pięć osób rocznie umiera podczas wspinaczki na Kenię. Zwykle są to Niemcy, którzy wyskakują z samolotu w Nairobi, natychmiast jadą w góry i dosłownie biegną na szczyt. Często sami pakują się w kłopoty, ponieważ nie dają organizmowi czasu na

aklimatyzację do wysokości i rzadszego powietrza. Im wolniej wchodzisz, im dłużej trwa wspinaczka, tym lepiej dla ciebie.

- W takim razie dla mnie będzie rewelacyjnie - wtrąciła Margaret.

Arthur zignorował dowcip.

- Podczas wspinaczki będziemy się natykać na strażników parkowych. Pracują po dwóch, świecą ludziom prosto w twarz i zarzucają ich gradem pytań. Jaki dziś dzień? Która godzina? Gdzie mieszkasz? Jeśli nie odpowiadasz od razu, biorą cię pod łokcie i biegiem sprowadzają na dół, czy tego chcesz, czy nie. To jedyne lekarstwo.

Margaret pomyślała, że Arthur z natury nie jest panikarzem. Chociaż bywał protekcyjny - czasami odnosiła wrażenie, że postrzegał protekcyjność jako jedną z mniej ważnych dziedzin sportu - prowadził z Patrickiem trwające długo w noc dyskusje. Patrick nikomu nie przyznawał racji, jeśli tylko miał argumenty na poparcie swojego zdania.

- Wyjedziemy z Nairobi w południe - ciągnął. Miał na sobie białą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci oraz krawat w paski. Odcień jego skóry dziwił w Afryce; na policzkach stale ciemniał popołudniowy zarost.

Diana ubrana była w sukienkę na ramiączkach z niebieskiej bawełny. Skórę miała ogorzałą, typową dla osoby spędzającej większość czasu na dworze, mięśnie mówiły o pracy przy koniach. Niedawno obcięła długie jasne włosy; nosiła teraz praktyczną fryzurę, która nadała jej chłopięcy wygląd.

- Pojedziemy Thika Road i porządnie się wyśpimy w ośrodku w Naro Moru - mówił Arthur. - Przy bramie parku zostawimy landrowera, tam też wynajmiemy przewodnika i tragarzy, którzy poniosą żywność i sprzęt. A przy okazji, podobno są bardzo dobrzy. Stamtąd ruszamy prosto na szczyt Lenana. To jedno z najbardziej stromych i najszybszych podejść, ale nawet amator powinien sobie z nim poradzić. Całość zajmie cztery dni i trzy noce, nie licząc noclegu w ośrodku.

Na kolację podano jagnięcinę w miętowym sosie. Stół był elegancko nakryty w angielskim stylu. Pod talerzem Margaret leżała podkładka z Opactwem Westminster, Patrick miał katedrę Świętego Pawła. Przy każdym nakryciu stała srebrna solniczka i maleńka łyżeczka. Arthur nie skąpił wina,

które szczerze nalewał do kieliszków z rżniętego kryształu. Talerze pewnie pochodziły z fabryki Wedgwood lub Staffordshire. Nakrycia w domku stanowiły zbieraninę różnych wzorów i były wyszczerbione.

W drzwiach pojawiło się dwoje dzieci w piżamach. Edward i Philippa, mieli dziewięć i siedem lat, opiekowała się nimi *ayah* imieniem Adhiambo. W dzień oboje biegali w szkolnych mundurkach, jakby mieszkali w Kent, a nie przecznicę od lasu Ngong, w którym żyły antylopy, lwy i bawoły. Diana wierzyła w wychowywanie dzieci na brytyjską modłę, bez nadmiernych pochwał.

Do pokoju weszła także Adhiambo w czerwonym szalu na głowie i różowym sweterku, który sprawiał wrażenie, że niegdyś stanowił część bliźniaka. Miała szerokie biodra, ale była młoda. Dwadzieścia trzy, cztery lata, pomyślała Margaret, choć zwykle nie udawało jej się prawidłowo odgadnąć wieku Afrykańczyków. Adhiambo miała głęboką bliznę na policzku i nieśmiały uśmiech, który odsłaniał braki w uzębieniu, za to w jej oczach malował się wyraz, którego Margaret nie potrafiła rozpoznać: odporność, a może zwykły upór.

- Powiedźcie mamusi dobranoc - poleciła niania dzieciom.

Podeszły do mamy po uściski i całusy, które wyglądały na szczere i wynikające z prawdziwej potrzeby. Arthur także domagał się czułości i Margaret domyśliła się, że to wieczorny rytuał. Philippa ze swymi długimi brązowymi włosami była podobna do ojca, rudzielec Edward przypominał Dianę z okresu, nim słońce i wiatr zrobiły swoje. Na początku ta zamiana płci dezorientowała Margaret. Diana wspomniała o przejażdżkach konnych, Arthur o tenisie. Po kilku minutach dzieci i *ayah* odeszły.

- Trzeba wziąć stuptuty na trzęsawisko - ciągnął Arthur.

- A także czapki, kurtki i rękawice dla ochrony przed zimnem.

- Jakie trzęsawisko? - zapytał Patrick.

- Trzęsawisko. - Arthur szukał w myślach innego słowa, rzecz dla niego zupełnie nietypowa. Rozpostarł szeroko ręce.

- No wiecie... bagno.

- Ważne są okulary przeciwsłoneczne, żeby uniknąć ślepoty śnieżnej - dodała Diana. Wszystko wskazywało na to, że rozprasza ją ruch w kuchni.

Wcześniej wstała od stołu. James i Adhiambo nie byli jedynymi służącymi. Kilku mężczyzn pracowało w stajniach, przy bramie był *askari*. -I nie zapomnijcie o butach.

Patrick spojrział na Margaret.

- Nie mam odpowiednich butów - powiedziała. - Jutro kupię.

- Zostało dziesięć, jedenaście dni. - Arthur policzył na palcach. - Powinno wystarczyć, jeśli od razu je rozchodzisz. Wkładaj dwie pary skarpet.

- Chyba mam buty, które będą dla ciebie dobre - uznała Diana, obrzucając spojrzeniem stopy Margaret w sandałkach. Zaraz jednak zmarszczyła brwi. - A może nie.

W progu James czekał cierpliwie, aż będzie mógł sprzątnąć ze stołu.

Drinki po kolacji podano w pokoju, który gospodyni nazwała „salonem”. Popijając brandy, Margaret usiłowała opisać Arthurowi koktajl o nazwie „zardzewiały gwóźdź”. Diana siedziała naprzeciwko niej na ogromnej sofie obitej perkalem i sprawiała wrażenie, że nie może się doczekać, aż zacznie coś robić, choć nie wiadomo było, co dokładnie. To był jej naturalny stan. Żyła nie chwilą obecną, ale tą, której wyczekiwała. Diana nie olśniewała urodą, choć była ładna. Margaret przypuszczała, że oboje z Arthurem są po trzydziestce.

- Jak się poznaliście? - zapytała.

Stojący przy barku Arthur odpowiedział bez wahania, jakby powtarzał małżeńską legendę.

- Poznaliśmy się na przyjęciu w Londynie. Po pięciu minutach wiedzieliśmy już, że oboje marzymy o wyjeździe do Afryki. Dla Diany był to powrót do Kenii, gdzie spędziła dzieciństwo. Ja chciałem uciec z tego cholernego Londynu tak daleko jak to możliwe.

Margaret zauważyła, iż podczas opowiadania tej krótkiej historii małżonkowie nie patrzyli na siebie. Może Diana wcale nie słuchała. Może żałowała, że zwierzyła się z marzenia.

Arthur uniósł szklanekę, pozostali poszli w jego ślady, choć nikt nie wygłosił toastu. On także sprawiał wrażenie człowieka będącego ciągle w ruchu, trzymającego w cuglach energię zbyt wielką na obecną okazję.

Margaret domyślała się, że w małżeńskim bilansie Diana stawiała swoje pochodzenie wyżej niż Arthura. Zastanawiała się, czy to ma wielkie znaczenie. Patrick był Irlandczykiem w trzecim pokoleniu, jego zestaw genów obejmował upodobania akademickie, spiczastą brodę, czarne włosy, które zaczynały siwieć dopiero przed siedemdziesiątką, i zaskakująco jasne niebieskie oczy. Piękno zależało od układu rysów, a Patrick dostał wyjątkowo dobry układ.

Z kolei Margaret pochodziła z należącej do klasy średniej rodziny, która mieszkała na północnych przedmieściach Bostonu. Od pokoleń byli członkami Kościoła unitariańskiego (z niejakimi zasługami), daleki krewny został oficerem podczas wojny o niepodległość. Jej matka powiesiła na drzwiach sypialni tabliczkę „Córy Rewolucji Amerykańskiej”, choć od prezydentury Franklina Delano Roosevelta była zagorzałą demokratką.

- Co się z nami stanie, kiedy Kenyatta umrze? - zwrócił się Arthur do Patricka.

- Jestem zaskoczony, że rozmawiamy o tym dopiero teraz.

Brytyjczycy demonstrowali niekwestionowane prawo przebywania w Kenii, Amerykanie nie. Margaret przypuszczała, że źródłem tej różnicy jest Wietnam.

Kiedy mężczyźni zajmowali się Kenyatta, Margaret doliczyła się siedemnastu wzorów na tkaninach i naczyniach. Okna, tak jak w domku, otwierały się do środka, ale na tym podobieństwa między dwoma budynkami się kończyły. Wielkie meble w salonie miały rzeźbione nogi i mnóstwo zdobień.

- Kim jest ta druga para? - zapytała Margaret.

- Na wspinaczce? Saartje i Willem van Buskirkowie. Nie mówiłam wam?

- Diana sprawiała wrażenie zaskoczonej tym niedopatrzeniem.

- On pracuje w Hilton Group - dodał Arthur. Nie wspomniał, czym zajmuje się Saartje. - W tym tygodniu przyjadą na naradę. Polubicie ich. Bardzo rzeczowi i praktyczni. Wydaje mi się, że Willem już był na Kenii.

- Nie przypominam sobie - powiedziała Diana.

- Wspinał się w Szwajcarii, zanim wyjechali do Bombaju.

Diana pokiwała głową, Margaret natomiast zaniepokoiło tempo wspinaczki, skoro jeden z uczestników będzie tak doświadczony.

- Poza hipoksją prawie wszyscy cierpią na chorobę wysokościową w takiej lub innej formie - tłumaczył Arthur. - Bóle głowy, zmęczenie, wymioty, zawroty głowy.

- I to ma być przyjemne? - zapytała Margaret.

- Mówię o tym, ponieważ będziemy musieli wzajemnie się pilnować - wyjaśnił nieco surowo. - Wypatrywać objawów.

Margaret skinęła głową ze stosowną skruchą.

- W szałasach mieści się od dziesięciu do trzydziestu osób - ciągnął Arthur. - Zwykle śpi się na pryczach. Są latryny, jeśli tak chcecie je nazywać. Na wyprawie nie ma miejsca na przesadną delikatność.

- Kikuju uważają górę za świętą - odezwał się Patrick. Margaret była mu wdzięczna za tę chwilę wytchnienia od nieprzyjemnych obrazów. - Mówią, że mieszka na niej bóg Ngai. Nazywają górę Kirinyaga.

Margaret fotografowała lekarza, który niedawno otworzył sieć darmowych przychodni dla dzieci w Roxbury. Była to najbiedniejsza dzielnica Bostonu, w głównej mierze dlatego że zamieszkiwali ją niemal wyłącznie czarni. Redakcja alternatywnego tygodnika bostońskiego, w którym pracowała, rano przekazała jej zlecenie. Miała problemy z uzyskaniem dobrego ujęcia; doktor nosił okulary z grubymi szklami, a szpitalne światło było zbyt jaskrawe. Wreszcie zrobiła dość zdjęć, by mieć pewność, że co najmniej jedno da się wykorzystać, i dopiero wtedy dostrzegła drugiego lekarza, który stał na progu, przyglądając się sesji. Kiedy zapytała, gdzie mogłaby coś zjeść, mężczyzna z progu odpowiedział pierwszy.

- Proszę iść ze mną - zaproponował. - Zaprowadzę panią do stołówki. Sam też tam idę.

Margaret spakowała sprzęt, podczas gdy lekarze rozmawiali o jakiejś sprawie, potem oboje poszli szpitalnym korytarzem.

- Patrick - przedstawił się jej przewodnik, wyciągając rękę.

- Margaret.

Przy kanapce z tuńczykiem Patrick powiedział, że kończy staż medycyny równikowej. Na studiach zainteresowały go choroby tropikalne i dwa razy był już w Afryce. Uznała, że jest bardzo przystojnym mężczyzną, zafascynowały ją wyraziste rysy jego pociągłej twarzy. Chyba zakochała się w tych rysach, zanim jeszcze pokochała człowieka. W latach przed wyjazdem do Afryki fotografowała jego twarz ze sto razy. Na początku Patrick był za intrygowany, potem znosił to cierpliwie, wreszcie okazywał lekką irytację, jak wobec dziecka, które chce powtarzać tę samą zabawę wciąż od nowa.

Kiedy zapytał, czy miałyby ochotę wyjechać z nim do Kenii, z entuzjazmem zgodziła się. Praca w alternatywnym tygodniku nie miała perspektyw, poza tym Margaret była zmęczona fotografowaniem obrad Kongresu i pieśniarzy folkowych w kawiarniach w Cambridge. Patrick zatrudnił się w szpitalu Nairobi, gdzie mógł prowadzić badania w zamian za darmową pracę w przychodniach w całym kraju, kiedy go o to poproszą.

Margaret i Patrick wzięli szybki ślub w ogrodzie za domem w Cambridge. Margaret miała długą suknię z białej bawełny i włosy splecione we francuski warkocz. Po ceremonii pili szampana z gośćmi siedzącymi na plastikowych krzeselkach. Specjalnie na tę okazję wyniesiono na dwór bogato zdobioną sofę i nowożeńcy siedzieli na niej, broniąc się przed dowiecipnymi zaczepkami, a także od czasu do czasu spoglądając w gwiazdy.

W wieczór poprzedzający wylot z lotniska Logan do Nairobi poszli na pożegnalną kolację do rodziców Margaret. Siedząc przy stole, nie potrafiła sobie wyobrazić, że przez cały rok nie zobaczy ani ich, ani ośmioletniego braciszka Timmy'ego, który urodził się dwadzieścia lat po niej - mama powtarzała, że to dziecko odmieniło jej życie. Margaret prosiła, żeby odwiedzili ją w Afryce. Nikt w rodzinie nigdy nie wypowiedział na głos słowa „miłość”, ale łączyły ich bliskie i żywe więzi.

W samolocie odczuwała lekką tęsknotę za domem. Kiedy w ślad za wschodzącym słońcem lecieli nad obcym kontynentem, przyciskała twarz do okna i jej oddech zasnuwał szybką mgłą. Patrick trzymał żonę za rękę. Jeśli czuł niepokój, nie okazywał tego.

Z samolotu widziała wszystkie miejsca, o których czytała, przygotowując się do podróży: długi, brunatny Nil, jezioro Turkana, niegdyś noszące na-

zwę Jeziora Rudolfa, dolinę Rift, rozległą, jałową i niesamowitą, a potem nagle pojawiły się wzgórza Ngong i płaskowyż, na którym usytuowane było Nairobi. W oddali Margaret dostrzegła szczyt Kenii wznoszący się ponad chmurami, a na południe od niego masyw Kilimandżaro. Zanim samolot wylądował, Patrick wręczył jej srebrny pierścionek z małym brylantem; przed ślubem nie było go stać na taki prezent. Wylądowali w dzień urodzin Margaret.

TLR

Rano opalizujący paw powitał Margaret przed frontowymi drzwiami domu Diany. Widziany z bliska ptak wydawał się nie z tego świata, nierealny. Zmierzył ją obojętnym wzrokiem. Ciekawe, pomyślała, co paw myśli o jej monotonnym upierzeniu?

Dżakaranda znowu rozłożyła swą królewską koronę. Powietrze było chłodne i czyste. Margaret miała na sobie żółtą bawełnianą sukienkę i biały żakiet z paskiem. O dziesiątej będzie musiała zdjąć żakiet. W południe zapragnie znaleźć się pod dachem. Koło trzeciej zacznie marzyć o zimnej kąpieli w Intercontinentalu. Żakiet włoży znowu o wpół do siódmej, a o jedenastej oboje z Patrickiem będą spali pod puchowymi kołdrami. To wszystko z powodu wysokości, wyjaśnił jej kiedyś Patrick.

Idąc do samochodu, który Patrick jej zostawił, wciągnęła w płuca aromat palonych liści. Patrick ponad godzinę wcześniej pojechał do miasta autobusem. Peugeot stał przed domkiem, w którym wciąż nie działała kanalizacja. Margaret usiadła za kierownicą, na podłodze połyskiwały czerwone płatki tymianku. Położyła słomkową torbę na siedzeniu pasażera z lewej strony. Kiedy tu przyjechała, dopiero po tygodniu ćwiczeń poczuła się nieco pewniej w obowiązującym tu ruchu lewostronnym.

Zapach palonych liści, który wniosła ze sobą do samochodu, sprawił, że odchyliła się i zamknęła oczy. Ciekawe, czy ogrodnik Matthew wrzucił do ogniska liście marihuany, jakby gandzia była warta tyle co zeschnięte gałązki. Bzdura, pomyślała, choć była pewna, że w dymie jest coś nasennego. Odechnęła głęboko. Aromat wydawał się nostalgiczny i egzotyczny zarazem.

Z zamyślenia wyrwało ją pukanie w okno. Arthur dał znać gestem, by otworzyła okno.

- Mercedes nie chce zapalić, wezwałem już mechanika. Muszę pojechać do biura, a nie mogę wziąć landrowera, bo Diana jedzie po dzieci i tak dalej.

W żadnym razie nie mogła odmówić.

- Wsiadaj. Dobry uczynek zasługuje na odpłatę. Przełożyła torbę na tylne siedzenie. Arthur wsiadł i zarzucił rękę na oparcie fotela gestem właściciela, przez co twarzą zwrócony był do Margaret. Zaznaczał swoją pozycję samca alfa. Wiedziała bez cienia wątpliwości, że Patrick nie zachowałby się tak, gdyby wsiadł do samochodu prowadzonego przez kobietę niebędącą jego żoną. W przeciwieństwie do Arthura siedziałby prosto i patrzył przed siebie.

Minęli *duka*, gdzie gromadzili się Afrykańczycy w odprasowanych koszulach i spodniach, większość z nich paliła, wielu się śmiało. Margaret wiedziała, że mężczyźni pracują jako służący, a tutaj spędzają przedpołudniową przerwę po zrobieniu zakupów. Na ogół byli na nogach od wpół do piątej, przygotowywali posiłki dla rodzin i psów. Czy Afrykańczycy z tego regionu należą głównie do plemienia Luo jak James? Będzie musiała o to zapytać. Już pojęła, że chociaż w tym kraju czuje się silny mizoginizm i ostrą świadomość klasy definiowanej przez pieniądze, prawdziwa niechęć dzieląca ludzi ma podłoże plemienne. Turkana, Nandi, Kalenjin, Kisii, Kipsikis, Kikuju, Luo, Masajowie i inni. W Afryce tubylec z ciemną skórą identyfikowany jest przez swą przynależność plemienną.

- Nie będzie przesadą stwierdzenie, że jeszcze nie opanowałaś rond - skomentował Arthur, unosząc brew, kiedy Margaret zatrzymała się przed zatłoczonym *matatu*, które skręcało na ich pas.

- Są niezgodne z intuicją.
- Dla Amerykanów. Inaczej je określcie.
- Rzeczywiście.
- Myślę, że musisz poćwiczyć.
- Dziękuję, że zauważyłeś.

Prychnął w sposób niezwykle brytyjski i wymowny. Prychnięcie oznaczało: „Nie bądź śmieszna. Nie bądź niemądra. Nie bądź taka wrażliwa”.

- Gdzie pracujesz? - zapytała Margaret.

- W Mather House. Mam nadzieję, że Diana mówiła ci, że Saartje i Willem przychodzą dzisiaj na kolację? Chcemy pogadać o wyprawie.

Wskazał gestem przecznicę, w którą powinna skrócić Margaret.

- Mówiła, a ja jadę kupić buty.

- Zdobędziesz górę Kenię. To ją zdumiało.

- Nie sędzę, abym była w stanie cokolwiek zdobyć, nie wspominając już o górze. Tak czy owak, nie przyjechałam tu na podboje.

- Skąd jesteś?

Rzuciła mu krótkie spojrzenie. Tak jak podejrzewała, przyglądał jej się uważnie.

- Wychowałam się w małym mieście na północ od Bostonu. Poszłam do college'u pod Bostonem, po studiach zostałam w Bostonie.

- Dlaczego akurat Boston?

- Rodzina mieszka blisko, a poza tym to wielkie miasto.

- Czyli nie jesteś wielbicielką wsi. Margaret się roześmiała.

- Chyba nie.

- Nigdy nie byłem w Bostonie - powiedział z tym swoim akcentem nasuwającym skojarzenie z przemysłowym miastem na północy Anglii. - Za to spędziłem sporo czasu w Arizonie.

- W Arizonie?

- Rodzice Diany przeprowadzili się tam jakieś dziesięć lat temu. Mają pod Phoenix coś w rodzaju miniposiadłości, ty pewnie nazwałabyś to ranchem. Ojciec Diany gra w golfa. Wyjechali ze względu na jego zdrowie, chodziło o klimat. Mój teść ma rozedmę płuc. Wciąż pali paczkę dziennie. Jest z siebie dumny, bo wcześniej palił trzy.

Margaret znowu na niego spojrzała. Patrzył w okno. Okazywał ten rodzaj samozadowolenia, które pewnie pociągałoby Europejkę, ale mogło zniechęcić Amerykanke.

Pokonała trzecie w czasie dwudziestu minut rondo, kiedy Arthur powiedział:

- Już prawie jesteśmy na miejscu.

Wjechała na kolisty podjazd, który prowadził do kompleksu biurowców przypominającego szkołę zbudowaną w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku: betonowy i praktyczny, bez silenia się na urok.

- No cóż. - Arthur sprawiał wrażenie, jakby nie miał ochoty wysiadać. - Więc wybierasz się po buty?

- Tak.

- Idź do sklepu Sir Henry. - Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął mały notatnik. Napisał adres i podał jej kartkę. - Zapytaj o Tommy'ego. Zaopiekuje się tobą. Powiedz, że przysłała cię Arthur.

I znowu to samo. „Zaopiekuje się tobą”.

- Tylko tyle? - zapytała. - Po prostu Arthur?

- Będzie wiedział, o kogo chodzi.

Przed sklepami na Kimathi Street straż pełnili *askari*. Margaret dała chłopcu parkingowemu osiem szylingów napiwku, równowartość dolara, żeby pilnował jej samochodu. Minęła skandynawski sklep, w którym Afrykańczyk polerował srebro. W witrynie widniał napis: „50 szylingów”, choć nie wskazywał na żaden towar. Obok sklepu skandynawskiego był bar o nazwie Kryształowe Lody. Dzisiaj daniem specjalnym były wegetariańskie samosy. Przechodzący mężczyzna odkaszlnął i splunął na chodnik, Margaret musiała więc wyminąć plwocinę. Kawalek dalej jakiś człowiek handlował bibelotami. Przystanąła, by okazać uprzejmość, ale zaraz jej uwagę przyciągnął mały złoty czajniczek i zaczęła się zastanawiać, komu mogłaby go podarować. Przed bankiem stali *askari* z wyciągniętymi nożami *panga* i groźnymi z wyglądu psami na smyczach. Margaret zauważyła, że wielu Afrykańczyków wchodzących do banku omija psy niezwykle ostrożnym łukiem.

Zerknęła na karteczkę, którą dał jej Arthur. Wykalkulowała, że sklep Sir Henry musi znajdować się na drugim końcu Kimathi. Przeszła przez ulicę i ruszyła wolnym krokiem, sprawdzając numerację. Na trawniku na skrzyżowaniu Kenyatta i Kimathi leżeli mężczyźni, niektórzy pogrążeni byli we śnie. Inni, ubrani w białe koszule i krawaty, podlewali trawę i palmy, nie starając się oszczędzić tamtych. Minęła dżentelmena w białym *kaffiyeh*, za którym szło kilka kobiet w długich czarnych *bui-bui*, zakrywających je szczelnie od głów do stóp. Na twarzach miały zasłony. Margaret nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, jak duszno i niewygodnie musi być tym biedaczkom pod grubą tkaniną w południowym równikowym skwarze.

W witrynie sklepu o nazwie Village dostrzegła prosty, składający się z czterech paciorków naszyjnik. Cena wynosiła dwieście szylingów. W szy-

bie Margaret zobaczyła wysokiego chudego Masaja z wielkimi dziurami w uszach, owiniętego tylko w koc i trzymającego w ręku włócznię; za nim czekała na zmianę świateł biała kobieta w jaskrawozielonej koszuli jadąca na motocyklu. Zapaliło się zielone i kobieta ruszyła.

Afrykanka w kiosku z loterią na cele charytatywne wykrzykiwała coś po angielsku, nasuwając Margaret na myśl licytatorów w Ameryce. Kiedy się wychyliła, Margaret zobaczyła, że kobieta jest w ciąży. Dalej znajdował się Woolworth, gdzie można było nabyć patelnie, miksery, książki z drugiej ręki i używane opony. Margaret weszła i kupiła przewodnik po górze Kenii. Wychodząc na ulicę, zobaczyła na chodniku matkę z trojgiem dzieci, siedzących z plecami opartymi o mur. Kobieta ubrana była w tę samą suknię, którą miała na sobie za każdym razem, kiedy Margaret ją widziała. Dziecko, tylko w brudnej koszulce, przykucnęło i zrobiło kupę na chodnik.

Margaret wrzuciła do puszek resztę, którą wciąż trzymała w dłoni.

-*Asante sana* - powiedziała kobieta słabym głosem.

Kiedy przy okazji poprzednich zakupów Margaret rzucała datek żebracze, ta składała dłonie jak do modlitwy i powtarzała *asante sana*, dopóki Margaret nie znikła jej z oczu. Patrick ostrzegał, żeby nigdy nie dawała pieniędzy żebrakom, bo czymś takim można wywołać rozruchy; natychmiast zlecą się inni i będą nagabywać ofiarodawcę.

Nieoczekiwane pragnienie skłoniło ją do nadłożenia drogi. Przeszła na drugą stronę ulicy do hotelu New Stanley, wysokiego białego budynku pełnego turystów. Zauważyła kamery, kurtki safari, lornetki, mapy. Rodziny czekające na pasiaste minibusy rozmawiały po angielsku, tragarze w suahili. W jednej z rodzin ojciec, starszy mężczyzna koło pięćdziesiątki, liczył rolki filmów poutykane w kieszeniach. Żona ubrana była w poliestrową bluzę. Mieli dwóch synów, z których starszy, nastolatek, wyglądał już na znudzonego. Drugi, mniej więcej dziesięcioletni, podskakiwał entuzjastycznie, zapewne nie mogąc się doczekać widoku lwów.

W innej rodzinnej grupce kobieta ze środkowego zachodu dłubała w zębach wykałaczką. Oznajmiła, że jest nerwowo wyczerpana koniecznością upchania zawartości czterech walizek w dwie, limit na safari.

- Jeszcze nie ochłonęłam - powiedziała.

- Którego jest przemówienie inauguracyjne? - zapytał stojący obok niej mężczyzna.

- Przemówienie inauguracyjne?

- No wiesz, Jimmy'ego Cartera, w Ameryce!

- A skąd mam wiedzieć?

Kolejny mężczyzna postawił walizkę koło sterty bagażu (Bekającego na tragarzy).

- Wziąłem tylko tę walizeczkę - powiedział. - To, w czym teraz mnie widzisz, będę nosił przez trzy dni.

Margaret zobaczyła go w niebieskich tenisówkach, brązowo-białych spodniach i czerwonej koszulce z białym wykończeniem.

- Słyszałem, że tam jest więcej kości słoniowej - dodał.

Więcej niż gdzie?- zastanowiła się Margaret.

W kawiarni Thorn Tree zamówiła mrożoną herbatę w wysokiej szklance. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek mrożona herbata tak jej smakowała. Przesuwając palcami po listku mięty, czytała notatki przypięte do wiszącej obok tablicy ogłoszeń. „Shenaz, musisz mi zwrócić pralkę”. „Peter Shandling, jeśli dostaniesz tę wiadomość, zadzwoń do Marka w hotelu New Stanley”. „Potrzebne: kelnerki na przyjęcie w szwajcarskiej ambasadzie dziewiętnastego. Pytać o Rogera w Intercontinentalu”.

W kawiarni Thorn Tree afrykańskim kobietom nie wolno było siedzieć przy stoliku, jeśli nie towarzyszył im mężczyzna. Gdyby któraś zdecydowała się wejść, grzecznie by ją wyproszone. Nie miało znaczenia, czy kobieta jest urzędniczką w banku, wydawcą czy właścicielką sklepu, tak jak Margaret pragnącą się napić mrożonej herbaty. Jeśli była Afrykanką, zakładano, że to prostytutka.

Margaret nie mogła dokładnie przyjrzeć się ciemnemu mężczyźnie w wyszywanym *kafpyeh* i długiej marynarce z kołnierzem w stylu Nehru, ponieważ tamten otworzył się na nią gapił.

Ze swego miejsca słyszała rozmowy w pięciu językach, które potrafiła rozpoznać: angielski, suahili, urdu, niemiecki i francuski. Przypuszczała, że co najmniej cztery, pięć następnych wykracza poza jej zdolności rozumienia.

Przestudiowała menu. Ceny były imponujące. Czy turyści nie zdają sobie sprawy, że są okradani?

Przy sąsiednim stoliku cztery osoby składały zamówienie, tak szczegółowo wyjaśniając swoje życzenia kelnerowi, jakby nie rozumiał po angielsku. Kiedy odszedł, kobieta wzniosła oczy ku niebu.

Przy stoliku po lewej dwaj afrykańscy studenci rozmawiali w doskonałej angielszczyźnie, choć z obcym akcentem. Przegapiła większość ich rozmowy, usłyszała jednak coś, co ją zaniepokoiło. Pięćdziesięciu studentów aresztowano na uniwersytecie, mówił jeden. Wszyscy zostali zabici i wrzuceni do masowego grobu.

Margaret była wstrząśnięta. To plotka czy prawda? A jeśli prawda, dlaczego nie wiedzą o tym Patrick, ona i wszyscy pozostali? Dlaczego nie pisano o tym na pierwszych stronach gazet? Siedziała bez ruchu, czekając na dalszy ciąg, ale studenci zamilkli. Może jeden dostrzegł, jak Margaret nadstawia ucha. Może ten drugi zalecił ostrożność.

Margaret dwukrotnie przegapiła sklep z butami, dyskretny szyld nie miał na celu wabienia klientów. Weszła przez drzwi z wypolerowanego drewna i zdjęła okulary przeciwsłoneczne. Domyślała się, że nigdzie w Nairobi nie znajdzie firmy bardziej zbliżonej do sklepu z rzeczami robionymi na zamówienie. Sprzedawcy byli biali. Natychmiast dostrzegła, że w ofercie oprócz ubrań męskich są też damskie. Nie zamierzała powoływać się na Arthura, aczkolwiek przy kolacji może będzie musiała powiedzieć, że tak zrobiła i dlatego bardzo uprzejmie ją obsłużono.

Nie przeszkadzano jej, gdy przyglądała się towarom wystawionym na półkach. W końcu musiała poprosić o pomoc. Wyjaśniła, że szuka butów do wspinaczki. Za dziesięć dni wyrusza na Kenię i potrzebuje obuwia wytrzymałego, ale elastycznego, żeby nie bolały jej stopy. Szczupły młody sprzedawca strzelił palcami. Jego afrykański pomocnik przyniósł urządzenie do sprawdzania rozmiaru. Margaret zdjęła sandałek, odsłaniając zakurzony stopę.

- Mogę prosić o ściereczkę? - zapytała.

Prośba najwyraźniej nie była nietypowa. Na miedzianej tacy podano jej dwie bawełniane ścierki, wilgotną i suchą. Kiedy przetarła zakurzoną stopę, Afrykańczyk zniknął, a brytyjski sprzedawca delikatnie ujął prawą stopę Margaret i umieścił na przyrządzie. Dotyk jego dłoni był kojący. Poprosił, żeby wstała, zapisał rozmiar, którego nie rozumiała, po czym powiedział, żeby usiadła. Przyniósł jedwabne skarpetki i delikatnie wciągnął na stopę Margaret. To było jak krótki masaż i nawet zaczęła się zastanawiać, czy nie potrzebuje kolejnej pary butów. Jagnięca skóra wyściółki otuliła jej nogę do połowy łydki. Mężczyzna cierpliwie zasznurował but. Powtórzył cały proces na drugiej nodze.

- Powinna pani przejść się po sklepie - zaproponował. - Proszę się nie spieszyć. Na takiej wyprawie najważniejsze są dobre buty.

Margaret ruszyła wąską alejką, jakby unosiła się w powietrzu. Wątpiła, czy kiedykolwiek miała równie wygodne buty, a nawet pantofle. Raz pochyliła się, by dotknąć miękkiej skóry, a kiedy się wyprostowała, sprzedawca uśmiechnął się do niej.

- Są cudowne - powiedziała.

- Mają solidne podeszwy i dobrze trzymają kostkę. Powinna pani bez problemu wejść na Kenię.

Margaret nieznacznie kiwnęła głową.

- Nie ma pani ochoty wspinać się na górę, prawda?

- Nie - odparła zaskoczona.

- Ktoś panią namówił.

- Coś w tym sensie.

- Poradzi sobie pani. Czeka panią piekło, ale szybko się skończy. Wejdzie pani na szczyt i nie będzie pani musiała nigdy tego powtarzać.

- Jak pan się domyślił, że nie chcę iść na tę górę?

- Często przychodzą do nas kobiety i mówią, że potrzebują butów do wspinaczki. Wszystkie mają podobny wyraz twarzy.

- Czyli jaki?

- Strach.

Zdjął jej buty i skarpetki. Margaret miała wrażenie, jakby zanurzyła stopy w zimnej wodzie. Kiedy podeszła do kontuaru, sprzedawca wręczył jej

skórzaną metkę z ceną dyskretnie napisaną ołówkiem. Dlaczego ołówkiem? Oczekiwano, że będzie się targowała? Na widok sumy przełknęła ślinę, ale bez wahania wypisała czek. Patrick zrozumie.

Sprzedawca zakończył transakcję, po czym wyszedł zza kontuaru z pudełkiem starannie zapakowanych butów.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział, kłaniając się lekko.

-Dziękuję.

- Jest pani turystką?

- Mój mąż pracuje w szpitalu Nairobi. Sprzedawca uśmiechnął się.

- W takim razie liczę, że któreś z państwa do nas wróci.

- To niewykluczone.

Była już w progu, kiedy sobie przypomniała.

- Ma pan na imię Tommy?

Sprzedawca sprawiał wrażenie zaskoczonego, mimo to odpowiedział:

-Tak.

- Przysłał mnie Arthur - powiedziała.

Poszła do Kryształowych Lodów i zamówiła wegetariańską samosę i fantę. Kiedy podano jej potrawę na papierowym talerzu, usiadła przy stoliku z czerwonym blatem. Obok niej dwaj Azjaci, Pakistańczycy albo Hindusi, wysysali szpik z kurzych kości, a potem je gryźli. Rozmawiali w języku, którego nie rozumiała. Jeden energicznie kiwał głową, jakby chciał powiedzieć: aha, aha, aha.

Margaret odniosła talerz do pojemnika i poprosiła o lody, a kiedy znowu usiadła przy stoliku, jeden z Azjatów spojrział na nią uważnie. Ciekawe, czy dorosła kobieta jedząca lody to dziwny widok tutaj, pomyślała. W mieście, gdzie panowała taka różnorodność kulturowa, może upłynąć wiele lat, nim człowiek nauczy się odpowiednich manier. Wsunąwszy bananowo-kokosową mieszankę do ust, zrozumiała, że nie ma co liczyć na bitą śmietanę. Wyraz „kryształowy” w nazwie nabrał nowego znaczenia.

Wróciła do miejsca, gdzie zostawiła samochód, i z przestraczem stwierdziła, że peugeot nie ma tam, gdzie powinien się znajdować. Pomyślała, że się pomyliła, i dokładnie obejrzała każdy z dwudziestu samochodów parku-

jących wzdłuż bocznej uliczki. Chłopiec, któremu zapłaciła osiem szylingów za pilnowanie auta, siedział na płocie - widział ją, ale ignorował.

- Przepraszam - powiedziała po angielsku. - Czy nie tobie zapłaciłam za pilnowanie samochodu?

Chłopiec sprawiał wrażenie, jakby jej nie słyszał. Powtórzyła pytanie w suahili. *Nataka gari, tafadhali.*

- Nie, panienko - odparł pospiesznie. - Nie, panienko. Margaret przyjrzała się uważnie jego twarzy, drobnemu ciału, gołej klatce piersiowej. Nie potrafiła stwierdzić, czy to istotnie był ten sam chłopiec, ale ufała swojej intuicji.

- Chcę dostać swój samochód - powiedziała spokojnie. Znowu sprawiał wrażenie, jakby jej nie rozumiał. Zniecierpliwiona powtórzyła to samo w suahili.

- Nie, panienko. - Pokręcił głową. - Nie, panienko. Pomyślała, że dostrzegła w jego oczach strach, zadała więc pytanie ponownie, tym razem głośniej. Starszy i wyższy chłopak, umięśniony, z pałką w dłoni, pojawił się w drzwiach nieoznaczonych żadnym szyldem.

- Jakiś problem, panienko? - zapytał. Ubrany był w biały podkoszulek i granatowe spodnie i emanował niewytłumaczalnym autorytetem.

Margaret poczuła, jak jej dłonie robią się zimne.

- Tak - odrzekła z całym spokojem, na jaki było ją stać. - Około dziesiątej rano zaparkowałam tutaj samochód, białego peugeota, i poprosiłam tego chłopca, żeby go pilnował. Dałam mu osiem szylingów.

Starszy odezwał się do młodszego w języku, którego Margaret nie rozumiała, po czym odwrócił się do niej z przesadną uprzejmością.

- Nie, panienko. Chociaż nie wątpię, że jest pani przekonana o swojej racji, myli się pani. Dzisiaj rano na tej ulicy nie było białego peugeota. Mój brat jest tego pewien.

Wyższy chłopak zrobił krok w kierunku Margaret. Czy ośmieliłby się uderzyć białą kobietę?

- To oburzające - powiedziała. Serce waliło jej tak, jakby już wchodziła na Kenię. - Wiem, gdzie zaparkowałam. Ten samochód jest mi potrzebny. Jaki sens płacić osiem szylingów za pilnowanie, skoro samochodu nie ma?

Ulica była pusta. Margaret wiedziała, że starszy chłopak dostrzegł, jak się rozejrzała. Odwrócił się do młodszego i gniewnym głosem coś powiedział. Młodszy utkwiał wzrok w chodniku, pozornie skruszony.

- Bratu jest bardzo przykro, że panią rozgniewał. Przepraszam za niego, bo on jest za głupi, żeby to zrobić. Nalegam jednak, żeby poszukała pani swojego białego peugeota gdzie indziej, gdyż takiego samochodu na tej ulicy nikt nie widział od piątej rano.

Margaret wiedziała, że chłopak nie powie jej, co się stało z samochodem. W słomkowej torbie nie miała dość pieniędzy, żeby zapłacić za taką informację.

Stała jeszcze przez minutę, może dwie, potem odeszła. Zdawała sobie sprawę, że chłopcy się uśmiechają, a w chwili gdy skręci za róg, zakryją usta dłońmi i głośno się roześmieją.

Miała zamiar iść od razu na posterunek policji, najpierw jednak sprawdziła wszystkie boczne uliczki od Kimathi, na wypadek gdyby nie zapamiętała dobrze miejsca, w którym zaparkowała. Znalazła dwa białe peugeoty, ale żaden nie należał do niej. Pomyślała o przesłuchaniu, które może wlec się godzinami, i ogarnęło ją znużenie. Szła tak długo, aż dotarła do hotelu New Stanley. W kawiarni Thorn Tree skorzystała z telefonu przy tablicy ogłoszeń. Oparła głowę o słupek, płaski gwóźdź pozostawił nieznaczne wgłębienie w jej czole. Zadzwoiła do Patricka.

- Ukradziono nam samochód - powiedziała.

- Nie powinno tak być - mówił Patrick, wbijając pięści w uda. Siedział naprzeciwko Margaret przy stoliku w Thorn Tree. Wiedziała, co miał na myśli: kradzieże nie mieściły się w jego zaangażowaniu w sprawy Kenii, jego nadziei dla Kenii. Już im się to zdarzyło cztery razy - i bardzo go zraniło. Gniew sprawił, że twarz Patricka pokryła się plamami. Pili tuskery, które jednak nie zapewniały obiecanej pociechy.

Spojrzał jej w oczy.

- Dobrze się czujesz? - zapytał. Kiedy do niej podszedł, wstała i objęła go. Tulił ją, dopóki nie przestała się trząść.

- Teraz już tak. Zastanawiam się tylko, co by zrobili, gdybym się nie wycofała.

Patrick głośno wciągnął powietrze.

- Bałam się biurokracji na posterunku - powiedziała, chcąc zmienić temat.
- Musiałeś przez to przechodzić przy oponach.

Skinął głową.

- Zadzwoń do Arthura. Odwiezie cię do domu.

- Niemożliwe - odrzekła. - Przywiozłam go do miasta.

- Przywiozłaś Arthura?

- Samochód mu się zepsuł, a Diana potrzebowała landrowera, żeby odwieźć dzieci.

Patrick upił wielki łyk tuskera.

- Co myślisz o Arthurze?

To pytanie ją zaskoczyło. Zupełnie nie pasowało do sytuacji; o czymś takim mogliby rozmawiać piętnaście minut później.

- Jest zarozumiały i arogancki. Nie wiem, czy tylko wobec nas tak się zachowuje, bo jesteśmy - ja jestem - naiwną Amerykanką. Ale podejrzewam, że taką ma naturę. Czasami wydaje mi się, że ma dobre zamiary, a czasami myślę, że się nami bawi jak pies swoją piszczącą zabawką.

- Nie znoszę jego arogancji - odpowiedział Patrick. - Ale niestety ten kraj potrzebuje takich Arthurów, żeby utrzymać się na powierzchni. Potrzebuje też kapitału jego firmy. Powszechnie wiadomo, że po odejściu Kenyatty turystyka upadnie. Rozpaczliwie potrzeba im jakiegoś przemysłu, nie tylko kawy czy rękodzieła.

- Więc nie lubisz Arthura - stwierdziła Margaret, cokolwiek zaskoczona, że jej mąż tak szybko potrafił przeprowadzić analizę kosztów i korzyści. Przez głowę przemknęło jej pytanie, czy tak samo postąpił wobec niej, ale zaraz odrzuciła tę myśl.

- Wstrzymuję się z osądzaniem innych, chyba że zrobią coś idiotycznego.

- A Diana? - zapytała Margaret.

- Diana to ogromnie zajęta elitarystka.

- Zajęta czym?

- Końmi.

Margaret roześmiała się. Upiła łyk piwa i usiadła wygodnie. W kawiarni połowa stolików była zajęta, przeważali cudzoziemcy.

- Chodź ze mną do szpitala - powiedział Patrick, wyjmując portfel. - Pojedziemy stamtąd, a ja skontaktuję się z policją.

Spojrzała na sąsiedni stół. Siedzący przy nim chłopak wyglądał na studenta, pił herbatę i czytał skrypt. Przypomniała sobie o plotce, którą podsłuchała kilka godzin wcześniej. Pochyliła się do męża i zniżyła głos.

- Patrick, wiesz coś o pięćdziesięciu studentach, których zamordowano i wrzucono do masowego grobu?

Zesztywniał, jakby każdy jego miesiąc jeden po drugim odmawiał funkcjonowania.

- Gdzie o tym słyszałaś? - szepnął.

- Tutaj. Podsłuchałam dwóch studentów, którzy rozmawiali przy stoliku obok.

Patrick przysunął się bliżej.

- Co jeszcze słyszałaś?

- Czemu pytasz? - Popatrzyła mu uważnie w twarz. - Wiec lo prawda?

Odwrócił od niej wzrok.

Złapała go za ramię. Dotknięcie jego skóry było dla niej Czymś w rodzaju wstrząsu.

- Dlaczego nie pisano o tym w prasie? Patrick milczał chwilę.

- Żadna gazeta w tym kraju nie opublikowałaby takiej wiadomości - odrzekł wreszcie.

- Dlaczego nie?

- Margaret, prasę kontroluje rząd. Każdy, kto by coś takiego wydrukował, straciłby pracę i pewnie by go aresztowano.

- A my nie moglibyśmy rozgłosić tej sprawy? - zapytała, nie mając właściwie pojęcia, co proponuje. - Przesłać wiadomość do „New York Timesa” albo innego dziennika? Bo wiesz... to wielka sprawa. Pięćdziesięciu studentów w masowym grobie?

- Natychmiast by nas deportowano. Albo jeszcze gorzej. - Nie sprecyzował, na czym owo „gorzej” miałyby polegać. - Sam też tylko o tym słyszałem i z oczywistych powodów nie mogę powiedzieć, od kogo.

- To nie w porządku. - Margaret pokręciła głową. - Jakieś szaleństwo.

- Szaleństwo dla Amerykanina na amerykańskiej ziemi. Łatwiej zrozumieć całą sprawę, kiedy siedzisz w kawiarni w Nairobi.

Ciekawe, czy to prawda, pomyślała Margaret.

- Czy podanie tej sprawy do wiadomości publicznej nie byłoby warte deportacji? - zapytała. - Dlaczego ich zamordowano?

- Podobno należeli do studenckiej grupy protestującej przeciwko aresztowaniu pisarza Thomasa Oulu. Trzymają go w więzieniu bez procesu.

- Dlaczego?

- Jego teksty rząd uznał za wywrotowe.

- Ale ci protestujący to przecież dzieci. Patrick rozejrzał się, po czym pochylił do niej.

- Gdybym pisał słówko, na przykład dziennikarzowi z „Evening Standard”, wcale nie jestem pewien, czy nie przekazałby tej wiadomości komuś z Ministerstwa Informacji. W gruncie rzeczy musiałyby to zrobić, nawet gdyby zamierzał zbadać sprawę. A wtedy aresztowano by mnie i ciebie pewnie też. Przypuszczam, że niewiele czasu by im zajęło wyduszenie ze mnie nazwiska mojego informatora. Też by go aresztowano, może rozstrzelano. Jego rodzinę niemal na pewno dotknęłyby surowe represje. Ale założmy, że tak nie zrobię. Założmy, że dobrowolnie wyjadę z kraju i pójdę prosto do redakcji „New York Timesa”. Oni też będą chcieli wiedzieć, od kogo o tym słyszałem, a ja nie mogę im powiedzieć. Gdyby jakimś cudem zdecydowali się tym zająć i zlecieli komuś śledztwo, czy człowiek dysponujący odpowiednią wiedzą zgodziłby się rozmawiać z amerykańskim dziennikarzem? Strach, że na rodzinę spadną represje, zamyka Kenijczykom usta.

- Może nie doceniasz umiejętności dobrych dziennikarzy.

- Naprawdę?

- Od kiedy o tym wiesz?

- Student przy sąsiednim stoliku spojrzął na Margaret.

- Od mniej więcej tygodnia. - Patrick znowu zniżył głos do szeptu.

-Dlaczego nic mi nie mówiłeś?

- Nie sądzę, żebym ci powiedział, dopóki nie zyskałbym całkowitej pewności, że to prawda. Nie wiem nawet, czy wtedy bym to zrobił. Sam wolałbym o tym nie wiedzieć.

- Jak możesz żyć z tą wiedzą?

- Tak samo, jak mogę żyć z wiedzą, że slumsy Mathari to piekło, że gangi często zatrzymują w nocy samochody i zarzynają wszystkich pasażerów, że szalejąca korupcja znacząco się pogłębiła po śmierci Kenyatty.

- I mimo to chciałeś tu przyjechać. Po co?

- Żeby robić swoje? Egoistycznie studiować dziedzinę, która niezwykle mnie interesuje? Ze względu na karierę?

- Ratujesz ludziom życie - powiedziała Margaret.

- Mam taką nadzieję. Uśmiechnęła się i pokiwała głową.

- Gotowa?

Zabrała słomkowy koszyk i pudełko z butami. Patrick wstał, zostawiając na stoliku kilka szylingów.

Kiedy wyszli z kawiarni do holu, wsunęła dłoń pod zawinięty rękaw koszuli męża. Zaraz poczuła się bezpieczniej.

Arthur sprawiał wrażenie lekko rozbawionego, Diana była wstrząśnięta. Na dworze trwało oberwanie chmury, padał tak rzęśisty deszcz, że nic nie można było zobaczyć za oknem. Siedzieli w małym pokoju obok bawialni, który jeszcze nie dostał nazwy. James przyniósł herbatę, Diana rozlała ją do filiżanek. Margaret drżały dłonie i pomyślała ze zdziwieniem: dlaczego teraz, skoro jestem bezpieczna?

Patrick, który przed chwilą wszedł, bo musiał zmienić koszulę przemoczoną do nitki w czasie biegu z samochodu do domu, usiadł naprzeciwko. Z miasta przywiozła ich Diana. Margaret czekała w samochodzie, kiedy Patrick zgłaszał kradzież na posterunku.

- Moje biedactwo - powtarzała Diana, jakby Margaret była jej siostrzenicą.

Kiedy jechali do domu (Patrick siedział z tyłu), rozpętała się ulewa. Margaret wiedziała, że zakończy się tak nagle, jak się zaczęła, i za kilka minut słońce rozświetli mokry krajobraz, zabłyszczą klejnoty ukryte w koronach

drzew i źdźbłach trawy. Bardzo się bała, gdy Diana jechała przez ścianę deszczu, nie chcąc przeczekiwać ulewy. Widoczność ograniczona była do zera.

- Rzecz w tym - mówił Arthur - że powinnaś była dać parkingowym pięć szylingów za pilnowanie samochodu i obiecać tyle samo po powrocie. W ten sposób miałabyś pewność, że auto pozostanie na miejscu.

Margaret zadała sobie pytanie, czy byłaby w stanie dobić takiego targu w suahili. Spróbowała w myślach, ale pokonał ją tryb łączący.

- Który to raz was okradziono? Czwarty? - Arthur usiłował nie kręcić głową i powściągnąć uśmiech. Margaret czuła do niego nienawiść.

- Od początku płacę chłopcom osiem szylingów - powiedziała obronnym tonem, natychmiast tego żałując.

- O tym właśnie mówię - odparł Arthur.

- Arthurze - zganiła go Diana.

. - Znajdzie się - zapewnił bardziej ugodowym tonem. - Zawsze tak jest. Jakiś czarnuch potrzebuje samochodu, żeby odwiedzić żonę na wsi. Sam nie może nic wynająć, więc umawia się z parkingowymi. Ten starszy, o którym mówiłaś, dzisiaj wieczorem jest bogatszy o pięćdziesiąt szylingów. Opłaciło mu się. Czarnuch pewnie musiał mu oddać połowę pensji, przypuszczam, że miał pilną sprawę. Chore dziecko? Pieniądze, które natychmiast należy przekazać? Konflikt rodzinny, grożący rozlewem krwi? Kto to wie?

- A kiedy załatwi sprawę - dodała Diana - porzuci samochód w bliskiej odległości od przystanku *matatu*, żeby móc wrócić do miasta. Niemal zawsze tak to się odbywa.

Margaret bała się ująć filiżankę, tak bardzo drżały jej dłonie. Arthur, jak zawsze czujny, zauważył to.

- Chyba czas na szklaneczkę whisky - oznajmił. - Która godzina? - Wstał i spojrzał na zegarek, jakby czas miał jakiegokolwiek znaczenie. Przelotnie musnął ramię Margaret, wyraźnie dając do zrozumienia, że „się nią opiekuje”.

Margaret ucieszyła się z whisky. Rozważała nawet, czy się nie wstawić. Był to sposób równie dobry jak inne na przedstawienie się Saartje i Wille-

mowi, którzy przychodzili o siódmej. Lekko się zamroczy, wykąpie, pozna ich. Przynajmniej ma jakiś plan. Wzięła ze stolika „Kenya Morning Tribune”. Patrick przyglądał się jej, gdy studiowała pierwszą stronę. Margaret miała nadzieję, że nowi znajomi okażą się ludźmi wielkodusznymi. Było coś niezwykle upokarzającego w fakcie, że ukradziono im samochód. Nasuwała się myśl o naiwności, której nie można przypisać jedynie krajowi pochodzenia.

- Mam dobre wiadomości - odezwała się Diana. - Odnalazł się hydraulik, przychodzi jutro. Nie mogę obiecać, że naprawi awarię w jeden dzień, choć liczę na to. W przeciwnym wypadku będzie tu spał. Cóż, nie tu.

Margaret zrozumiała. Hydraulik będzie nocował w betonowej chacie tuż za garażem, którą James dzielił z nocnym *askari*. Układ uważano za rewelacyjny: jeden pracował w dzień, drugi w nocy. Margaret nigdy tam nie była, choć betonowa chata bardzo ją intrygowała.

- Wspaniale - odparła, dokładając starań, by w jej głosie nie zabrzmiała nadmierna ulga.

- Z wyjątkiem tego, że teraz kradną bydło uzbrojeni w broń automatyczną - mówił Willem. Arthur chichotał.

Przy kolacji, na którą podano pieczeń, ziemniaki i sos, Patrick odzyskał wigor. Teraz jego cera wyglądała na opaloną i zdrowszą. Margaret zdawała sobie sprawę, że za dużo wypija, co było słychać w bełkotliwym przeciąganiu pewnych sylab. W miarę możliwości starała się nie odzywać. Podczas posiłku Patrick kilka razy na nią spoglądał, oceniając jej stan. Wiedziała, że jej wybaczy ze względu na incydent z parkingowymi. Saartje odnosiła się do Margaret i Patricka z niejakim chłodem, nie ulegało za to wątpliwości, że jest bardzo przywiązana do Diany. Margaret pomyślała, że na tym polega więź, klej cementujący obie pary. Willem odgrywał rolę prezesa, którym istotnie był. W kwestii wspinaczki na Kenię Arthur zdał się na Willema, co było przyjemną odmianą. Diana naturalnie nie zdała się na nikogo.

Saartje także miała ogorzałą skórę, ale była wysoką i śliczną kobietą, o niemal białych włosach, turkusowych oczach i pełnych, nieuszminkowanych ustach. Willem, prawie całkiem łysy i dość otyły, wyglądał na stereo-

typowego burghera z upodobaniem do piwa i kiełbasek. Saartje była od niego wyższa, co tylko uwydatniało jego okrągłą sylwetkę.

Po kolacji przeszli do salonu. Diana i Saartje, dwie blondynki, usiadły blisko siebie na pasiastej sofie. Willem pochylił się nad stolikiem, na którym rozłożył papiery. Patrick ulokował się wygodnie w fotelu, jego szczupłe ciało tworzyło ukośną linię. Arthur nigdzie nie siadał, podawał i uzupełniał drinki, szukał przewodników, które gdzieś miał. Poił Margaret „zardzewiałymi gwoźdźmi”; specjalnie dla niej nauczył się przyrządzać drinka, w skład którego wchodziła szkocka i drambuie. Podziękowała mu za zakończone sukcesem wysiłki, choć zastanawiała się nad jego motywami. Bardzo lubiła dymny smak pierwszej szklaneczki, ale druga budziła w niej czujność. Kiedy odwróciła głowę do Patricka, na moment wzrok jej się zamazał, zaraz jednak jego twarz nabrała ostrości i wszystko wróciło do normy.

- Wyjedziemy z Nairobi o dziewiątej rano - powiedział Willem. - W sobotę dwudziestego drugiego. Noc spędzimy w ośrodku u podnóża góry. Wszystko załatwiłem. Dali nam spory rabat.

Rozległy się oczekiwane podziękowania.

- Ja prowadzę - odezwała się Diana. - Jeśli weźmiemy rowera, a tak zakładam, to ja prowadzę.

- Tak - potwierdził Willem. Dodał, że w samochodzie zmieszczą się wszyscy sześcioro, a bagaże umocują na dachu. - Następnego dnia rano przy bramie parku wybierzemy tragarzy. Jeden na parę, kucharz i przewodnik. W sumie pięciu... Och, i chyba nie muszę o tym wspominać, co? Pilnujcie się, żeby w niedzielę rano nie mieć kaca. To nie pomoże we wspinaczce. Najważniejsze jest odpowiednie nawodnienie, a wyruszenie w drogę z wyschniętymi ustami zmieni pierwszy dzień w prawdziwy koszmar.

- Arthurze - powiedziała Diana i na tym zakończyła.

- W niedzielę pójdziemy od bramy parku do stacji Met. To nam pomoże w aklimatyzacji. Kto zajmie się aprowizacją?

- Ja - zgłosił się Patrick. - Zakładam, że gdzieś jest przyzwoita lista?

- Powiem ci. - Willem zapalił papierosa. -1 dodam jedno: nie będziemy oszczędzać. Kiedy ostatnim razem się wspiąłem, ograniczyliśmy się do

suszonego jedzenia. Ohyda. Żuliśmy to świństwo i zerkaliśmy na sąsiednią grupę, raczącą się gorącą zupą i kawą.

- Będę o tym pamiętał - odparł Patrick. Margaret zauważyła, że zgłaszając się na ochotnika, nie zmienił pozycji.

- Nocleg w stacji Met będzie trudny. Wysokość przeszkadza we śnie. Zalecam nytol. Ale do lekarstw przejdziemy za chwilę. Kto się nimi zajmie?

- Ja - powiedziała Margaret. Uznała, że z tym sobie poradzi.

Willem rozdał wszystkim papier i długopisy. Margaret na swojej napisała: *Leki*. Była pewna, że Patrick jej pomoże.

- Każdy będzie odpowiedzialny za swój bagaż, chociaż poniosą go tragarze. Śpiwory, karimaty, kurtki, peleryny przeciwdeszczowe. Absolutnie nie można zapomnieć o kapeluszach i okularach przeciwsłonecznych. Słońce jest niezwykle intensywne, nawet jeśli nie czuje się ciepła. Ślepotą śniegowa bywa czasem poważnym problemem. Skarpety muszą być wełniane albo syntetyczne, w żadnym razie nie bawełniane. A skoro o tym mowa, do chodzenia zawsze wkładajcie dwie pary. Jeśli jedno zamokną, można je zdjąć. Niezbędne rzeczy trzeba mieć w plecaku, bo można na kilka godzin stracić z oczu tragarza.

- Jak to? - zapytała Margaret.

Willem odwrócił się ku niej z szerokim uśmiechem wielkiego holenderskiego burghera. Często tak się uśmiechał.

- Czasami idą przodem, żeby założyć obóz - wyjaśnił. - Na przykład wtedy, kiedy szlak jest dla nas dość prosty.

Margaret pokiwała głową. Miała nadzieję, że nie okazała przy tym przesadnego entuzjazmu.

- Widok z Teleki jest niesamowity - ciągnął Willem. - Potem czeka nas krótkie zejście i bardzo męczące podejście do obozu Mackindera, gdzie spędzimy trzecią noc. Sobota, niedziela, poniedziałek, poniedziałkowy wieczór. Chcemy dotrzeć tam szybko i wcześniej się położyć. Musimy wstać o drugiej w nocy.

- Auu - jęknął Patrick.

Margaret nawet na sekundę nie mogła przymknąć powiek, bo jeśli nie skupiła na czymś wzroku, pokój wokół niej wirował. Żałowała, że nie może

zjeść solidnego kawałka ciasta, które pochłonęłoby część alkoholu, ale deser już podano, ciasto biszkoptowe z kremem i sherry. Jedli je trzeci lub czwarty raz u Diany. Może znalazłaby jakieś resztki w kuchni, aczkolwiek James bez wątpienia już posprzątał. Pewnie śpi teraz w betonowej chacie za garażem. Diana i Saartje śmiały się z czegoś, czego Margaret nie usłyszała. Piły *creme de menthe* w wysokich kieliszkach do szampana. Z miejsca, gdzie siedziała, czuła mdlący zapach likieru.

- Dzień trzeci wspinaczki. Piarg i lodowiec. - Willem zgasił papierosa. - Przez większość drogi idziemy w ciemnościach. Osobiście nie lubię lodowców po ciemku, więc wyruszymy trochę później, trzecia będzie odpowiednia. W ten sposób dotrzemy do lodowca o wschodzie. Przejście będzie cholernie trudne.

Margaret rozważała ideę lodowca na równiku. Zamarza i topnieje, zamarza i topnieje? A może jest zamrożony od tysiącleci?

- Nie będę was oszukiwał. Piarg to nie przelewki. Czekaą nas trzy godziny bardzo stromego podejścia i łapania powietrza. Zwykle tam się zaczyna choroba wysokościowa. Przewodnik i tragarze przeprowadzą nas przez lodowiec. Zwracajcie uwagę, co mówią, robili to setki razy. Wszyscy będziemy przywiązani do liny przewodnika i tragarzy. Przewodnik będzie miał czekan do wyrybywania śladów, po których pójdziemy. Droga jest piekielnie przerażająca i ekscytująca. Przejdziemy trawersem przez lodowiec pod ostrym kątem, a możecie mi wierzyć, na dół jest cholernie daleko.

- Willem upił łyk. - Stamtąd idziemy do Górnej Chaty. Ci, którzy na tym etapie będą w dobrej kondycji, podejmą próbę zdobycia szczytu. Poczekaćcie, niech zobaczę. Jest nas sześcioro? Tylko dwie osoby wejdą na szczyt.

- A co się stanie z resztą? - zapytała Margaret.

- Będziecie jęczeć z bólu głowy na pryczach albo wymiotować. Każdy oczywiście ma nadzieję na to pierwsze. Ból głowy to wystarczająca udreka. Stamtąd na sam szczyt prowadzi strome podejście przez śnieg, droga zajmuje około czterdziestu pięciu minut. Ale warto, jeśli się tam dotrze.

- A czy nie o to chodzi? - zapytała Diana. - Żeby wejść na szczyt?

- Tak myślisz? - zastanowił się Arthur. - Moim zdaniem istotą jest sama wspinaczka. Poradzenie sobie z nią.

- W tej chwili chętnie miałbym ją za sobą - stwierdził Patrick.

Margaret uśmiechnęła się do męża.

- A potem musimy zejść. - Arthur wyraźnie cieszył się na tę część wyprawy.

- Zejście jest szybkie - powiedział Willem. - Uważajcie na piargu, łatwo tam sobie złamać kostkę. A teraz lekarstwa. W górach grożą dwie poważne dolegliwości: odma płucna i odma mózgowa. Objawy odmy płucnej to krwawa piana z ust, objawy odmy mózgowej to ataksja, bełkotliwa mowa, ogólna dezorientacja. Jedynym lekarstwem jest zejście z góry tak szybko, jak to możliwe. A czasami nawet to nie skutkuje. Odma płucna bywa śmiertelna.

Margaret pomyślała, choć nie powiedziała tego na głos, że w tej chwili sama chyba ma lekki atak odmy mózgowej.

- Więc potrzebujemy następujących lekarstw - zwrócił się do niej Willem. - Aspiryna na gorączkę i ból głowy, ibuprofen na bóle mięśni, paracetamol na przeziębienia, diamox jako środek profilaktyczny na chorobę wysokościową, imodium na biegunki, olejek goździkowy do zębów oraz tabletki do uzdatniania wody.

- Myślałam, że bierzemy własną wodę. - Saartje po raz pierwszy włączyła się do ogólnej rozmowy, choć bardzo dużo mówiła do Diany.

- Absolutnie wykluczone, żeby tragarze wzięli dość wody dla nas wszystkich na cztery dni. Będziemy czerpać wodę ze strumieni.

- Nie dosłownie - sprzeciwił się Arthur.

- Ależ jak najbardziej dosłownie. - Dobra.

- Na czym skończyliśmy?

- Tabletki do wody - odparła Margaret, sprawdzając fetę.

- Sól w tabletkach do uzupełnienia płynów, nytol na sen.

- Lepiej niech ktoś zabierze butelkę - powiedziała Saartje. - Cała ta sprawa wygląda na cholernie nudną.

- Bo pod pewnym względem taka jest - zgodził się Willem. - Nudna. Trzeba spędzić sporo czasu w schroniskach. Myślicie, że będziecie chcieli

grać w karty, pić albo rozmawiać, ale to nieprawda. Będziecie tylko chcieli jeść i spać.

A alkohol jest absolutnie wykluczony. Najpewniejszy sposób na samobójstwo w górach.

- Proponuję, żebyśmy poćwiczyli w górach Ngong - zaproponował Arthur. - Rozchodzimy buty, rozruszamy nogi. Co o tym myślicie?

- Kiedy? - zapytała Diana. - W sobotę jeżdżę.

- Niedziela?

- Mnie pasuje - powiedział Patrick, patrząc na Margaret. Przez chwilę Margaret zastanawiała się, co to wszystko

ma wspólnego z parkingowymi, masowymi grobami i małymi dziećmi załatwiającymi się na ulicy. Pokój zawirował, nie pomogło nawet usilne wpatrywanie się w Patricka. Miała tylko nadzieję, że mąż nic nie zauważył.

Margaret zasnęła, obudziła się, znowu zasnęła. Kiedy obudziła się po raz drugi, chciało jej się pić, więc poszła ze szklanką do łazienki. Wzięła przewodnik po górze Kenii, po czym z gościnnego pokoju powędrowała przez hol do salonu, który na szczęście przestał się obracać. Odkąd zamieszkali w gościnnym pokoju, ani razu w nocy go nie opuszczała. Miała nadzieję, że jutro będą spali we własnym łóżku w domku.

Wieczorem Patrick łagodnie ujął ją za łokieć i pożegnał się z towarzystwem. Wspomniał, że dla jego żony to był ciężki dzień. Padła na łóżko, kiedy tylko przekroczyli próg, i musiał zdjąć z niej te części ubrania, z którymi dał sobie radę. Kiedy Margaret się obudziła, miała na sobie figi i bluzkę ze skomplikowanym zapięciem.

W salonie paliło się światło - lampka bezpieczeństwa, pomyślała. Usiadła na bordowej sofie. Zdawała sobie sprawę, że źle robiła notatki; oboje z Patrickiem będą musieli wysilić pamięć, żeby odtworzyć wszystkie leki.

Głowa ją bolała, usta miała wyschnięte. Upokarzające, że pokazała wszystkim, jak fatalnie radzi sobie z alkoholem. Zardzewiałe gwoździe. Nigdy więcej. Wypiła wodę i wstała. Na tacy stała miska z roztopionym lodem, przelała więc zawartość do szklanki i ją także opróżniła. Wróciła na

sofę i położyła się, opierając głowę na poduszce. Sięgnęła po przewodnik i zaczęła czytać o górze Kenii, zaintrygowana jej historią.

Odkryli ją Europejczycy jako drugi z trzech najwyższych szczytów Afryki. Pierwszy, który o niej wspomniał, był doktor Johann Ludwig Krapf, niemiecki misjonarz z Kitui. Odkrycia dokonano 3 grudnia 1849 roku, rok po odkryciu Kilimandżaro. Doktorowi Krapfowi ludzie z plemienia Embu powiedzieli, że nigdy nie weszli na górę z powodu niezwyklego zimna oraz białej rzeczy, która toczyła się na dół z głośnym hałasem.

Pierwszą prawdziwą wyprawę na górę w roku 1887 poprowadził hrabia Samuel Teleki z Transylwanii. Od południowego zachodu dotarł na wysokość 4349 metrów. Razem z towarzyszem wrócili potem na wschodnie zbocze, ale nie byli w stanie przedrzeć się przez las.

W roku 1893 kolejna wyprawa dotarła aż do lodowców. Przez kilka godzin bezskutecznie próbowano pokonać lodowiec Lewis.

W lipcu 1899 roku wyruszył na Kenię sir Halford John Mackinder. W skład ekspedycji wchodziło sześciu Europejczyków, sześćdziesięciu sześciu Suahili, dwóch masajskich przewodników oraz dziewięćdziesięciu sześciu Kikuju. Nie bez przeszkód dotarli do stóp góry. Nie tylko musieli przemierzyć kraj zniszczony epidemią i głodem, ale niektórzy z tragarzy Kikuju uciekli z kobietami z różnych wiosek. Inni okradali miejscowych, co wrogo nastawiło do ekspedycji wodzów. Dwóch uczestników zostało zabitych przez Afrykańczyków.

Grupa Mackindera zdołała się przeprawić przez lodowiec Lewis. W samo południe 13 września weszli na Batian, jeden ze szczytów Kenii.

Podczas drugiej wojny światowej trzech włoskich jeńców wojennych pod wodzą Felice Benuzziego uciekło z obozu w Nanyuki, żeby wspiąć się na Kenię. Zrobili to, bo Benuzzi pragnął wejść na szczyt, na który patrzył od miesięcy. Później, zgodnie z pierwotnym planem, „uciekli” z powrotem do obozu.

Podczas wyprawy treningowej szli zwartą grupą, prowadził Willem, za nim Saartje, Diana i Arthur, a Patrick i Margaret zamykali pochód. Margaret chciała iść na końcu, ponieważ wszystko wskazywało na to, że będzie najwolniejsza, ale Patrick się nie zgodził, uważał, że to nie jest bezpieczne. Najlepiej, jeśli na początku i końcu pójdą mężczyźni, oznajmił. Margaret miała zamiar zaprotestować, powołując się na feminizm, jednak zrezygnowała. Może Patrick wie o czymś, o czym ona nie ma pojęcia. Rozejrzała się, ale u nikogo nie dostrzegła żadnej broni.

Niemal od razu odkryła własne ograniczenia, wysokość odebrała jej oddech, przyspieszyła bicie serca. Pozostali wyglądali jak doświadczeni turyści w szortach, długich skarpetach i znoszonych butach. Willem i Arthur ubrani byli w koszule i szorty khaki, Patrick w sprany T-shirt z napisem „McGovern”.

Pomimo lekkiego ucisku w płucach Margaret z podniecenia kręciło się w głowie i czuła wielką determinację. W drodze na pierwszą grań roztoczył się przed nią wykraczający poza wszelkie wyobrażenia widok na dolinę Rift; rozległą, głęboką, pozornie nieskończoną. Pewnie było tam koło czterdziestu stopni. Łatwo zrozumieć, że jej mieszkańcy, Masajowie, zbyt teraz odlegli, by ich zobaczyć, nabrali przekonania, iż są jedynym ludem na ziemi, wybranym, postawionym na straży tego terenu, może nawet czującym wobec niego pokorę. Równie surowe piękno musi w mieszkańcu zaszcześcić poczucie wyższości.

Margaret wiedziała, że Masajowie znad Nilu nieustępliwie przestrzegają swej wiary i zwyczajów: prowadzą życie nomadów, są wierni rytuałom oraz diecie złożonej z krowiej krwi i mleka, coś nie do pozazdroszczenia, choć to jej zawdzięczali godne zazdrości wysmukłe sylwetki.

Szli przez łąki jakby żywcem przeniesione tu z Anglii, pola pełne dzikich kwiatów rozmaitych gatunków, niektórych nazw nikt z grupy nie znal. Re-

zultatem wspinaczki oprócz przejęcia był rodzaj sennego oszołomienia i chwilami Margaret pragnęła tylko zejść ze szlaku i położyć się wśród kwiatów. To już stanowiłoby dostateczną nagrodę. Po co oddalać się od raj? Żeby potem móc powiedzieć, że się zaliczyło górę? Przysięgła sobie, że po wyprawie na Kenię wróci w to miejsce z Patrickiem.

Krajobraz był zielony, ziemia żyzna i pofałdowana; Margaret od razu pojęła, dlaczego Brytyjczycy tutaj się osiedlili. Mijali ruiny dawnych farm: fundamenty, kamienne mury, ścieżki najwyraźniej wydeptane przez zwierzęta. Patrick zrównał się z żoną i położył jej dłoń na ramieniu.

- Jak sobie radzisz?

- Jest cudownie - odparła; słyszała jednak, jak jej brakuje tchu.

- Jeśli chcesz, możemy odpocząć. Szlak jest prosty, dogonimy ich.

Margaret chciała powiedzieć: tak, zostawmy ich, przeżyjmy to tylko we dwoje, ale coś w jej wnętrzu (konformizm?, niechęć do wywołania sceny?, duma?) kazało jej się uśmiechnąć i pokręcić głową.

- Nie trzeba, naprawdę.

Kiedy wreszcie zatrzymali się na piknik, miała wrażenie, że nie zrobi już ani jednego kroku. Serce jej waliło i dręczyło ją straszne pragnienie. Zapomniała, kto ma wodę. W swoim plecaku niosła butelkę wina i świeży chleb, wyśmienity w innych okolicznościach, ale obecnie zupełnie dla niej bezużyteczny.

Usiadła w miejscu, gdzie stała. Piękno trawy okazało się zwodnicze: źdźbła nie były miękkie, ale ostre, spiczaste i kłujące. Margaret podciągnęła kolana i oparła na nich głowę. Ta wyrażająca porażkę pozycja wprawiała ją w zakłopotanie, ale na nic lepszego nie było jej stać. Patrick położył dłoń na jej plecach.

- Wody - szepnęła.

Podał jej menażkę. Ujęła ją w obie dłonie i przechyliła, wlewając wodę w usta.

- Margaret, powoli - powiedział. - Musi nam wystarczyć na całą drogę.

Odsunęła menażkę. Wypiła chyba dwie trzecie zawartości. Uznała, że najgorsze ma już za sobą, że pokonali długie podejście na szczyty Ngong

Hills i zdobyli przynajmniej jeden. Przypomniała sobie własne pompatyczne oświadczenie, które wygłosiła w samochodzie do Arthura.

„Nie przyjechałam tu zdobywać”.

Arthur i Willem, którzy nieśli większe plecaki niż pozostali, wyczarowali z nich płócienne krzeselka.

- Nigdy nie siadaj bezpośrednio na trawie - powiedział Arthur, podając krzeselko Margaret. Pomógł jej wstać, a potem usiąść. Zaczynała mu wybaczać pretensjonalny strój khaki. Nie wyjaśnił, dlaczego nie powinna siadać na trawie.

Kilka kroków dalej Diana i Saartje rozłożyły stolik. Wszyscy podeszli i wyjęli z plecaków jedzenie. Koło stolika leżała cerata w niebiesko-czerwona kratę przypominająca wielkością sporą koldrę, ale nikt na niej nie siadał. Margaret przysunęła krzeselko i usiadła, doceniając sprężystość płóciennego siedziska. Saartje i Diana przygotowały piknik godny najlepszych ekspedycji safari: były tam cztery rodzaje kanapek bez skórek, rogaliki z masłem i dżemem jeżynowym, herbata, świeże bochenki chleba, takie jak ten z plecaka Margaret, sery, kilka butelek wina i ananas, który Arthur ze znanstwem pokroił.

Margaret skosztowała wszystkiego po trochu, z radością przyjmując plasterki ananasa, soczystego owocu, który wydał jej się najpyszniejszy, jaki w życiu jadła. Poczęstowała się delikatną kanapką z ogórkiem, filiżanką herbaty z termosu i kawałkiem chleba z kruszącym się serem - ktoś powiedział, że to caerphilly, i podkreślił, że z importu. Holendrzy i Brytyjczycy od razu otworzyli wino, które pili z plastikowych kubków psujących smak. Kiedy zaproponowano wino Margaret, przezornie odmówiła. Wierzyła we wszystko, co Arthur i Willem mówili o alkoholu i wysokości. Patrick przyjął wino i podał kubek żonie, żeby wypić łyżeczek. Jego maniery i zrozumienie jej organizmu - jego możliwości i ograniczeń - były bez zarzutu.

- Przypuszczam, że pytanie... cóż, zawsze pozostaje pytanie, zgodzicie się... powinniśmy czy nie podjąć próby wprowadzenia Masajów w dwudziesty wiek.

Wraz z jedzeniem Willem postawił przed nimi na stole problem, by go dostrzegli, a może nawet przedyskutowali.

- Ja uważam, że ten wysiłek jest niezbędny - powiedział Arthur. - Wyglądają majestatycznie w swoich szatach i *mari-dadi*, ale gdybyście pojechali do *manyatta*, tak jak ja, bylibyście przerażeni. Nad oczami niemowląt wiszą chmary much wielkości piłek. Dym w chatach dusi. Medycyna jest prymitywna, robi więcej szkody niż pożytku.

Margaret zastanawiała się, jaki powód miał Arthur, by odwiedzać *manyatta*! Próbował sprzedać Masajom pastę do zębów?

- Za to doskonale wiedzą, kim są - zaprotestował Patrick. - Struktura ich nomadycznej społeczności jest starożytna, od wieków niezmienna. Chronią swoją własność, są zadowoleni z życia. Nie są obojętni, leniwi czy znudzeni. Głęboko wierzą w swoich bogów, rytuały i ceremonie.

- Nie są wykształceni! - wykrzyknął Arthur.

- To prawda, za to doskonale znają zwyczaje i normy swojego plemienia.

- Ale żyjemy w dwudziestym stuleciu. Na litość boską, to nie jest wiek szesnasty. Ludzie muszą się dostosować, adaptować, inaczej nie będą się rozwijać. Tak czy owak, Patrick, jak na lekarza prezentujesz dość niezwykle stanowisko w tej kwestii.

- No to popatrzmy na Kikuju - odparł Patrick. - Wprowadzono ich na siłę w dwudziesty wiek, choć niektórzy wrzeszczeli i kopali. Oni także przed przybyciem Brytyjczyków mieli zwartą strukturę społeczną. Potem pozbawiono ich ziemi, zamieniono w niewolników...

- To nie jest niewolnictwo - stwierdził Arthur, oderwawszy zębami kęs chleba. - Nie dramatyzujemy.

- W takim razie nazwijmy to podległością. Ich los niczym się nie różni od losu chłopca pańszczyźnianego. Mężczyźni przenieśli się do miast zarabiać europejskie pensje, które choć według naszych standardów są żałośnie małe, dla pewnych rodzin Kikuju oznaczają postęp. Ale te rodziny wciąż mieszkają *wshamba*, a w domu nie ma ojców ani braci. W miastach powstają slumsy, pojawiła się prostytutka, materia życia Kikuju została rozerwana.

- Kikuju rządzą krajem i są do szpiku kości skorumpowani - oznajmił zapalczywie Arthur.

-Chcesz powiedzieć, że na przykład takiemu Jamesowi byłoby lepiej, gdyby został na wsi i nigdy nie przyjechał do Nairobi? - zapytała Diana.

Przywołując przykład Jamesa, Diana skutecznie zakończyła dyskusję. Patrick w żadnym razie nie mógł odpowiedzieć, że James prowadzi niezwykle ponure życie, bo oddzielony od żony i dzieci przez pięćdziesiąt jeden tygodni w roku służy białej rodzinie i mieszka w betonowym schronie. Komuś takiemu, mógłby argumentować Patrick, należy wybaczyć zastanawianie się nad celem rebelii Mau-Mau i sensem ruchu Uhuru. Nie dla Jamesa wolność, bez dwóch zdań. Patrick popijał wino, nie chcąc lub nie będąc w stanie wykorzystać innego przykładu do udowodnienia poglądu, z którym Brytyjczycy i przypuszczalnie Holendrzy w żadnym razie się nie zgodzą.

-Gdzieś tam jest pochowany Finch Hatton - odezwała się Saartje, wskazując orientacyjną drogę do grobu kochanka Karen Blixen. - Musimy zobaczyć obelisk.

-Arogancki rozpustnik - oznajmił z pogardą Arthur. -Cholernie źle traktował Tanne, kiedy tu mieszkała. - Mówił tak, jakby z pierwszej ręki znał cholernie źle traktowanie Karen Blixen, choć przecież dzieliło go od niej całe pokolenie.

- Ja chętnie obejrzę grób - powiedziała Margaret.

-Kobiety. Beznadziejne romantyczki - skomentował. - Cóż, skoro jedno z nas idzie, idziemy wszyscy - dodał z umiarkowaną radością. - Musimy trzymać się razem. Nie możemy rozbijać grupy.

-Też chciałbym zobaczyć to miejsce. - Patrick wstał. - Choć liczę, że wolno mi się wysikać bez towarzystwa grupy - dodał, idąc w kierunku najbliższej kępy drzew.

- Poślemy dziewczęta, żeby cię popilnowały! - zawołał Willem i zaraz się roześmiał z własnego żartu.

Dziewczęta, pomyślała Margaret.

Nikt nie miał ochoty kończyć pikniku. Patrick po powrocie wyjął z plecaka brązowo-żółto-czerwony latawiec. Przywiązał koniec i zwolnił sznurki, po czym zygzakiem pobiegł, by latawiec nabrał wysokości. Po kilku sekundach wiatr znad doliny poniósł go w górę. Latawiec trzepotał gwał-

townie, jakby próbował złapać równowagę, potem uniósł się wyżej i leniwie podryfował, zataczając długie pętle. Wszyscy zadarli głowy. Patrick wrócił i przywiązał sznurek do nogi swojego krzesła.

- Cudowne - powiedział Arthur. - Dzieciom bardzo by się podobało, prawda, Diano?

- Podobałoby się - powtórzyła.

Przez kwadras, może dwadzieścia minut Margaret fotografowała latawiec, krajobraz, towarzystwo. Panowało przyjazne milczenie. Patrick obserwował latawiec, od czasu do czasu regulując sznurek. Arthur wpatrywał się przed siebie z łokciami opartymi na kolanach. Willem, mimo że wyraźnie za obszerny na płócienne krzeselko, także sprawiał wrażenie pogrążonego w transie jak pozostali. Podniósł butelkę i wylał resztę do swojego kubka. Saartje z brodą podpartą na dłoni próbowała objąć dolinę Rift jednym spojrzeniem, zadanie niewykonalne. Diana po prostu odpoczywała w pozie swobodnej i eleganckiej.

Chwila idealnego zgrania i spokoju. Ostatnia, jaką te sześć osób wspólnie przeżyło.

Nagle Diana bez ostrzeżenia wstała.

- Nic nie zostawiamy. Żadnego jedzenia, naczyń, śmieci. Patrick z ociąganiem zwinął latawiec.

- Powtórzymy to - powiedziała Margaret, nie po raz pierwszy myśląc, że Patrick będzie wspaniałym ojcem. On szczerze lubił się bawić.

Jej plecak był znacznie lżejszy z pustą butelką i bez chleba. Teraz niosła swoją manierkę; nie zdawała sobie sprawy, że wcześniej miał ją Patrick. Przysięgła sobie, że cały dzień przed wielką wspinaczką spędzi na picciu wody. To nic, że będzie musiała nieustannie biegać do toalety, nigdy więcej nie chce doświadczyć takiego pragnienia.

Margaret podniosła się, gotowa do drogi. Zwinęto ceratę, Willem i Arthur poskładali krzesła i stół, po czym spróbowali je wepchnąć do plecaków, co okazało się trudniejsze niż wyjęcie ich stamtąd. Margaret błądziła wzrokiem po dolinie. Nagle poczuła ostry ból w nodze, a po kilku sekundach dziesiątki następnych, jakby ktoś kłuł ją igłami.

- Och - jęknęła, uderzając rękami po dzinsach. Mężczyźni wyglądali na zdziwionych, ale Diana od razu

się zorientowała w czym rzecz i pobiegła w jej stronę.

- Cholera! - krzyknęła. - Mrówki ogniste! Stała w mrowisku.

Margaret gorączkowo biła się po nogach. Spojrzała w dół. Wokół jej stóp poruszała się czerwona masa.

- Biegnij! - rozkazała Diana. - Zdejmuj ubranie i biegnij!

- Och - jęknęła Margaret. Mrówki były w jej butach, nogawkach, zbliżały się do pachwiny. Czuła, jakby sama Afryka ją zaatakowała, jakby ziemia powstała, by zakłuć ją na śmierć.

- Potrzebny mi ręcznik! - zawołała Diana.

Margaret odpięła pasek i zsunęła spodnie, podczas gdy Saartje i Diana zmagaly się z jej butami. Na nogach już się tworzyły czerwone bąble. Mrówki ciągnęły dziesiątkami szeregów, niektóre Margaret widziała przez nylon fig. Próbowwała je strzepnąć, ale zaraz pojęła, że to za długo potrwa. Zdjęła majtki i uciekła. Później pozbyła się bluzki i stanika. Diana i Saartje rzucały każdą mrówkę, którą zdołały znaleźć. Sprawdziły też jej włosy.

- O Boże - jęknęła Margaret, kiedy strzepywały mrówki z jej pleców i szyi.

- Saartje, mam w plecaku zapasowe ubranie - poleciała Diana.

Margaret pragnęła lewitować, tak by jej stopy nie dotykały dłużej ziemi. Wiedziała, że jej przypominająca występ kłowna szamotanina byłaby śmieszna, gdyby nie wiązał się z nią taki ból. Zauważyła, że Willem się odwrócił (Diana i Saartje doskonale panowały nad sytuacją), natomiast Patrick i Arthur patrzyli prosto na nią. Rozumiała męża, ale o co chodziło Arthurowi? Mocno strzepnęła ręcznik i owinęła się nim. Arthur gwałtownie odwrócił głowę, choć Diana zdążyła to dostrzec.

Rzeczy Diany były za małe dla Margaret, szorty przyciasne, bluzka krótka.

- Co mam z nimi zrobić? - zapytała, wskazując swoje rzeczy niemal prostą linią znaczącą drogę, którą oddalała się od mrowiska. Przypominały jej ubranie porzucone w drodze do łóżka.

- Nie ruszaj ich - poleciła Diana. - Nawet się do nich nie zbliżaj. Wciąż pełno w nich mrówek.

Patrick podbiegł i złapał buty. Trzymając je na odległość ramienia, mocno nimi potrząsał. Uderzył się w przegub. Buty trzeba było uratować.

Bąble na ciele Margaret zaczęły puchnąć. Diana przyłożyła jej dłoń do czoła, jakby spodziewając się gorączki, i powiedziała:

- Bywały przypadki, że pogryzieni ludzie umierali. Margaret natychmiast odpedziła sprzed oczu wizję siebie samotnej w lesie Ngong.

Pomyślała o twarzy Arthura i owinęła się w pasie ręcznikiem jak khangą. Na stopach miała buty, które Patrick bardzo dokładnie sprawdził. Stawiała kroki ostrożnie, nie podnosząc głowy, wyczekując na ugryzienie jakiejś ukrytej mrówki. Usta jej napuchły, musieli się więc zatrzymać, żeby Patrick mógł ją obejrzeć. Na pytanie, czy ktoś ma benadryl, pozostali odpowiedzieli przecząco.

- Dopisz do listy - powiedział Willem. Margaret mogła tylko kiwnąć głową, mówienie sprawiało jej zbyt wielki ból. Kiedy wracali do rowera, Patrick ją podtrzymywał. Wizyta na grobie Fincha Hattona nie wchodziła w grę.

Diana z zaciśniętymi wargami prowadziła. Na zakręcie Margaret zauważyła, że ostatni idzie Arthur.

Później zaczęły się rozmowy o odłożeniu wielkiej wspinaczki, ale Margaret była nieugięta. Pójdą. Diana ją poparła.

- Nic jej nie będzie - oznajmiła. - Absolutnie nic.

Kiedy zamieszkali w domku, mrówki nawiedzały Margaret w snach, tak jak uczyniły to na jawie w czasie pikniku; jakby potężny brązowy wilczomlec rosnący za oknem przedzierał się przez siatkę i od czasu do czasu ją kłuł. Patrick dał jej tabletki. Bąble zaczęły swędzić i krwawiły, kiedy je rozdrapywała. Żeby jej to uniemożliwić, Patrick ją zabandażował. Nocami przerażeniem nappełniała ją myśl o tym, co może być pod łóżkiem. Nosila wyłącznie buty na platformach, a gdy odważyła się wreszcie wyjść z domu, nie odrywała wzroku od ziemi. Myślała, że nie będzie w stanie zobaczyć szczytu Kenii, ponieważ nie odważy się unieść oczu.

Zgodnie z przewidywaniami Diany w środę Margaret czuła się już dobrze. Wieczorem ktoś głośno zabębnił w drzwi. Patrick złapał gruby kij, który trzymał w szafie. Powiedział Margaret, żeby zamknęła się w sypialni, ale go nie posłuchała. Jak Patrick sam sobie poradzi? Zawołał i w odpowiedzi nawet Margaret rozpoznała głos Diany. Do salonu weszły niemal jednocześnie. Diana przyprowadziła Adhiambo, *ayah* dzieci, która na próżno usiłowała zakryć twarz ścierką.

- Mówi, że ją zgwałcono - oznajmiła Diana.

Wystarczyło jedno spojrzenie na młodą Afrykankę, by wiedzieć, że przydarzyło jej się coś strasznego. Bluzkę miała rozdarta, różowo-czerwoną khangę znaczyła smuga błota biegnąca od biodra do kostki. - Przyszła do nas po pomoc - ciągnęła Diana. - Ale nie może być w domu, kiedy dzieci się obudzą. Po prostu nie może. Nie w tym stanie. Chciałabym zostawić ją u was, o ile oczywiście się zgodzicie. Wszystko będzie dobrze. Rano James odprowadzi ją do domu i sprawdzi wszystkie zamki.

- Oczywiście - odparła Margaret, wyciągając rękę do Adhiambo, zaraz jednak znieruchomiała, uświadamiając sobie, że dotyk nieznajomej osoby może przerazić dziewczynę. A może dotyk kobiety przyniósłby Afrykance ulgę?

Diana wytarła czoło wierzchem dłoni.

- Kłopoty chodzą trójkami - powiedziała.

Dopiero kiedy Margaret zamknęła drzwi, zadała sobie pytanie, który numer Diana miała na myśli.

Adhiambo milczała. Patrick chciał ją zawieźć do szpitala, ale kiedy to zaproponował, gwałtownie pokręciła głową. Ścierka, którą zakrywała twarz, była pokrwawiona; Margaret zauważyła też guz na czole dziewczyny, wielki prawie jak jajko. Dała jej szklanekę wody. Chciała zapytać, co się stało, ale wiedziała, że Adhiambo nie jest gotowa do rozmowy. Sfrustrowany Patrick podniósł słuchawkę.

- Nie - powiedziała Margaret, więc ją odłożył.

- Przynajmniej pozwól, żebym ją zbadał.

Margaret wytłumaczyła Adhiambo, że Patrick jest lekarzem i sprawdzi tylko, czy wszystko z nią w porządku. Dziewczyna znowu pokręciła głową i ruszyła do drzwi.

Margaret pobiegła za nią i zagroziła jej drogę.

- Nikt cię nie tknie - powiedziała. Odwróciła się i tyłem wróciła do pokoju, zachęcając Adhiambo, żeby za nią poszła. Wskazała jej sypialnię. - Przygotuję ci kąpiel.

Adhiambo stała nieruchomo. Na podłodze pozostały krwawe ślady jej stóp. Margaret oczyma wyobraźni zobaczyła całą scenę: rozbite okno, odłamki szkła.

- Zgódź się, żebym obejrzała twoje stopy, zanim wejdiesz do wanny. Mogłaś nadepnąć na szkło. Gdybyś potrzebowała plastrów, powiedz, mam w szafce.

Weszła do łazienki i odkręciła kurki. Z półki wzięła dwa świeże ręczniki, które położyła na komódce, znalazła czystą bieliznę, khangę i bluzkę; obie z Adhiambo miały podobny wzrost i rozmiar. W końcu kiwnięciem głowy dała znak i dziewczyna weszła do łazienki. Margaret przelotnie pomyślała o samobójstwie. Wzięła brzytwę Patricka i nożyczki, mrużąc, że są jej potrzebne. Adhiambo jednak sprawiała wrażenie zbyt przygnębionej, by mieć siłę na odebranie sobie życia. Margaret zamknęła drzwi.

Zmieniła pościel na łóżku. Z szuflad zabrała niebezpieczne przedmioty i dała je Patrickowi do schowania. Poprosiła, żeby nadmuchał materace, które kupili na wyprawę. Siedziała na skraju łóżka, ale co chwila nerwowo wstawiała i przykładała ucho do drzwi. Nie słyszała płaczu, tylko chlupot wody. Nie potrafiła sobie wyobrazić, o czym tamta myśli.

Wreszcie w progu stanęła Adhiambo ubrana w czyste rzeczy, z włosami zawiniętymi w ręcznik; własne brudne ubranie schowała w tobołku zrobionym z bluzki. Szybko się cofnęła, kiedy Margaret chciała go zabrać, więc Margaret wskazała łóżko, kładąc dłoń na kołdrze. Adhiambo kiwnęła głową, niezdolna odmówić. W tym stanie nie pamiętała o dobrych manierach.

Przed wyjściem Margaret odsunęła kołdrę, odsłaniając prześcieradło. Wyobrażała sobie Adhiambo leżącą na kołdrze, starającą się jak najmniej

zgnieść pościel, a przecież już dygotała. Chciała, żeby dziewczyna dobrze się przykryła.

Kiedy Margaret zamknęła drzwi, Patrick kończył nadmuchiwanie drugiego materaca. Twarz miał purpurową. Zatkanął wentyl i wziął głęboki oddech.

- Wyżej w górach to będzie straszne - powiedział. Dłonie Margaret zaczęły drżeć, co było pierwszym objawem szoku.

- Powinnaś mi była pozwolić wezwać pomoc.

- Nie pojechałaby.

- Może ma poważne obrażenia. Wewnętrzne. Mogłem ją zbadać.

- Widziałeś ją. O mało nie uciekła. W tym stanie? Dokąd by poszła?

- Cholera jasna.

- Niech się prześpi. Rano przyjdzie James, myślę, że z nim porozmawia. On nam powie, co się stało. Wtedy może pozwoli, żebyśmy zawieźli ją do szpitala.

- Tak uważasz?

- Nie. W żadnym razie nikogo nie oskarży. Byłaby pariaską, wyklętą przez własną rodzinę. Widziałeś jej twarz.

- Wstydziała się.

- Właśnie, wstydziała się. Tu jest inaczej niż u nas. Patrick pokręcił głową.

- Proszę - powiedział, kiedy nadmuchał drugi materac.

Rozwinęli śpiwory. Zamiast poduszek Patrick położył puchowe kurtki. To nie było idealne rozwiązanie, aczkolwiek do przyjęcia.

- Muszę się wysikać, ale nie chcę jej niepokoić - powiedziała Margaret. - Może zacząć krzyczeć, kiedy ktoś otworzy drzwi.

- Pozostaje ci wiadro.

- Mamy wiadro?

- Mamy garnek.

- Nie skorzystam z garnka. Muszę wyjść na dwór. Margaret włożyła sandały. Bąble wyglądały nieładnie, choć

już nie swędziały. Ledwo wyszła z kuchni, musiała się schylić. Dziesiątki ciem, niektóre wielkie jak ptaki, były skrzydłami w szybki w drzwiach, usiłując dostać się do lampy. Skończywszy, wbiegła do środka, jakby ktoś ją

gonił. Zgasila lampę. Przy świetle księżyca dotarła do prowizorycznych posłań. Śpiwór był śliski i zimny.

- Miałem zamiar spać je razem - powiedział Patrick, dotykając jej szyi. Wysunęła rękę spod śpiwora i ujęła jego dłoń.

- Diana mówiła, że kłopoty chodzą trójkami.

- Wierzysz w to?

- Nie. Tak. Może - odparła.

- Więc który to numer?

- Z czyjego punktu widzenia?

- Diany. Ona tak powiedziała.

- Nie mam pojęcia. Czy mrówki i Adhiambo to razem dwa? A może awaria kanalizacji, mrówki i Adhiambo to w sumie trzy? Albo też Diana ma problemy, o których nie wiemy?

- Marzę o masażu pleców - powiedział sennie Patrick.

- Nie da się. Jesteś za daleko.

- Mogę się przysunąć.

- Dobranoc, Patrick.

Margaret zaleciła mężowi sen, ale sama nie była w stanie zasnąć. Przestały ją dręczyć gorączkowe rojenia o mrówkach i wilczomleczech, za to przed oczyma miała obrazy tego, co przydarzyło się Adhiambo. Widziała wybijaną szybę, może wyłamane liche drzwi. Pijany Afrykańczyk - Azjata?, biały?

- najpierw prosił, potem wpadł w gniew. Jak gość w barze, któremu odmówiono drinka i teraz zamierza zmieść wszystkie butelki z półki, rzucił dziewczynę na podłogę. Czy Adhiambo krzyczała? Margaret sądziła, że nie. Czy już się wstydziła? Czy krzyk usłyszano by w wieczornej kakofonii? A może, co gorsza, zostałyby zignorowane?

Kiedy Margaret obudziła się rano, Adhiambo siedziała na skraju łóżka z tobołkiem ubrań pod pachą. Łóżko było idealnie pościelone, Margaret nie potrafiła stwierdzić, czy Afrykanka spała w nim, czy nie. Z tego, co wiedziała, pewnie położyła się na podłodze.

- Dzień dobry - powiedziała Margaret. Adhiambo w odpowiedzi kiwnęła głową. - Dobrze się czujesz?

Kobieta nie zareagowała, ale też nie próbowała zasłaniać twarzy. Guz nad okiem napuchł i posiniał. Przecięta warga przestała krwawić. Margaret zastanawiała się, jak wiele siniaków kryje się pod ubraniem. Próbowała nie myśleć o największym obrażeniu.

- Napijesz się herbaty? - zapytała. Adhiambo skinęła głową.

- Dobrze. Skorzystam tylko z łazienki i włożę szlafrok.

Przyszło jej do głowy, że Adhiambo może się zastanawiać nad brzydkimi czerwonymi plamami na jej ramionach i nogach.

Przeszła obok Afrykanki i zamknęła za sobą drzwi łazienki. Czysta bielizna wciąż leżała starannie poskładana na komódce. Margaret poczuła wstyd, że w ogóle zaproponowała ją Adhiambo. Pożyczenie tak intymnych części ubrania z pewnością ją obraziło. Przecież Afrykańczycy w żadnym razie nie tkną kobiecej bielizny. Może ten sam zakaz dotyczy Afrykanek. Później dostrzegła, że zniknął ręcznik do rąk, zawsze wiszący na kółku koło umywalki. Krwawienie musiało być silne i dziewczyna potrzebowała ręcznika, by je zatamować. Margaret nie używała podpasek. Może Patrick kupi je w *duka* zaraz po otwarciu. Przeszukała kosz na śmieci i znalazła trzy maleńkie odłamki szkła.

Adhiambo napiła się herbaty, ale nie przyjęła nic, co proponowała Margaret, ani chleba i dżemu, ani płatków, ani jajek, ani owoców. Wciąż musiała być w szoku. Margaret zastanawiała się, gdzie jest James, dlaczego rano od razu go tutaj nie przysłano. Usiadła naprzeciwko Adhiambo i próbowała z nią porozmawiać.

Adhiambo mocno posłodziła herbatę; Margaret pomyślała, że to dobrze, cukier złagodzi skutki szoku, doda jej sił. Kiedy kubek był pusty, nalała nową porcję, do której Afrykanka dodała jeszcze więcej cukru. Margaret spojrzała na zegar. Za pięć dziewiąta. Do diabła, gdzie ten James się podziewa? Codziennie wstaje o wpół do piątej. Usłyszała, jak Patrick, który nie pokazywał się Adhiambo, zamyka drzwi. Poszedł kupić podpaski.

- Adhiambo, ja naprawdę chcę ci pomóc.

- Ja całkiem dobra - odparła Adhiambo cicho, prawie szeptem.

Co to jest, tłumaczenie zwrotu z plemiennego języka? Margaret nie wiedziała nawet, z jakiego plemienia ta kobieta pochodzi, nigdy nie zadała sobie trudu, żeby zapytać. Adhiambo owinęła głowę czystym szalem Margaret. Miała ciemnobrązową skórę, w półmroku przybierającą odcień szarości. Nie chodziło o to, że wyglądała staro, po prostu miała taki odcień skóry, tak samo jak skóra Jamesa miała odcień granatowy. Margaret nie знаła jej wieku. Możliwe, że sama Adhiambo nie wie, ile ma lat. Wielu Afrykańczyków, których Patrick spotykał w szpitalu, nie znało swojej daty urodzenia. Bardzo poważnie traktowali ideę „rówieśników”, ludzi, którzy urodzili się w tym samym roku. Ale dokładna data? A po co ją znać?, pytali, czasami ze zdumieniem.

- Tak mi przykro, że cię to spotkało - powiedziała Margaret. Na twarzy Adhiambo nie drgnął żaden mięsień, jakby nie usłyszała.

Kiedy o wpół do dziesiątej Margaret otworzyła Jamesowi drzwi, była już zła. Przeprosił, zanim zdążyła się odezwać.

- *Memsahib* każe mi robić śniadanie, a potem pranie. Ponieważ Adhiambo nie ma, żeby pomóc przy dzieciach, *memsahib* jest w katastrofie.

- Nie szkodzi - odparła Margaret. - Cieszę się, że przyszedłeś. Adhiambo nie chce ze mną rozmawiać. Myślę, że się wstydzi.

- O tak. - James pokiwał głową. Pomimo obowiązków domowych jego wyprasowana biała koszula i francuskie spodnie z niebieskiej bawełny były nieskazitelnie czyste. - Ona jest bardzo zawstydzona.

Margaret nie wiedziała, co miał na myśli: Adhiambo się wstydzi czy też zawstydzają ją inni.

- Jest w kuchni. Może ci coś powie.

James poszedł do kuchni, a Margaret usiadła w fotelu przy frontowych drzwiach, żeby tamci dwoje mogli być sami. To i tak nie miało żadnego znaczenia, nie zrozumiałyby ani słowa z ich rozmowy. Czy Adhiambo także należy do plemienia Luo?

Widząc Jamesa w kuchennych drzwiach, Margaret przeniosła się na sofę i wskazała mu krzesło. Wciąż miała na sobie szlafrok, nie chciała, żeby James przyszedł, kiedy się przebiera. Bała się, że może go nie usłyszeć.

- Adhiambo mówi, że dwaj ludzie wyłamali drzwi i chcieli piwo. Nie miała piwa. Próbowwała uciec, ale jeden ją złapał. Obaj są bardzo pijani i gwałcą ją, bo są rozgniewani.

-Obaj?

- Tak. - James pokręcił głową i opuścił ręce tak, że wisały bezwładnie między kolanami.

- Jest ranna? W środku?

James odwrócił wzrok; nie miał ochoty na dyskusję o kobiecych sprawach, wiedział jednak, że Margaret chce, żeby Adhiambo poszła do lekarza, zmuszony więc był jej odpowiedzieć.

- Nie bardzo. Całkiem dobra.

Znowu ta doprowadzająca do szaleństwa fraza. „Całkiem dobra”.

- Jak to możliwe? Dwóch mężczyzn?

James długą chwilę milczał, wreszcie powiedział:

- Adhiambo ma dwóch braci w Kericho, którzy przyjdą i ukarzą tych dwóch. Zbiją ich. Może dzisiaj wieczorem będą ją przeproszać.

- James, ona nie może tam wrócić.

- A gdzie ma pójść? Pójdę z nią i naprawię drzwi. Pożyczam bardzo dobre narzędzia od pana Arthura. Adhiambo mówi, że są leki... - Urwał.

- W takim razie idę z wami - zdecydowała Margaret. - Nie wypuszczę jej z domu, dopóki się nie przekonam, że będzie bezpieczna.

To była czcza groźba i James dobrze o tym wiedział. Oboje z Adhiambo mogli w każdej chwili wyjść bez niej.

- Nie - odparł.

- W takim razie wezwę policję i powiem, co się stało. Adhiambo będzie musiała odpowiedzieć na wiele pytań, może też obejrzy ją lekarz. Zrobię to.

James sprawiał wrażenie zdziwionego.

- Dlaczego miałyby pani to zrobić? Ukarać ją bardziej, niż już została ukarana?

Margaret pomyślała o Masajach, Kikuju i argumentach Patricka wygłoszonych na pikniku w Ngong Hills. Zamknęła oczy i pokręciła głową, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie zrealizowałaby swojej groźby.

James wstał.

- Ja z nią rozmawiam - powiedział.

Siedząc na sofie, Margaret słyszała długą gorącą kłótnię w obcym języku. Kiedy się skończyła, James wrócił do salonu i pokiwał głową.

- Ubiorę się - powiedziała Margaret.

- Najpierw pojedziemy autobusem, potem pójdziemy pieszo. Ona może iść, ale dla pani to niebezpieczne.

- Nie w biały dzień - odparła Margaret, kierując się do sypialni.

Słyszała, jak wrócił Patrick i chwilę rozmawiał z Jamesem. Wszedł do sypialni i położył pudełko podpasek na poduszce. Wyciągnął spod łóżka torbę lekarską i wyjął z niej tubkę maści antybiotykowej, aspirynę i tabletki, których Margaret nie poznała. Przesypał trochę do torebek.

- Daj jej to - powiedział. - Białe są na gorączkę, żółte na ból. W razie potrzeby brać jedną co sześć godzin.

Margaret włożyła dzinsy i bluzkę z długimi rękawami. Włosy przykryła szalem, którego końce związała na karku. Wsunęła stopy w tenisówki.

- Musimy iść - wyjaśniła. - Nie chcę, żeby chłopcy biegli za nami i wołali *mzungu, mzungu*.

- Wolałbym wezwać lekarkę. Wiesz, że Josie natychmiast by przyjechała - powiedział Patrick. Josie była jego koleżanką ze szpitala.

- Ja też bym chciała, żeby zbadał ją lekarz - odrzekła Margaret. - Ale ona się na to nie zgodzi. Patrick, zgwałciło ją dwóch mężczyzn.

- Jezu Chryste.

Margaret schowała do plecaka podpaski i lekarstwa. Dodała jeszcze kilka małych ręczników.

- Zaczynam przez to nienawidzić Afrykańczyków - oświadczyła.

- Nie możesz nienawidzić wszystkich tutejszych mężczyzn - zauważył Patrick.

- Lubię Jamesa.

- Sama widzisz.

Patrick nie zaproponował, że pójdzie z nimi albo że przywiezie Margaret z powrotem. Zdawał sobie sprawę, że negocjacje zostały zakończone.

- Bądź ostrożna - powiedział.

Pojechali autobusem, później szli gęsiego, pierwsza Adhiambo, za nią Margaret, na końcu James ze skrzynką z narzędziami w dłoni. Szli ścieżką, która zaczynała się na końcu ulicy i wiała przez krzewy i las. Posuwali się wolno, ponieważ Adhiambo nie miała sił na szybki marsz. Margaret wpatrywała się uważnie pod stopy, szukając mrówek i węży, żałując, że nie włożyła jednak górskich butów.

Wspinaczka na Kenię. Pozostały tylko dwa dni. Cały ten pomysł wydawał się obcy i dziwaczny.

Szli przez dwadzieścia minut lasem, który oddzielał od siebie dwa światy. Kiedy zbliżali się do granic slumsów, Adhiambo drugim szalem zakryła usta i brodę; Margaret zrobiła to samo. Wzorem Afrykanki, która oczy miała spuszczone, nie odrywając wzroku od ziemi. James wyminął je szybkim krokiem i poszedł pierwszy.

Wkroczyli do niewielkiego zbiorowiska nędznych chat zbudowanych z cienkich desek, z dachami z blachy albo opon. Niemal do każdej Margaret mogła zajrzeć przez szpary w ścianach. W powietrzu unosił się zapach dymu i pieczonego mięsa. Był obrzydliwy i zastanawiała się, co tubylcy myślą o jej zapachu, zapachu *mzungu*; może dla nich jest równie nieprzyjemny? Czy James codziennie pracuje w otoczeniu, które ledwo potrafi znieść? Mijali dziesiątki dzieci, wszystkie z szerokim uśmiechem biegły za nimi. W końcu stanowili przecież rzadki widok. Wcześniej Margaret wyobrażała sobie, że w szalu i ciemnych okularach nikt nie rozpozna w niej białej. Co sobie myślała? James mocno przyspieszył kroku. Adhiambo wiele kosztowało, by nie zostać w tyle, Margaret mogła tylko podejrzewać, ile bólu jej to sprawia. James jednak wyraźnie chciał jak najszybciej dotrzeć do celu.

W osiedlu nie było ulic, tylko ścieżki oraz niekiedy alejka dość szeroka, by zmieścił się na niej mały samochód. Margaret mówiono, że czasami w podobnej alejce w podobnych slumsach, w Mathari lub Gatinie, parkuje mercedes. Oznacza to, że członek gabinetu odwiedza krewnych.

W końcu James zatrzymał się przed zrujnowaną chatą i cmoknął: wyłamane drzwi wisiały na jednym zawiasie. Weszli do środka. Drewniana deska, którą od środka można było podnieść, pociągając za sznurek, zasłania-

ła jedyny otwór pełniący funkcję okna. Na glinianej podłodze leżał materac, na który Adhiambo narzuciła szal, ale Margaret zdążyła dostrzec plamy. Tu i tam połyskiwały odłamki szkła; wyglądały jak fragmenty szklanki. W pomieszczeniu cuchnęło piwem. Na drewnianej półce stał garnek, taki sam jak ten, który Margaret i Patrick mieli w domu, kilka talerzy z różnych kompletów, szklanka. Ubrania wisiały na hakach lub leżały poskładane w koszu z różowego plastiku. Jedynymi sprzętami były dwa krzesła i stół, brakowało dywanu, zlewu, łazienki. James gestem polecił Adhiambo, żeby usiadła. Zakryła twarz, znowu ogarnięta wstydem. Nie chciała, żeby Margaret przychodziła do jej domu, a teraz Margaret rozumiała dlaczego.

James przyniósł z sąsiedniej chaty miskę *posho*. Adhiambo jadła palcami. James zamknął drzwi, o ile było to możliwe, i ocenił szkody. Natychmiast też zabrał się do pracy, wymienił zepsute zawiasy i połamaną deskę. Adhiambo odgoniła muchy znad jedzenia. Margaret odpięła plecak, choć nie wiedziała, gdzie położyć zawartość.

- Adhiambo - powiedziała. - Te tabletki możesz brać tylko wtedy, jeśli będziesz miała gorączkę. Te drugie są na ból. Bierze się co sześć godzin jedną.

Adhiambo kiwnęła głową. Wiedziała, do czego służą podpaski, podobnie jak tubka maści antybiotykowej.

Drzwi były zamknięte, więc Margaret odsłoniła okno, by wpuścić do wnętrza trochę światła. Zamierzała pozbierać wszystkie odłamki szkła. Nie dostrzegła żadnego pojemnika na śmieci, odłożyła je więc na stosik na półce. Skąd Adhiambo bierze wodę? Jak się myje? Gdzie załatwia potrzeby? Gniew Margaret przeniosła się z Afrykańczyków na Dianę i Arthura, którzy na pewno płacą służbie żałośnie mało. Na Arthura i Dianę, którzy uznali za konieczne zatrzymać Jamesa przez całą porę śniadaniową. Przypuszczalnie nigdy nie widzieli, jak mieszka Adhiambo, *ayah* ich dzieci.

James sprawdził drzwi, najwyraźniej zadowolony ze swojej pracy. Pokazał Adhiambo, jak działa nowa zasuwka. Powiedział Margaret, żeby zamknęła za nim zasuwę, a on spróbuje dostać się do środka. Margaret zrobiła, o co poprosił, i James z całej siły napał na drzwi, które wprawdzie lekko się wygięły, ale nie otworzyły. Margaret wpuściła go do środka. Ad-

hiambo, która bez ruchu siedziała przy stole, prawie się nie odzywała. Margaret wyczuwała, że kobieta chce zostać sama, i James chyba też to wyczuł. Podeszedł do niej i dał jej wygnieciony banknot dziesięcioszylingowy. Margaret była wściekła na siebie, że nie pomyślała, by wziąć więcej gotówki, niż potrzebowała na bilet autobusowy. James odwrócił się i otworzył drzwi.

- Jeśli będziesz czegoś potrzebowała... - zaczęła Margaret, ale zrezygnowała z dalszego ciągu.

W drodze do domu James szedł bardzo szybko. Był już spóźniony na południowy posiłek.

W piątek rano, na dzień przed wspinaczką, Margaret zdejmowała ze sznura pranie, które James rozwiesił. Były wśród nich rzeczy, pożyczone jej przez Dianę. Starannie je poskładała; zanieś ubrania Jamesowi, który wyprasuje je zgodnie z wymaganiami właścicielki.

Idąc w stronę Wielkiego Domu, Margaret zobaczyła Adhiambo przy tylnych drzwiach. Przez moment na siebie popatrzyły; były za daleko, żeby porozmawiać.

Kiedy Margaret wróciła do domku, Patrick pospiesznie zbierał się do wyjścia.

- Znaleźli samochód w Machakos - powiedział. - Przejechano nim pięćset sześćdziesiąt kilometrów.

Zepchnięci na pozycje najmłodszych, Patrick i Margaret podskakiwali na tylnym siedzeniu landrowera. Margaret zastanawiała się, czy w taki sposób są postrzegani: gorsi po pierwsze od Brytyjczyków, po drugie od Holendrów. Ta myśl bolała. Chociaż może chodziło po prostu o to, że są Amerykanami, a Amerykanie zawsze potrafią się dostosować.

Od czasu do czasu mąż uśmiechał się do niej i zaraz odwracał wzrok do okna. Na jego twarzy ciemniał trzydniowy zarost; Patrick dawał w ten sposób znać, że nie będzie się fatygował goleniem w czasie wyprawy. Miał na sobie koszulę z podwiniętymi rękawami i puchową kamizelkę, którą przywiózł z Ameryki. Margaret odczuwała lekki chłód, gdy wjeżdżali pod górę.

Czwórka siedząca z przodu często się śmiała; jeśli Margaret i Patrick zdołali usłyszeć żart, przyłączali się, ale było tak, jakby odgradzała ich tłumiąca dźwięki zasłona. Częściowo zasłona była europejska, myślała Margaret, a może wynikała wyłącznie z praw fizyki.

Margaret zrobiła Patrickowi zdjęcie ze zbliżenia.

- Wiesz, wydaje mi się, że przez ten aparat omijają cię właściwe doznania.

- Takie jak ta przejażdżka?

- Coś w tym rodzaju.

- Mogłabym argumentować, że osoba z aparatem jest na najlepszej pozycji, żeby prawdziwie głęboko przeżyć doznania.

- Tylko że wielką ich część stanowi zapach, dotyk, odgłos - sprzeciwił się Patrick.

- Mogę wąchać i słuchać.

- Jestem przekonany, że nie zapomnimy tej wyprawy. Boisz się?

- Nie. Może. Trochę - odparła Margaret.

O mało nie uderzyła głową w dach. To był pierwszy z dziesięciu progów zwalniających na drodze do ośrodka. Główny budynek, bardziej luksusowy, niż Margaret sobie wyobrażała, znajdował się pośród domków rozrzuco-

nych na kilku hektarach wypielegnowanych ogrodów, miał kamienną fasadę i dużo okien umieszczonych w regularnych odstępach od siebie; wszystkie miały podzielone oprawy w ołów szybki - powszechny rys afrykańskiej architektury dla klasy średniej, odziedziczony po Brytyjczykach. Z boku, ukryty za wysokim żywopłotem, rozciągał się basen, na którego brzegu stały leżaki.

- Dawniej, kiedy jeszcze mogliśmy polować, była to baza myśliwych i wędkarzy - wyjaśnił Arthur. - Teraz głównie zatrzymują się tu alpinieści i turyści.

Przyjechali tuż po lunchu, posiłek zjedli w aucie. Diana wysiadła, przeciągnęła się i oznajmiła, że ma zamiar pograć w tenisa. Saartje zapytała, czy może się do niej przyłączyć. Willem powiedział, że idzie prosto na basen, gdzie zostanie aż do zachodu słońca. Arthur zaproponował Patrickowi pójście na ryby; ten, początkowo zaskoczony, zgodził się, a potem spojrzał na Margaret, jakby prosząc o pozwolenie. Uśmiechnęła się, nie miała zamiaru niczego nikomu, zwłaszcza mężowi, zakazywać. Arthur wyjaśnił, że w rzece roi się od pstrągów. Sprzęt wypożyczą w ośrodku.

Margaret właściwie ucieszyła się, że Patrick i pozostali znaleźli sobie zajęcia, nie uwzględniając jej udziału. Pragnęła powłóczyć się w samotności.

Wielkie okna ich pokoju wychodziły na ogrody. Mieli do dyspozycji luksusową łazienkę i kominek; Margaret snuła wizje, jak siedzą z Patrickiem w wielkich fotelach po obu stronach kominka, popijają czerwone wino i rozkoszują się ogniem, gdy temperatura zacznie gwałtownie spadać. Pokój emanował atmosferą „starej Kenii”.

Poprzedniego dnia oboje z Patrickiem starannie się spakowali, wypytujac się wzajemnie i porównując listy, które każde sporządziło. Margaret szczególną uwagę poświęciła lekarstwu, zgromadzonym w małym pudełku. Patrick w salonie rozłożył prawie całą żywność potrzebną na wyprawę: zupy i potrawy w proszku, kawę, pomarańcze, suszone owoce, suszoną wołowinę, krakersy, puszki z tuńczykiem i brzoskwiniami, torbę mąki i pasteryzowane mleko, którego nie trzeba przechowywać w lodówce. Margaret miała nadzieję, że Patrick dorzucił też chipsy z suszonych bananów, jej ulubioną afrykańską przekąskę.

Tragarz ustawił kartony w odległym rogu, za co dała mu szczodry napiwek. Miał szeroką twarz i nos Kikuju, tak bardzo różny od szczupłego profilu Jamesa. Margaret myślała, że gdyby dostatecznie długo pozostała w tym kraju, pewnie na pierwszy rzut oka nauczyłaby się rozpoznawać plemiona. Ciekawe, ile jest tutaj mieszanych par, czy stanowią normę, czy raczej wyjątek? Czy Luo i Kikuju zawierają ze sobą związki małżeńskie? A Embu i Azjaci?

Spięła włosy w węzeł, z walizki wyjęła bluzę, którą zarzuciła na ramiona. Pragnęła jak najszybciej wyjść na dwór. Mimo że przejażdżka była stosunkowo krótka, w samochodzie dręczyły ją klaustrofobia i poczucie uwięzienia.

Czy zdoła odnaleźć miejsce nad rzeką, gdzie Arthur i Patrick łowią ryby? Niewykluczone, że wynajęli przewodnika. Margaret spodobało się, że ci dwaj uczestniczą razem w czymś w rodzaju rywalizacji sportowej. Dotychczas ich wzajemne relacje składały się z zimnych spojrzeń i słownych docinków.

Z aparatem przewieszonym przez ramię wielkim łukiem ominęła basen, nie mając najmniejszej ochoty na spotkanie z holenderskim burgherem w stroju kąpielowym. Poszła ścieżką, która wiała się przez łąkę poza granicami ogrodu i pośród karłowatych drzew; można się tam było schronić w cieniu wielkiego kamforowca. Na tej wysokości występowała inna roślinność. Jechali przez plantacje herbaty, kawy, bananów, pszenicy i kukurydzy. Po obu stronach ścieżki Margaret widziała dzikie żółte kwiaty, które mogły być oczarem. Raz w cieniu jałowca trafiła na kawałek ziemi porośnięty orchideami; ten widok zatrzymał ją na dłużej. Nigdy dotąd nie widziała tylu rzadkich i delikatnych kwiatów w jednym miejscu.

Szlak skręcił pomiędzy wysokie trawy, tu i tam upstrzone lobeliami i dalbergiami. Niepewna, o której wyszła, Margaret spojrzała na zegarek. Trzecia. Pomyślała, żeby wrócić do ośrodka, kiedy jej czujność obudziło ciche prychnięcie. Rozejrzała się uważnie, przysłaniając dłonią oczy. Dostrzegła samca impali, niemal całkiem schowanego w wysokiej trawie; widziała tylko jego łeb z rogiem w kształcie liry, nieznaczny łuk karku i chyba ogon. Zwierzę wpatrywało się w Margaret i czekało na jej ruch; tak sa-

mo zachowałyby się pewnie jeleni. Zaszleściły trawy i ujrzała samicę, za którą pędziło pięć mniejszych antylop. Kozioł trzymał straż jak wartownik, obserwując każdy ruch Margaret, podczas gdy reszta małego stadka szukała pożywienia, niekiedy widoczna, częściej jednak powodując tylko falowanie łąki, jakby żdźbłami traw poruszał wiatr.

O czym myślisz?, zapytała go w myślach. Potrafisz myśleć? A może jesteś gotów do ucieczki i po prostu czekasz na zmianę zapachu, nasłuchujesz, czy nie rozlegnie się najdrobniejszy szelest? Jeszcze nie tak dawno temu sama mogłaby brać udział w polowaniu. Zatrzymaliby się dokładnie w tym miejscu, w którym teraz stała. Może strzał oddano by kobiecie, bo zdobycz była za mała i za łatwa dla mężczyzny. Czy w DNA zwierzęcia znajdowała się konieczność wypatrywania błysku metalu?

Margaret czuła pokusę, by zrobić krok i zobaczyć stado w biegu. Wyobrażała sobie grzbiety antylop unoszące się nad trawą jak delfiny nad taflą morza. Pozostała jednak bez ruchu, wpatrzona w oczy kozła. Co sądził o niej, jej białej bluzce bez rękawów i granatowym swetrze narzuconym na ramiona? Czy uważał jej włosy za cechę innego gatunku, takiego, przed którym powinien mieć się na baczności?

Wreszcie Margaret uświadomiła sobie, że zbyt długo stoi na słońcu, a pamiętała, że kilka kroków od niej rośnie kamforowiec. Nie odrywając wzroku od ślepi kozła, cofnęła się wolno i z ociąganiem. Kiedy dotarła do plamy cienia, co pewnie musiało zmienić jej wygląd, zwierzę skoczyło, a z nim całe stado. Przez kilka sekund Margaret mogła obserwować zwyczajny ruch na afrykańskiej łące; był to niezwykle widok i pomyślała, że chyba zachowa ten obraz dla siebie, nie opowie o nim nawet Patrickowi, który kochał afrykańskie zwierzęta, ale równie nieistotne zdarzenie nie zrobiłoby na nim wrażenia. Zebra sprowokowałaby go do podniesienia brwi, lampart do przekrzywienia głowy i mruknięcia: „Doprawdy”. Jego mięśnie pewnie by się napięły, może nawet ogarnąłby go strach, wywołany impulsem z DNA. Ale impala? Rzecz niewarta opowiadania, chociaż dla Margaret cudowna.

Kiedy o wpół do siódmej weszła na taras, zastała tam Saartje i Dianę w sukienkach na ramiączka i sandałach, wdzięcznie krzyżujące gołe opalone nogi. Margaret nie brała prysznic od wyjazdu z Nairobi i przegapiła odpowiedź dotyczącą stroju. Wciąż miała na sobie dzinsy, bluzkę bez rękawów i sweter. W tym stroju odsłaniała tylko stopy w sandałkach i dekolt w kształcie V, który już nadmiernie się opalił i skórze groziło poparzenie. Dotknęła wrażliwej skóry, przypominając sobie długie stanie na łące.

-Przepraszam - powiedziała do kobiet. - Nie zdawałam sobie sprawy.

-Dobrze wyglądasz - odparła Saartje; tak mówi się do nastolatki, która jeszcze nie poznała obowiązujących dorosłe kobiety zasad dotyczących ubierania się. Srebrne bransolety zsunęły się i zadźwięczały, kiedy sięgnęła po drinka, egzotyczny koktajl barwy łososia. Margaret pomyślała o zakazie picia alkoholu. Diana dostrzegła jej wzrok i pośpieszyła z wyjaśnieniem:

-Jeden przed siódmą wieczorem, popity dwoma litrami wody. Do rana alkohol zniknie z organizmu bez śladu.

- Doskonały plan. Ja też poproszę. Jak udał się mecz? - zapytała Margaret, częstując się orzechami makadamia z miseczek z przekąskami. -I gdzie są mężczyźni?

-Arthura i Patricka widziałam przed chwilą - odparła Diana. - Szli na wzgórze. Pewnie wezmą prysznic i przebiorą się do kolacji. - Przelotnie zerknęła na dzinsy Margaret. -Podobno złowili kilkanaście pstrągów, które szef kuchni dla nas usmaży.

-Naprawdę? - Margaret nigdy dotąd nie myślała o Patricku jako o wędkarzu. Miała nadzieję, że złowi kilka ryb.

-Willem bierze prysznic - dodała Saartje ze swym wyraźnym i uroczym holenderskim akcentem. - Był na basenie, dopóki nie pojawiły się moskity.

Do tej pory Margaret udawało się trzymać w ryzach wizję holenderskiego burghera w kąpielówkach leżącego na plastikowym leżaku, ale teraz nie mogła się od niej opędzić.

-Masz dzieci? - zwróciła się do Saartje.

Pytanie wydawało się niewinne, chociaż od razu pojęła, że jest bezmyślne. Saartje uniosła podbródek i już chciała odpowiedzieć, ale uprzedziła ją Diana.

- Nie ma. - Na jej twarzy malowało się ostrzeżenie.

Później, kiedy tamtej nie było w pobliżu, Diana powiedziała Margaret, że synek Saartje miał półtora roku, kiedy nagle umarł na śmierć łódeczkową; mieszkali wtedy w Bombaju. Potem Willem odmówił starania się o następne dziecko, to przeżycie było dla niego zbyt trudne. Margaret robiła sobie wyrzuty, że zadała to pytanie, choć jednocześnie zaczęła uważać Willema za niezwyklego egoistę. Czy sam powinien podejmować taką decyzję? Jednogłośnie? I jakie to dziwne nie chcieć dzieci w kraju, w którym dzieci są tak bardzo cenione i u różnych plemion stanowią fundament wielu rytuałów i ceremonii. Czy Saartje i Willem dyskutowali o tym we dwoje, a może była to jedna z owych decyzji, którą raz się ogłasza z zastrzeżeniem, że nigdy więcej do tego nie wracamy? Nie po raz pierwszy Margaret pomyślała, że rzeczą niemożliwą jest poznanie prawdy o innym małżeństwie.

Dzieci w Kenii były piękne, a także niezwykle dobrze się zachowywały: grzeczne, posłuszne, niemal zawsze uśmiechnięte lub roześmiane. Margaret rzadko widywała smutne dziecko, jeśli nie było chore lub niedożywione. Często się zastanawiała, jak kenijskim rodzicom udaje się osiągnąć taki niezwykle sukces wychowawczy. Kiedy tylko mogła, obserwowała tubylcze matki z małymi dziećmi, usiłując odkryć ich tajemnicę.

Sama już prawie doszła do punktu, w którym zaczynała chcieć dziecka. Czowała, jak to pragnienie pojawia się niczym zapowiedź głodu. W końcu skończyła dwadzieścia osiem lat i wiele mężatek, które знаła w Stanach, albo było w ciąży, albo już urodziło. Tutaj, na wsi, kobiety miały dużo dzieci, im więcej, tym lepiej. Afrykańskie dzieci to przyszłość. Ubezpieczenie społeczne.

Przyszedł Patrick, zarumieniony i szczęśliwy. Włożył kraciastą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci. Tryskał wręcz pragnieniem, by ktoś go zapytał, jak było na rybach. Margaret poczuła się zobowiązana.

- Cudownie. Arthur zanotował ich wagę - odparł; wyraźnie widziała, że nawrócił się na ten sport. - Szkoda, że nie będziemy mogli wędkować w czasie wspinaczki, ryby bardzo by się nam przydały, możesz mi wierzyć. Tutaj Arthur dał ryby kucharzowi, ale wątpię, czy zobaczymy je w dzisiaj-

szym menu. Podejrzewam, że trafiły do zamrażarki albo do domu kucharza. Bez znaczenia. Liczy się sam sport.

Patrick zerkał na koniec werandy, nie kryjąc wcale, że nie może doczekać się Arthura, by powtórnie opowiedzieć o pełnych chwały chwilach. Margaret domyślała się, że ryby zdominują rozmowę przy koktajlach. Nie zamierzała mężowi psuć tej okazji do dumy, Diana natomiast uczyniła to bez wahania.

- Marny ten kort, ale jakoś się nam udało, prawda, Sa-artje?

- Poradziłyśmy sobie całkiem dobrze.

- A jak było na basenie? - zwróciła się Saartje do męża, który z niepokojąco różową twarzą pochylał się nad nią, zacierając dłonie w oczekiwaniu na drinka. Miał na sobie koszulę od garnituru i krawat. Margaret miała ochotę zapytać w recepcji, czy w ośrodku jest sklep z pamiątkami; była pewna, że uda jej się zrobić suknię z dwóch khang.

- Co to ma znaczyć? - zapytał Patrick, znacząco spoglądając na szklaniczkę Margaret.

- Wszystko zgodnie z planem. Diana ci wyjaśni. Jeden drink, a po nim wiadra wody.

- Dla mnie to brzmi jak sprytna wymówka.

Willem zamówił drinki dla siebie i Patricka. Nie ulegało wątpliwości, że rady, których wcześniej udzielał, były z gatunku: „Rób, jak mówię, a nie jak robie”.

Przy stole pojawił się Arthur. Miał na sobie garnitur, białą koszulę i krawat.

W ostatecznym rozrachunku Arthur i Willem wypili po trzy kolejki, pozostali po dwie, nie licząc wina do posiłku. Kolację podano w formie szwedzkiego stołu, goście mogli wybierać wśród wielu rodzajów mięs, sałatek i deserów. Willem ze zręcznością zonglera niósł do stolika trzy wypełnione po brzegi talerze. Czy dorastał w kraju, w którym brakowało jedzenia? W którym desery stanowiły niezwykłą rzadkość? Margaret bardzo mało o nim wiedziała, a przecież miał poprowadzić ich na szczyt, kierował

wszystkimi przygotowaniami. Przyglądała mu się uważnie i zadawała sobie w duchu pytanie, czy Willem da radę wejść na górę.

Okna w jadalni były otwarte.

- Jeśli podczas wspinaczki będzie choć taki chłód jak tu, to zacznę żałować, że nie wzięłam drugiej bluzy - powiedziała Margaret.

Saartje drżała w swej żółtej sukience na ramiączkach, na Dianie natomiast zimno nie robiło wrażenia.

- Ten chłód jest cudowny, prawda? - powiedziała.

Margaret zrozumiała, że zimno stanowiło próbę charakteru, próbę, której nie zdała. Żałowała, że Arthur nie pożyczył Saartje swojej marynarki.

- Myślę, że Saartje przydałby się sweter - powiedziała.

- Nic mi nie jest - rzuciła tamta szorstko; w gruncie rzeczy znaczyło to: „Idź do diabła”. Już po raz drugi Margaret niechęć ją zirytowała. Rano postara się z nią porozmawiać na osobności, choć nie miała pojęcia, co jej powie. Z całą pewnością o nic nie może pytać.

Patrick przelotnie musnął jej dłoń leżącą na kolanach. Nie była pewna, czy w ten sposób przeprosza, że ją zignorował w swojej euforii wywołanej złowieniem aż tylu ryb (siedmiu, jak się okazało), czy też to typowy dlań roztargniony gest „Nagle o tobie pomyślałem”. Niewykluczone też, że oczekiwał na seks w pokoju w stylu dawnej Afryki i tak jej o tym dawał znać. W następnej sekundzie cofnął rękę, żeby pokroić mięso.

Drinki i wysokość zrobiły swoje (tego dnia wzniesli się o sześćset metrów), więc podczas kolacji rozmowa toczyła się raczej niemrawo. Saartje dygotała tak gwałtownie, że Margaret miała ochotę roześmiać się z absurdu tej sytuacji. Nawet Diana zaczęła rozcierać gołe ramiona przyjaciółki. Arthur nie wyglądał najlepiej, jakby już bolała go głowa. Wszystko to sprawiło, że Diana zaczęła się irytować.

- Okropnie jesteście dzisiaj nudni - powiedziała.

- Wołowina twarda jak podeszwa - stwierdził Arthur.

- Nie została właściwie przyrządzona - zgodził się Willem.

- Jak sądzisz, Arthurze? - Diana nie rezygnowała. - Wszyscy są okropnie nudni, prawda?

- Nie zauważyłem.

- Doprawdy. To mnie dziwi. Zwykle jesteś bardzo spostrzegawczy.

Czy Margaret tylko sobie wyobraziła owo zerknięcie w swoim kierunku?

- Daj spokój, Diano - powiedział Arthur.

Czy wypił więcej niż trzy drinki?

- Wczoraj wieczorem czytałem o górze Kenii w „Wielkiej dolinie Rift” Gregory'ego - odezwał się Patrick, usiłując zapobiec dalszym małżeńskim utarczkom. - Gregory pisze, że pierwsi Europejczycy zabierali na wyprawy członków różnych plemion.

Afrykańczycy często reagowali na zimno przerażeniem i podejrzliwością. Pewnego dnia rano przybiegli do Gregory'ego i powiedzieli, że na wodę, którą zostawili w garnkach, ktoś rzucił urok. Jest biała, nie porusza się, nawet patyk w nią nie wchodzi. Błagali Gregory'ego, żeby ją obejrzał. Poszedł więc z nimi, postawił garnek na ogniu i zapowiedział, że twarda biała rzecz wkrótce zmieni się w wodę. Ludzie stali wokół i patrzyli. Kiedy lód w garnku zaczął się topić, bardzo się ucieszyli, bo demon został wypędzony. Gregory powiedział im, że teraz mogą użyć wodę, ale kiedy tylko się odwrócił, wylali ją i napełnili garnki w pobliskim strumieniu.

- Cudowna historia - stwierdził Willem, choć w jego głosie trudno było doszukać się entuzjazmu. Pospiesznie skończył jagnięcinę (a może to było mięso kozie?) i teraz pochłaniał drugi deser, drżącą zieloną galaretkę. Zauważył wzrok Margaret i uniósł łyżkę. - Nie ma lepszego sposobu na absorpcję alkoholu.

Margaret już uznała, że rady tego człowieka w najlepszym razie są podejrzane.

- Wiedzieliście, że Kikuju budowali swoje chaty tak, aby drzwi wychodziły na górę, a Kirinyaga, bo tak ją nazywają, znaczy „ma strusie”? - zapytała.

- Pióra na szczycie. Skąd to wiesz? - zapytał Arthur.

- Z przewodników. Przeczytałam też, że Embu nazywają ją Kirenia, co znaczy „góra bieli”. Najbardziej podoba mi się, że w piosenkach Mera o Kenii mówi się jako o cętkowanej górze.

Diana realizowała swoje przyrzeczenie, że wypije dwa litry wody. A może cztery, skoro drinki były dwa? Zażądała, żeby kelner stale napępiał jej szklanę.

Margaret także zaczynała pobołować głowa. Za wcześnie na działanie alkoholu, to musi być wysokość. W ogrodach tu i tam świeciły się lampy, ale poza jego granicami panowała ciemność. Kenię oświetlały tylko roje gwiazd. Góra wydawała się nie z tego świata, jak miejsce, do którego żaden człowiek nie powinien się zbliżać.

- Pogoda się zmienia - oznajmił Willem. - Nie chciałem wcześniej o tym wspominać, zepsułbym wam popołudnie. Jutro przez cały dzień będziemy mieć chmury.

Usiadł wygodnie i poklepał się po brzuchu. Pozostali jęknęli.

- Fatalnie - powiedział Arthur. - Będzie trudno w pochmurny dzień.

Diana rzuciła mu spojrzenie.

- Choć będzie ponuro tylko wtedy, kiedy my się do tego przyczynimy - dodał. - Jeśli chodzi o mnie, nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie ruszymy na tę cholerną wyprawę.

Margaret miała ochotę szepnąć do Patricka: „Chodźmy stąd”. Ale dokąd mieliby pójść? Pozostać w ośrodku i czekać na powrót pozostałych? Patrick nigdy by się na to nie zgodził. Z całej szóstki tylko on jeden miał naprawdę dobry nastrój.

Dała znak kelnerowi, że prosi o następną szklanę wody.

Patrick odwrócił się i szepnął:

- Chodźmy stąd.

Nazajutrz rano pojechali landrowerem do bram parku. Tam zostawili samochód i rozładowali sprzęt. Na razie kurtki mieli rozpięte, dłonie gołe. Łatwo było zidentyfikować ich po kolorach. Kurtka Diany była jaskrawoczerwona, z kapturem obszytym białym futerkiem. Saartje miała modną jasnozieloną kurtkę narciarską. Willem w białej kurtce i czarnych narciarskich spodniach zmienił się nie do poznania. Margaret unikała spojrzenia Patricka, bo na pewno nie zdołałby się opanować. Arthur ubrany był w podniszczoną kurtkę barbour, która wyglądała tak, jakby ostatnio noszono

ją w stajniach. Patrick i Margaret mieli szaroniebieskie kurtki, które przed wyjazdem kupili w Bostonie na wyprzedazy.

Przewodnik i tragarze już na nich czekali. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Angielszczyzna przewodnika była bez zarzutu, choć Willem wolał mówić w suahili, komplikując przez to porozumienie tym, którzy nie byli w stanie wszystkiego zrozumieć; niewykluczone, że tylko Margaret była w tej sytuacji.

Ruszyli rzędem, na przedzie przewodnik, tragarze na końcu, dzięki czemu byli chronieni z obu stron, na wypadek gdyby jakiś zabłąkany lew zdecydował się zaatakować. Afrykańczycy nie wzięli broni palnej, za to każdy miał noże sporych rozmiarów. Wcześniej Margaret dostrzegła u Willema pistolet. Wszystko to ją zaniepokoiło.

Rozglądała się ze strachem zmieszany z uniesieniem. Uniesienie związane było ze wspinaczką na Kenię. To najbardziej śmiała przygoda w całym jej życiu. Zamierzała dotrzeć na sam szczyt i opowiadać o tym po powrocie. Przyczyny strachu nie dało się równie jasno określić. Uczucie po części, acz nie do końca było fizyczne, raczej chodziło o strach przed nieznanym. Nie była pewna, co ich czeka, nie wiedziała, jak długo zdoła iść. Nie miała doświadczenia ani treningu.

Obawiała się także napięć w grupie. Wieczorem nikt poza Patrickiem nie wstał od stołu w dobrym humorze, a rano niektórych dręczył kac. Ani Willem, ani Arthur nic nie jedli, mimo że Willem ciągle napominał ich (i siebie), by to zrobili. Diana swoim zwyczajem sprawiała wrażenie, że rozrywa ją pragnienie działania.

Ustawili się w rzędzie i zaczęli wchodzić na zbocze porośnięte niskim lasem. Zerwał się wiatr, Margaret pociekło z nosa. Widziała, jak idący przed nią nakładają kaptury i wyjmują rękawiczki z kieszeni. Skupiła się na małym wszechświecie złożonym z jej stóp i ziemi tuż przed swoimi oczami. Niemal natychmiast uświadomiła sobie, że nie widzi nic z otaczającego ją krajobrazu, że wszystkie siły poświęca na jedno zadanie: by postawić jedną stopę przed drugą. Oddychała z trudem.

Pozostali bardzo ją wyprzedzili. Od czasu do czasu Patrick przystawał, by sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku, ale nie potrafił nic poradzić

na tempo, w jakim szedł. Margaret czuła wstyd z powodu własnej powolności, ale próby dogonienia grupy całkiem pozbawiała ją tchu. Zaczynała poważnie myśleć o rezygnacji. Na razie nie oddalili się od ośrodka na tyle, by nie mogła wrócić sama, wiedziała jednak, że pomimo jej protestów Patrick będzie czuł się w obowiązku zawrócić również. Nie chciała, by przez nią ominęła go ta wyprawa. Nie pozostało jej więc nic innego, jak iść dalej.

Na niebie nisko wisiały chmury. W pochmurne dni w Nowej Anglii Margaret chodziła na spacer po śniegu; gołe konary drzew rysowały się na ostro wypranym z barw tle, i wtedy czuła, jak pogoda wysysa z niej całe życie. W mglistym krajobrazie na zboczu Kenii ogarnął ją podobny rodzaj przygnębienia. Nawet jaskrawe kurtki nie zdołały rozproszyć tego uczucia, błyskawicznie zmieniającego się w lekką depresję. Łaknęła słońca.

Wpatrując się we własne stopy, uświadomiła sobie, że nie słyszy żadnych odgłosów. Uniosła wzrok i zobaczyła, że wszyscy się zatrzymali. Willem machał do przewodnika idącego przed Dianą. W każdym języku jego gest oznaczał „stop”.

Zza zakrętu wyłonił się bawół. Margaret widziała jego mocne, skrócone rogi, masywne brązowoczarne cielsko, horyzontalnie kiwający się łeb. Nie dostrzegała ślepi zwierzęcia, ale jego szeroki nos skierowany był ku nim. Na początku pobytu w Afryce powiedziano Margaret, że to najbardziej niebezpieczne zwierzęta, zwłaszcza jeśli wspinaczowi zdarzy się przejść pomiędzy samicą a jej małym. Bawół przed nimi był potężny.

Zauważyła, że tragarz wyjął *panga*, a Willem trzymał wycelowaną broń. Czy kule przebiją taką grubą skórę? Grupa wolno zrobiła krok w tył. Nie chcąc poruszyć liści ani kamyczków, stawiali stopy bardzo ostrożnie. Bawół w każdej chwili mógł zaatakować. Przewodnik najwyraźniej uznał, że najlepszym wyjściem jest odwrót. Te zwierzęta szarżowały nawet na samochody, przewracały je i zabijały ludzi.

Było tak, jakby tamci wstrzymali oddech. Potem bardzo powoli cała reszta wróciła do miejsca, gdzie stała Margaret, i wszyscy ruszyli w dół. Stracili spory odcinek ciężko zdobytego szlaku. Margaret nie miała pojęcia, czy zawrócą aż do bramy, czy przeczekają zwierzę. Opowiadano, że wyprawy

musiały stać w absolutnym bezruchu przez dwie, trzy godziny, dopóki bawół nie poszedł w swoją stronę.

Wreszcie zatrzymali się na skrzyżowaniu szlaków. Przewodnik zamienił kilka zdań z Dianą. Tragarzom za plecami Margaret dał znak, że pójdą drugim szlakiem. Ruszyli powoli, w tempie Margaret. Przez co najmniej pół godziny nikt się nie odzywał. Kiedy przewodnik uznał, że jest dość bezpiecznie, by przyspieszyć, Margaret znowu została w tyle.

Jej mięśnie już od dość dawna nie wykonywały żadnej poważnej pracy. Arthur wystąpił z rzędu i poczekał, aż się z nim zrówna.

- Potrzebujesz zachęty?

Margaret próbowała się roześmiać, ale bolało ją gardło.

- Przepraszam - wykrztusiła. - Nie powinnam była brać udziału w tej wyprawie.

- Bzdury. Oglądanie ciebie daje mi najwięcej przyjemności.

- Miło mi.

Instynktownie poszukała wzrokiem Diany, która prowadziła. Za nią szedł Willem, potem Saartje i Patrick. Może w takim niemałżeńskim układzie był jakiś sens. Może idąc z kimś, kto nie jest twoim partnerem, bardziej się starasz? Zauważyła, że z Arthurem u boku idzie szybciej. Mogła także z nim rozmawiać, ale krótkimi zdaniami.

- Doskonale poradziłaś sobie z mrówkami - powiedział. - Nieprawda.

- Ale i tak świetnie to wyglądało.

Popchnął ją lekko. Jego dłoń przez moment pozostała na jej plecach, jakby chciał powtórzyć ten gest, ale zaraz cofnął rękę.

Margaret wciąż bała się wspinaczki i czuła wielką pokusę, by pozwolić Arthurowi „zaopiekować się nią”. Wiedziała, że byłby uszczęśliwiony. Z powodu własnej powolności była w czasie wspinaczki bezbronna. W stadku antylop gnu Margaret byłaby sierotą, która z wysiłkiem wlecze się z tyłu, łatwą zdobyczą dla lamparta czy lwa.

- Wygląda na to, że Diana chce jak najszybciej dotrzeć do schroniska - powiedziała Margaret. Tego dnia ich celem była stacja Met.

- Ona zawsze wszystko chce zrobić najszybciej.

- To z pewnością dobra cecha.

- Jasne, cudowna. Bardzo przydatna we wszelkiego rodzaju przedsięwzięciach.

Margaret nie widziała twarzy Arthura. Wszyscy mieli na głowach ciasno związane pod brodą kaptury, zasłaniające brwi, a niekiedy i usta. Oddech Arthura ulatywał w wilgotne powietrze.

- Właściwie to nam pomagasz - powiedział.

- Jak to?

- Spowalniasz marsz. W przeciwnym wypadku Willem, Diana i ja ścigalibyśmy się, kto pierwszy dotrze do schroniska. To byłoby cholernie nieprzyjemne.

- A co z Saartje? - zapytała Margaret.

- Saartje?

- Radzi sobie?

- O tak. Ty też całkiem dobrze sobie radzisz.

- Radzę sobie! - Margaret się uśmiechnęła.

- Widzisz? Potrzebowałaś mnie.

Większość drogi była trudna, ponura, miejscami bardzo nieprzyjemna, w dodatku przez cały czas w powietrzu unosiła się zimna wilgoć. Margaret miewała w życiu dni, kiedy jedynym sposobem na przejście na drugą stronę było przetrwanie, ale rzadko rozumiała to tak wyraźnie jak w Kenii. Doszli do punktu, w którym nie mogła zawrócić, nie symulując choroby, czego w żadnym razie nie zamierzała robić. Mogła tylko pąć się w górę z nadzieją, że potem czeka ją rozkoszne zejście. Co jakiś czas wpatrywała się w niebo, szukając dziur w chmurach. Bez słońca oświetlającego krajobraz wspinaczka sprawiała wrażenie coraz bardziej bezsensownej. Po co wchodzić na górę, skoro ma się niemal całkowitą pewność, że ze szczytu nic nie będzie widać?

Pokonali pięćset metrów, by dojść do stacji Met, choć od opuszczenia ośrodka dzisiaj rano zyskali tysiąc pięćset metrów, które częściowo przejechali samochodem. Wspinaczka od bramy parku do stacji miała trwać trzy godziny. Gdyby nie Margaret, pozostali bez trudu zmieściliby się w czasie,

w tej sytuacji jednak zajęło im to prawie dwa razy tyle. Kiedy wreszcie dotarli na miejsce o trzeciej, wszyscy umierali z głodu, bo ostatni posiłek był o siódmej, a niektórzy nic wtedy nie zjedli.

Stacja Met była drewnianym barakiem z zadaszoną werandą. Tragarze rozpalili ogień i rozbili obóz. Wspinacze mieli dostać gorący lunch, który w istocie byłby kolacją. Dla oszukania głodu na czas przyrządzania posiłku zaproponowano im herbatę i banany. Rozłożyli się na werandzie, pozwalając, żeby plecaki same zsunęły się z ramion. Willem się nie mylił. Chociaż została im część popołudnia i cały wieczór, nikt nie planował żadnych dodatkowych wypraw, żadnych gier. Nikt nie próbował nawiązać rozmowy. Marzyli tylko, aby coś zjeść i mieć gdzie usiąść, a później położyć się spać. Do spania służyły płócienne prycze ciągnące się długim szeregiem przez wnętrze baraku. W sumie było ich dziesięć. Czterdzieści pięć minut później w stacji pojawiło się trzech niemieckich wspinaczy. Zarumienieni i sprawni, na tyle znali angielski, by nawiązać grzeczną rozmowę. Powiedzieli, że zamierzali iść od razu do obozu Mackindera, ale za późno wyruszyli. Diana odparła, że bardzo dobrze się stało. Stacja Met po to zapewniała nocleg na określonej wysokości, żeby wspinacze się zaaklimatyzowali. Niemcy uśmiechnęli się i trudno było stwierdzić, czy dlatego że uważali Dianę za zabawną, czy też ucieszyli się, że przypomniano im o tym ważnym szczególe.

Trudno też było stwierdzić, czy ze stacji rozciąga się piękny widok na górę. Wciąż otaczały ich niskie chmury. Na tej wysokości noc zapadła około siódmej. W baraku zawieszono latarnię, by turyści mogli trafić do łóżek i przygotować się na noc. W trakcie wypraw do latryn towarzyszył im tragarz z latarką. Gasił ją dyskretnie na czas załatwiania potrzeby, ale dla niefortunnego Afrykańczyka ta praca nie mogła być przyjemna.

Niemal wszyscy położyli się w godzinę po zachodzie słońca. Kolacja była syta. Arthur i Willem wyglądali na wyczerpanych, zdaniem Margaret wciąż odczuwali skutki kaca. Diana, która wybrała pryczę najbliżej drzwi, kłóciła się z Willemem o miejsce. Teoretycznie to mężczyzna powinien spać koło wyjścia na wypadek jakiegoś niebezpieczeństwa, ale Diana była nieugięta i kpiła z Willema silącego się na rycerskość. Ostrożnie, Diano,

pomyślała Margaret, kiedy docinki żony Arthura niebezpiecznie zbliżyły się do obelg. Według Margaret sprawa była prosta. Nieustanna potrzeba działania skłoniła Dianę do wyboru pryczy obok drzwi, dzięki czemu rano pierwsza będzie mogła wyjść. Czasami nie można się powstrzymać od domysłów na temat cudzego małżeństwa; Margaret nie potrafiła sobie wyobrazić, że Diana kocha się z przyjemnością. Przypuszczała, że akt jest pobieżny i spieszny, bo tamta chce już się zająć następną pozycją ze swej listy zajęć.

Leżeli rzędem: Diana i Arthur, Saartje i Willem, Margaret i Patrick. Margaret nie miała ochoty sąsiadować z Willemem, który bez skrupowania puszczał bąki, ale nie chciała ryzykować, że obrazi go powtórnie w czasie tego wieczoru. Odwróciła się twarzą do Patricka w kompletnej ciemności, która zapadła w chwili, gdy wygaszono latarnię. Zasnęła niemal od razu, słuchając Niemców, i obudziła się w dokładnie tej samej pozycji, w jakiej się położyła.

Pierwszym wyzwaniem drugiego dnia okazało się zdradzieckie pnące się w górę trzęsawisko. Margaret zaczynała już myśleć, że bagno jest żywą istotą, z taką gwałtownością wsysało jej nowe buty. Poprzedniego dnia podczas łatwiejszej części wspinaczki od pozostałych dzieliła ją spora odległość, teraz dystans jeszcze się powiększył i Margaret przeraźliwie się bała, że tamci są za daleko, żeby ją usłyszeć. Mimo że tragarze ani na chwilę jej nie opuścili, marzyła o towarzystwie, o kimś, kto ją zachęci, jak wczoraj zrobił to Arthur, dopilnuje, żeby nie złamała kostki. Patrick czekał na nią od czasu do czasu, by się upewnić, że wszystko w porządku, ale nawet kiedy mu powiedziała: „To po prostu jest piekło”, kiwnął głową na zgodę, po czym ją wyprzedził, jakby był jeńcem własnych stóp.

Może pozostali rozmawiali, choć Margaret przypuszczała, że chyba jednak nie. Idąc, podpierali się kijami, które w pewnym sensie popychały ich do przodu, chociaż Margaret myślała, że chodzi raczej o to, by zachować równowagę i nie przewrócić się do tyłu. Z samego wysiłku przy nabieraniu oddechu gardło tak ją bolało, jakby miała najgorszą anginę. Szeroko otwarte usta czyhały na każdy haust powietrza. Zaczęła się pocić po pierwszych

trzech metrach. Nie zdjęła kurtki i nie przewiązała jej w pasie, jak powinna była zrobić, bo widząc oddalającą się grupę, czuła, że nie może stracić ani minuty. Nienawidziła bagna, nienawidziła wspinaczki, nienawidziła wszystkich, którzy ją wyprzedzają, nawet własnego męża. Każdy wysiłek, by wyrwać but z trzęsawiska, osłabiał jej kolana.

Kiedy wreszcie dwie godziny później dotarła na kraniec bagna, tamci leżeli na ziemi jak zarżnięci. Margaret zaczynała się trząść w wilgotnym ubraniu i wiedziała, że będzie jej zimno, dopóki nie dojdzie do obozu, gdzie może się przebrać. Odkryła, że bycie ostatnią oprócz powodowania wstydu ma jeszcze jedną poważną wadę. Kiedy dochodziła do miejsca postoju, tamci zwykle już zdążyli odpocząć i chcieli iść dalej, nie zostawiając morderowi ani chwili na wytchnienie. To, że przychodziła ostatnia, sugerowało, że była ciamajdą na lekcjach wychowania fizycznego, a także osobą, która „naprawdę się nie stara”. Na początku reszta okazywała jej coś w rodzaju dobrodusznego zrozumienia, Margaret wyczuwała jednak wzbierającą urazę. Po co w ogóle zaproponowano jej udział w wyprawie? Dlaczego tak bardzo ich powstrzymuje? Czy ośmielą się zostawić ją z tragarzami? Jakże jest irytująca, opóźniając im posiłek, a co ważniejsze, wydłużając czas dojścia do schroniska z pryczą. Patrick także okazywał lekkie zniecierpliwienie, kiedy musiał czekać albo zawracać, by sprawdzić, co z żoną.

-Świetnie, Margaret! - mówił, jakby zachęcał małe dziecko do samodzielnego chodzenia, kiedy udało mu się zrobić wielki krok. W ich zniecierpliwieniu krył się potężny ładunek ironii. W końcu z nich wszystkich jedna Margaret naprawdę się aklimatyzowała.

Jej towarzysze mieli na plecach plamy błota po tym, jak padli na ziemię. Ponieważ oni już odpoczęli, Margaret dostała trochę wody; polecono jej też, by nie zostawała w tyle (dla niej nie przewidziano postoju). Kiedy szli granią, z której mógł się rozciągać cudowny widok na Teleki, Margaret miała wrażenie, że podąża za grupą troglodytów. Ze spuszczonej głowami, bez większej ochoty na podziwianie ponurego i niemal nieistniejącego krajobrazu, zdawali się wracać do jaskini. Nawet Diana była ubłocona od kaptura do butów.

Margaret zastanawiała się, jak sobie z tym poradzą, kiedy dojdą do chaty. Będą musieli poszukać strumienia, żeby wyczyścić kurtki. Ale czy któreś zdoła znieść zimno, jeśli zdejmie kurtkę? Wsuną się do śpiworów w brudnej bieliźnie? Roztrząsała ten dylemat dość długą chwilę, mimo że nie mając okazji się położyć, nie wybrudziła kurtki tak bardzo jak tamci. Dopiero później przekonała się, ile ma błota na spodniach.

Wszyscy byli przemarznięci. Margaret z powodu własnej głupoty trzęsła się z zimna, ale nikomu nie było wygodnie. Cóż, może tylko Willemowi w jego narciarskim kombinezonie. Generalnie jednak kurtki okazały się strojem niewłaściwym na tę wyprawę. Margaret odbierała to tak, jakby byli dziećmi, które wysłano niedostatecznie ubrane, żeby się pobawiły.

Obóz okazał się chatą zbudowaną z pionowych desek oklejonych papą. Kiedy Margaret weszła do środka, żeby zmienić ubranie, przekonała się, że posłania są bardzo prymitywne. Leżące wprost na ziemi materace kleiły się z brudu; Margaret zbladła na myśl, ile niemytych ciał spędzało na nich noc. Trochę musiała się nagimnastykować, ale zdołała jakoś się przebrać bez dotykania obrzydliwego legowiska. Powie Patrickowi, żeby rozłożył karamaty. Zdumiała się, kiedy Willem oznajmił, że w takich chatach mieści się do trzydziestu osób. Nie potrafiła wyobrazić sobie trzydziestu osób na tych materacach. Może z dziesięć, choć i wtedy byłoby ciasno. Ciekawe, czy znowu spotkają się z Niemcami?

W suchych rzeczach od razu poczuła się lepiej i wróciła do ognia. Pozostali wyglądali na znużonych, jeśli nie gorzej, i wdzięcznych losowi, że wspinaczka na ten dzień dobiegła końca. Margaret usiadła na taborecie obok Patricka.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Teraz lepiej. Byłeś w środku?

- Tam jest obrzydliwie. Nie przesadzam.

- Ale jest łóżko. Jest schronienie - odparł Patrick. - Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek do tego stopnia ograniczył się do najbardziej podstawowych rzeczy i tak się nimi cieszył. Myślałem, że się rozplaczę, gdy zobaczyłem ten szalas.

- Tobie też było trudno.

- Boże, tak!

- Ale zachowywałeś tempo.

- Robiłem, co w mojej mocy.

- A ja nie?

To pytanie go zaskoczyło.

- Jasne, ty też.

- Czuję się jak idiotka - powiedziała, strząsając kijem błoto.

- Nikt nie miał ci za złe. Wszyscy rozumieją.

- Kłamiesz. Diana nie odezwała się do mnie, odkąd tu weszliśmy.

Patrick wzruszył ramionami.

- A jak pozostali? - zapytała Margaret.

- Willem miał ochotę pogadać. Możesz to sobie wyobrazić?

- Nie.

- Wyglądało na to, że on i Diana walczą o miejsce za przewodnikiem. To było dziwne i głupie.

- A Arthur?

- Zachował spokój. Myślę, że oszczędza siły. Przez większość drogi szliśmy jednym tempem.

- Saartje?

- Szła na przedzie z mężem. Wyglądała na najmniej zadyszaną z nas wszystkich.

- Naprawdę? - Margaret poczuła nowy respekt dla tej kobiety. - Patrick, nie jestem pewna, czy dam radę.

Przez chwilę milczał.

- Musisz, Margaret. Nie możemy cię tu zostawić. Nie byłabyś bezpieczna, nawet gdybyś zamknęła się od środka w szalasię.

- Wiem.

- Wypocznij. Przykro mi to mówić, ale najgorsza część dopiero przed nami.

Margret jęknęła. Wzięła kubek posłodzonej herbaty od kucharza, który posłał w obieg puszkę z herbatnikami.

- Cieszę się, że nie wpadliśmy na nic większego od nektarni-ka - powiedział Willem. - Wczoraj myślałem, że już po nas.

- Wciąż się dziwię, że bawół nie zaatakował - dodał Arthur.

- Straszne z was marudy - oznajmiła Diana. W zamierzeniu miała to być dobroduszna kpina, ale jej słowa zabrzmiały jak nagana.

- Wszyscy robimy, co w naszej mocy - odparł Arthur, przysuwając taboret bliżej ognia.

Kucharz machnął obiema rękami, przestrzegając go, że może spalić sobie buty. Arthur potaknął.

- Zaryzykuję. Cholera, nie potrafię rozgrzać stóp.

- Zmień skarpetki.

- Boję się zdjąć buty.

Diana westchnęła.

- - O to mi chodziło. Luluś z ciebie.

- Ja natomiast umieram z głodu - oświadczył Patrick. Pociągał nosem, starając się ustalić, którą potrawę gotuje kucharz.

- Nogi mi cierpną - powiedziała Margaret, czując mrowienie w udach.

- Nigdy nie chodziłaś po górach, prawda? - zapytała Sa-artje.

Margaret nie sądziła, żeby to był odpowiedni moment na wzmiankę o Monadnock.

- Właściwie nie. I chciałabym was wszystkich przeprosić, że tak wolno idę. Nie powinnam była brać udziału w tej wyprawie. Przeze mnie musicie się wlec.

Diana odwróciła głowę; mignął czerwony kaptur z białym futrem.

- Bzdura - powiedział Willem. - Jeszcze zrobimy z ciebie wspinacza. Jutro będzie lepiej.

- Myślałam, że jutro czeka nas najgorsza część. Piarg, lodowiec i tak dalej.

- Lodowiec nie wymaga siły, tylko opanowania.

- Dasz sobie radę - powiedział Patrick. - Tylko rób, co każe przewodnik.

Diana absolutnie w to nie wierzyła; westchnęła znacząco. Tak głośno, że Patrick ostro na nią spojrzał. Nie ulegało wątpliwości, że Diana żałuje za-

proszenia Patricka i Margaret na tę wyprawę, ale nawet ona nie zasugerowała pozostawienia Margaret w chacie.

- Cholernie długo się tu gramoliliśmy-powiedziała, na wypadek gdyby ktoś tego nie zauważył.

Kucharz chochlą rozlał wołowy gulasz do blaszanych kubków i podał chleb. Margaret poprosiła o wodę.

Przez cały wieczór nogi jej cierpły, jakby miała wszczepione w mięśnie miniaturowe elektrody. Po posiłku wszyscy rozsiedli się w pozycjach, które najbardziej im odpowiadały. Margaret odwiedziła już latrynę, dziurę w ziemi na tyle odległą od obozu, żeby nie było to kłopotliwe. Skorzystanie z niej wymagało zręcznych poruszeń, łopaty i odwagi. Kto wie, co czai się w mroku?

Willem dokładnie ich poinstruował.

- Jeśli nie ma toalety, zakopcie kupę w piętnastocentymetrowej dziurze. - Margaret pospiesznie usiłowała przeliczyć to na cale. - Na dużych wysokościach w glebie brakuje organizmów, które rozłożyłyby odchody, należy więc zostawić je na otwartym powietrzu, gdzie będą wystawione na działanie promieni UV. Roztarcie ich przyspiesza proces. Zawsze noście własny papier toaletowy.

Obok Margaret siedział Arthur.

- Co ja bym dał za porządnego drinka - powiedział.

- Co ja bym dała za czystą toaletę.

Arthur spojrzał na tragarzy.

- W głowie mi się nie mieści, że robią to codziennie.

- Muszą mieć płuca jak miechy kowalskie.

Arthur wyjął z kieszeni batonik i połową poczęstował Margaret.

- Diana świetnie się wspina - powiedziała.

- Musi być pierwsza. We wszystkim. Prowadziłaby przewodnika, gdyby uznała, że jej się to uda.

Margaret poczekała, aż czekolada się roztopi i zapełni jej usta. To było jak rzadki i egzotyczny rarytas.

- Za kwadrans zajdzie słońce - oznajmił Arthur. - Lepiej pozbierajcie swoje rzeczy i wybierzcie prycze.

- Tam nie ma pryczy, tylko materace.

- Idziemy na materace? *¹.

Zmęczony Arthur miał siłę żartować. Margaret uśmiechnęła się z uznaniem.

Obdarzony cudownym głosem Patrick zaczął śpiewać, po części dla siebie, po części dla grupy. Margaret słyszała go śpiewającego ze sto razy i nigdy nie miała dość. Ze swym czystym tenorem mógłby zostać zawodowym śpiewakiem, gdyby nie interesował się medycyną. Margaret obserwowała miny pozostałych. Wszyscy byli zdziwieni i ucieszeni. Nikt się nie spodziewał takiej rozrywki na zimnej i ponurej górze.

Margaret sama ledwo potrafiła uwierzyć, że dwa dni temu stała w palących promieniach słońca.

Patrick śpiewał „If You Leave Me Now”, „50 Ways to Leave Your Lover” i „Imagine”, ponieważ pozostali chcieli się przyłączyć. Kiedy wyczerpał mu się irlandzki repertuar, przewodnik i tragarze zaczęli swoje afrykańskie pieśni. Margaret nie rozumiała słów, ale same melodie były wesole. W połowie każdej piosenki Afrykańczycy wybuchali śmiechem, zarażając chichotami nawet ją, choć nie miała pojęcia, z czego właściwie się śmieją. Wyobrażała sobie, że to piosenki o głupiej *mzungu* próbującej wspiąć się na wysoką górę w Afryce.

Po kolei udali się do szałasów. Przewodnik powiedział, że będą sami, bo grupa, która zaplanowała nocleg (nie byli to wcześniej spotkani Niemcy), jest o dzień opóźniona. Margaret położyła swoje rzeczy na trzecim, zewnętrznym materacu; ręczniki leżące na dwóch sąsiednich świadczyły, że ktoś je zajął. Z kolejnych trzech, ustawionych do tamtych pod kątem prostym, Patrick wybrał ten, na którym stykał się głową z żoną. Ale Saartje i Willem już pościelili swoje legowiska, kładąc poduszki na drugim końcu,

¹ * Aluzja do „Ojca chrzestnego” Maria Puzo: zwrot oznacza przygotowanie się do walki, zajęcie pozycji (przyp. dum.).

więc Patrick się do nich dostosował. Uznał pewnie, pomyślała Margaret, że jego stopy mniej będą przeszkadzać jej niż tamtym dwojgu.

Wcześniej tragarze na mokro wyczyścili na nich kurtki, choć błota nie udało się usunąć bez śladu. Wysuszyli się potem, siedząc plecami do ognia. Margaret już wcześniej się przebrała, pozostali natomiast robili to na zewnątrz albo odwracając się niezgrabnie w śpiworach. Kiedy Margaret wsunęła się do swojego legowiska, Patrick usiadł w nogach pośłania. Oparła się na łokciach i chwilę porozmawiali. Na koniec ją pocałował, jak robił każdego wieczoru, odkąd się pobrali. Nigdy nie zapomniał jej pocałować, nawet jeśli był na nią zły. W końcu odwrócił się i wsunął do swojego śpiwora.

Arthur i Diana wciąż byli na zewnątrz.

Margaret nie wiedziała, czy się przebiorają, czy też Arthur eskortuje żonę do latryny. Koło latarni tuż za drzwiami stał tragarz, gotów w każdej chwili ją zgasić. Razem z pozostałymi Afrykańczykami spał przy ogniu. To wydawało się niesłuszne, skoro były wolne pośłania w środku, ale Margaret zdążyła się już przekonać, że w żaden sposób nie da się namówić tragarza do odstąpienia od raz ustalonego biegu rzeczy. Wcześniej usiłowała przekonać przewodnika, żeby wziął dodatkowe materace, ale jednoznacznie dał jej do zrozumienia, że jego zadanie polega na pozostaniu na dworze oraz pilnowaniu ognia i chaty. Zdawała sobie sprawę, że jeśli na pożegnanie wręczą mu sowity napiwek, będzie zadowolony.

W progu chaty rozległy się głosy. Tragarz zgasił lampę i zamknął drzwi za Arthurem i Dianą. Margaret nie potrafiła dostrzec ich twarzy ani nawet zarysów postaci. Z szelestem, po omacku dotarli do materaców, mrużąc coś do siebie, potem Margaret usłyszała wyraźny szmer, gdy wsunęli się do osobnych śpiworów. Podejrzewała, że Willem już śpi, ponieważ ciszę zmaściło męskie chrapanie, które nie miało rytmu ani barwy chrapania Patricka. Wyobrażała sobie Saartje leżącą na plecach, wpatrzoną w sufit. Zerwał się wiatr i przyniósł głosy Afrykańczyków z zewnątrz.

Nie miała pojęcia, kto leży obok niej, Diana czy Arthur. Odwróciła się do nich tyłem. Zapach dymu z ogniska wypełnił wnętrze szałas i sprawił, że Margaret ogarnęła senność. Co rusz rozlegały się ciche szelesty, ale uznała,

że to niespokojni wspinacze próbują znaleźć wygodną pozycję. Zapadła w sen.

Margaret jęknęła i gwałtownie cofnęła dłoń zwisającą z materaca. Przekręciła się tyłem do ściany. Była zbyt przerażona, żeby zakryć głowę śpiworem albo obudzić Patricka. Gdyby tylko znalazła dość odwagi, żeby wyciągnąć rękę i połaskotać go w nogi.

Czyjaś ręka odnalazła jej dłoń.

- To szczury - szepnął Arthur.

- Szczury?

- Tak.

- Jeden przebiegł mi po ręce.

- Mnie co chwila biegają po stopach. To znaczy po śpiworze.

- O matko.

- To specjalność chat na tej wysokości.

- Bardzo śmieszne.

- Czasami na nie trafiasz, czasami nie. Wygląda na to, że mamy szczęście.

- Boże wielki. - Czuła, jak cała się poci. - Muszę stąd wyjść.

- A dokąd pójdziesz?

Odpowiedź była oczywista.

- Wszystkie szalasy takie będą? - zapytała.

- Ktowie?

- Czy one gryzą?

- Szczury? Pewnie nie.

Uścisk Arthura był silny i choć nie sprawiał jej bólu, musiałyby szarpnąć dłoń, żeby się uwolnić. Trzymał ją tak, jak trzyma się dziecko, które potykając się, bnie przed siebie.

Jego dłoń była ciepła i duża, dłoń mężczyzny. Bez odcisków, ale mocna. Wykonał ludzki gest: jeden człowiek próbujący uspokoić drugiego. Albo nie. Jakkolwiek było, Margaret nie zamierzała pierwsza się wycofać. Leżała zwrócona twarzą do Arthura, którego w ciemności nie widziała. Czuła tylko jego dłoń, więcej nie potrzebowała ani nie pragnęła. Nieznacznie

zwróciła twarz ku złączonym rękóm. Wydawało jej się, że w promieniu tego uścisku nic jej nie grozi.

Margaret nie знаła motywów, jakimi kierował się Arthur, aczkolwiek mogła ich się domyślać. Kiedy zbliżyła twarz ku dłoniom, ruch przypominał czołganie się ku ciepłu ognia. Nie samego ognia, ale jego ciepła. Co zrobiłby Patrick w podobnej sytuacji? Ująłby dłoń Saartje, żeby ją uspokoić, nie przypisując temu gestowi innego znaczenia? Jak Margaret miała przekonać się rano, Patrick nie spał koło Saartje, tylko obok Willema. Biedak.

Możliwe, że Arthur także zwrócił twarz ku dłoni, Margaret o tym nie wiedziała. Nie zorientowała się też, w którym momencie zasnął.

Kiedy Patrick ją obudził, pospiesznie spakowała rzeczy w słabym świetle latarni i włożyła w usta gumę do żucia dentyne, którą wzięła na wypadek, gdyby umycie zębów nie było możliwe. Z zewnątrz dochodziły gniewne głosy; należały do Diany i Arthura. Była trzecia nad ranem w dniu piargu i lodowca.

Kucharz przygotował wspinaczom gorącą kawę i ciasteczka, właściwe śniadanie mieli zjeść w Górnej Chacie po przejściu przez lodowiec. Żeby się rozgrzać, chuchali na zwinięte dłonie albo trzymali kubki oburącz. Zapalono latarnie, jako że wciąż panowała ciemność, którą rozproszyć miał dopiero wschód słońca o wpół do siódmej. Arthur siedział na stołku blisko ognia. Po przeciwnej stronie kręgu ciepła i bezpieczeństwa wyznaczonego przez ognisko Diana rozmawiała z przewodnikiem. Margaret poszukała wzrokiem Patricka; znalazła go dziesięć kroków za swoimi plecami, gdy na skraju kręgu popijał kawę.

Kurtkę miał rozpiętą.

- Nie marzniesz? - zapytała.

- Margaret, co się dzieje?

- To znaczy?

- Z Arthurem? - Oddech Patricka był cuchnący.

- Co z Arthurem?

- Kiedy rano cię budziłem, trzymaliście się za ręce. Margaret była zdumiona. Przez całą noc trzymali się za ręce?

-To z powodu szczurów - odparła pospiesznie.

- Jakich szczurów?

- Po ręce przebiegł mi szczur. Obudziłam się i musiałam krzyknąć. Arthur powiedział, że w szalasz są szczury. Byłam przerażona, Patrick. Wziął mnie za rękę, żeby się uspokoiła.

Patrick zacisnął usta.

- To nie tak. W ten sposób, jak bierze się za rękę przerażone dziecko.

- Możesz szczerze powiedzieć, że nie zauważyłaś, że się tobą interesuje?

Margaret milczała przez chwilę.

- Ale to jeszcze nie znaczy, że ja interesuję się nim!

- Margaret, gdzie ty masz głowę? Pozwoliłaś mu trzymać się za rękę. Jak sądzisz, co pomyślała Diana, kiedy was zobaczyła?

Margaret wytrząsnęła fusy na ziemię.

- Powinnaś była mnie obudzić - powiedział Patrick. - Ja jestem twoim cholernym mężem.

- Nie jesteś moim cholernym mężem - odparła Margaret. - Jesteś moim ukochanym mężem.

- Chryste. - Pokręcił głową, jakby nie było o czym rozmawiać.

Margaret pewnie nie zrezygnowałaby tak łatwo, ale przewodnik wezwał ich do siebie. Zastanawiała się, kto jeszcze widział jej dłoń w dłoni Arthura i czy to wyjaśnia gniewne głosy tamtych dwojga przed szalaszem, kiedy się obudziła.

Tragarze rozdali im latarki. Koło Margaret pojawiła się Diana.

- Postaraj się dzisiaj nie zostawać z tyłu - powiedziała lodowatym tonem.

- Naprawdę się postaraj, dobrze?

Pokonywanie piargu polegało na trzech wolnych krokach i nieuchronnym zsunięciu się o dwa. Ciało wykonywało pracę niezbędną do osiągnięcia trzech, a uzyskiwało nagrodę w postaci jednego. Jak Syzyf.

Kiedy Margaret unosiła wzrok, widziała małe plamki światła znaczące stromy piarg, ale same postaci skrywał mrok. Podejście było prawdziwą torturą. Potwornie bolały ją nogi, gardło także. Pomyślała o słowach Diany i wiedziała, że dotrzymanie kroku grupie nie wchodzi w grę. Będzie znowu

musiała znosić pogardę tamtej. Tylko że teraz Diana była najmniejszym z jej problemów. Margaret pragnęła się zatrzymać. Za plecami miała tragarzy, od czasu do czasu jeden z nich podchodził i pytał, czy wszystko w porządku. Któryś dał jej kubek oczyszczonej wody; gest ten sprawił, że omal się nie rozplakała. Ledwo zdołała wykrztusić podziękowania.

Zastanawiała się, dlaczego w ogóle zgodziła się wziąć udział w tej wyprawie. Szlak, który wybrali, był najszybszą i najbardziej stromą, a jednocześnie najłatwiejszą drogą na szczyt Lenana, uświadomiła sobie jednak, że to informacja dość relatywna i skierowana do doświadczonych wspinaczy. Powinna była przynajmniej zadbać o lepszą kondycję. Przypomniała sobie własną niemal zbrodniczą nonszalancję na myśl o wspinaczce na górę. Przed oczyma stanęła jej chwila, gdy Patrick wszedł do pokoju gościnnego i powiedział: „Wyruszamy na Kenię”. Mogła wtedy z łatwością odpowiedzieć: „Ale nie ja”.

Na szczycie piargu zatrzymali się na krótki odpoczynek. Pozostali wzięli pod uwagę Margaret, pozwalając, by złapała oddech, którego zawsze jej brakowało. Napili się wody i zjedli następną przekąskę, po dwa owsiane herbatniki.

- Najgorsze za nami - powiedział Patrick. - Niestety, zaraz musimy iść dalej. Przewodnik chce, żebyśmy pokonali lodowiec przed wschodem słońca.

- Dlaczego? - zapytała Margaret. - Przecież słońce i tak nie będzie świeciło.

- Zakładam, że mają swoje powody. Robili to już setki razy.

- Możesz to sobie wyobrazić?

- Szczerze? Nie.

W ciemności Margaret nie widziała twarzy pozostałych i bardzo się z tego cieszyła. Przewodnik kazał wyłączyć latarki na czas odpoczynku, żeby oszczędzać baterie. Patrick objął Margaret za ramiona i uścisnął, co przyjęła jako propozycję zgody. Gdyby miała siłę, odpowiedziałaby tym samym.

Poproszono ich, żeby znowu włączyli latarki i ustawili się w rzędzie. Szlak był dość równy, dotarli do czegoś w rodzaju płaskowyżu. Margaret pragnęła, by słońce wreszcie wzeszło, mimo że wokół otaczały ich chmury. Ciemność jednak wywoływała dreszcze. Na piargu nie obawiała się zwierząt. Które zwierzę, choćby nie wiem jak dzikie, zbliżyłoby się do tego miejsca? Teraz jednak, na otwartej przestrzeni, zwierzęta mogły wyczuć ludzi. A może doszli już do punktu, gdzie żadne większe zwierzę się nie zapuszcza?

Wzeszło słońce i wymazało najbliższą przeszłość. Przy pierwszych promieniach okazało się, że warstwa chmur się rozstała. Chociaż nie mogli oglądać wschodu, Margaret poczuła, że humor jej się poprawia. Widziała, jak tu i tam światło odbija się od płaskich ścian skał. Szybko sobie uświadomiła, że czeka ich wejście ponad chmury. Nie będą zbyt wiele widzieli, ale krajobraz przed nimi nabierał wyrazistości i po raz pierwszy mogli dostrzec mniejsze wzniesienia prowadzące na szczyt. Światło, różowe i delikatne, było marzeniem każdego fotografa. Margaret zatrzymała Patricka i wyjęła z jego plecaka aparat. Zrobiła kilkanaście zdjęć we wszystkich kierunkach. Zwróciła twarz ku słońcu; pragnęła, by każdy promyczek dotknął odsłoniętej skóry. Wierzyła teraz, że uda im się wejść na szczyt. Willem i Saartje zaczęli rozmawiać. Arthur od czasu do czasu odwracał głowę i mówił coś do Willema. Tylko Diana milczała; z pozoru widok ożywającej ziemi nie robił na niej żadnego wrażenia. Zniknęły ponure szarości i brązy, zastąpione intensywnym błękitem nieba, połyskującymi srebrem skałami, a w oddali oszłamiającą bielą lodowca.

Przed wejściem przewodnik wygłosił przemowę do wspinaczy. Upowiedział, że lodowiec to nie przelewki. Po pierwsze, wszyscy, którzy jeszcze tego nie zrobili, muszą włożyć okulary przeciwsłoneczne; ślepotą śnieżną istnieje naprawdę, jest niebezpieczna i paraliżująca. Po drugie, niech dokładnie przyjrzą się zboczowi pokrytemu lodem. Nogi Margaret zaczęły drżeć; podejrzewała, że nie jest w tym osamotniona. Nic im nie grozi, ciągnął przewodnik, jeśli będą się stosować do wskazówek. On będzie wycinał stopnie w lodzie, tragarze z czekanami pójda między poszczególnymi oso-

bami, wszyscy będą przywiązani linami, pozostaje im tylko ostrożnie stawiać stopy i uważać. Zapewnił, że każdy go usłyszy, nawet ci z końca. Ani się obejrzą, jak pokonają lodowiec.

Przewodnik ustalił kolejność: on pójdzie pierwszy, za nim Diana. Nie ulegało wątpliwości, że wyczuł jej zniecierpliwienie i wiedział, że będzie chciała iść z przodu. Za Dianą Arthur, za nim tragarz. Później Margaret, Patrick i następny tragarz. Dalej Saartje, Willem i pozostali tragarze. Przewodnik dał Willemowi czekan i na koniec powiedział, żeby informować go w razie potrzeby.

Margaret ucieszyła się ze swojego miejsca. Przed sobą miała Arthura i tragarza, za sobą Patricka. Już nie była ostatnia. Po raz pierwszy w czasie wspinaczki czuła się pewnie, choć nogi nie przestawały jej dygotać. Tutaj potrzebne było tylko opanowanie; wierzyła, że stacją na to. Wystarczyło, że pomyślała o piargu, by sobie uświadomić, że lodowiec może się okazać łatwy, jeśli tylko będzie stosowała się do wskazówek.

Przewodnik przypiął ich do liny, dbając o odpowiednie odległości pomiędzy uczestnikami. Skończywszy, dał znak uniesioną ręką. Ćwiczyli wspólny marsz przez sześć metrów, tak by mogli wkroczyć na lód w zgranym rytmie, jako zespół. Zbliżyli się do lodowca, przewodnik wyciął pierwszy stopień. Mieli iść po wcześniejszych śladach, ale trzeba je było wygładzić i usunąć z nich lód, który od poprzedniej wyprawy się stopił. Poza szumem wiatru ciszę mącił tylko czekan przewodnika. Zrobili krok do przodu. Proces się powtarzał, aż przewodnik wyciął pięć stopni i Margaret postawiła stopę na lodzie. Stopnie były nieznacznie pochylone w stronę zbocza - nie na tyle, by człowieka znosiło, ale wystarczająco, by przy drobnym poślizgnięciu nie pociągnął za sobą całej grupy w dół.

Margaret zerknęła na lodowiec i stwierdziła, że nie widzi końca. Pode-rwała głowę. Na zbocze nad sobą także nie chciała patrzeć. Utkwiła wzrok w stopach poprzedzającego ją tragarza i powtarzała każdy jego ruch. Przy-puszczała, że Patrick tak samo wpatruje się w jej stopy.

Posuwali się wolno do przodu. Stopnie trzeba było wycinać lub oczyszcz-zać, ich kształt zależał od umiejętności przewodnika. Margaret nie uświa-

damiała sobie wcześniej, do jakiego stopnia będą musieli zaufać temu człowiekowi. Jeden fałszywy ruch z jego strony, a cała grupa straci grunt pod nogami i zawiśnie przy ścianie. Uznała, że takie myśli są nieproduktywne, i zaczęła liczyć. Robiła to często, kiedy nudziła się na spacerze. Odliczanie pomagało wypełnić sobie czas. Raz, dwa, trzy, cztery - rodzaj wojskowego rytmu. Dla zachowania równowagi rozpostarła ręce. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że bezpieczeństwo całej grupy zależy od sprawności każdego z jej członków. Dlaczego nikt o tym nie wspomniał jako o podstawowym wymogu w czasie wyprawy?

Dojście do połowy lodowca zajęło przewodnikowi około dwudziestu minut. Margaret wiedziała, co ją czeka. Otuchy dodała jej swobodna postawa poprzedzającego ją tragarza. Robił to dziesiątki razy, jeśli nie więcej, czy wracałby tu, gdyby droga nie była bezpieczna?

Dla niego trawers przez lodowiec był tylko uciążliwością; Margaret z każdym krokiem coraz bardziej pragnęła znaleźć się na drugim końcu.

- Do diabła, co ona wyprawia? - krzyknął Patrick. Margaret podniosła wzrok. Dostrzegła błysk czerwieni.

Przewodnik głośno coś zawołał. Diana szła inną ścieżką, wiodącą nad ich głowami, jej pochylona postawa zdradzała zniecierpliwienie wolnym tempem. Margaret uświadomiła sobie, że żona Arthura wypięła się z liny.

- Diana, przestań! - krzyknął Arthur. - Wracaj tutaj! Przewodnik także wołał. Ponad nimi Diana wolno pokonywała lodowiec, nie korzystając ani z liny, ani z czekana.

- Diano! - krzyknął ponownie Arthur.

Margaret patrzyła, jak Diana raz jedną, raz drugą stopą kopie w lód, który nieco zmiękł, dzięki czemu kantem podeszwy udawało jej się wygrzebywać prowizoryczne stopnie. Przewodnik usiłował ją dogonić, grupa podążała za nim.

- Zatrzymajcie ją! - krzyknął Patrick. - Niech ktoś ją zatrzyma!

Diana zawsze paliła się do działania. Zapewne wysokość w końcu zaczęła na nią działać i osłabiła jej zdolność osądu. Ręce trzymała wyciągnięte na boki, ale siła, z jaką wykopywała stopnie, wytwarzała siłę odśrodkową, która wypychała ją na zewnątrz, przez co teraz bardziej niż wcześniej mu-

siała starać się o zachowanie równowagi. Arthur krzychał błagalnym tonem, jakby samo natężenie jego głosu mogło skłonić ją do posłuszeństwa.

Wszyscy jednak wiedzieli, że Diana nikogo nie słucha.

A potem w ułamku sekundy siedziała na zboczu z podwiniętymi kolanami i zsuwała się obok przewodnika. Margaret nie mogła uwierzyć własnym oczom. Przewodnik wyciągnął rękę w kierunku białego futerka przy kapturze Diany, która próbowała złapać jego dłoń, ale nie zdołała. Zrzuciła rękawiczkę, wbiła paznokcie w lód. Trafiła na wybrzuszenie i usiłowała do niego przylgnąć, ale musiała skapitulować przed grawitacją i prędkością. Margaret po raz ostatni widziała ją jako plamę czerwieni, wirowym ruchem spadającą w głęboką przepaść.

Takiego horroru Margaret nie potrafiłaby nawet sobie wyobrazić.

Arthur padł na kolana, z wyciem wołając żonę po imieniu. Wyciągnął w jej kierunku rękę, jakby wciąż mógł złapać ją za kurtkę, choć dystans między nimi wciąż się powiększał. Kiedy ukląkł, pozostali także kucnęli. Saartje zaczęła wołać zaraz po Arthurze, ale jej krzyki szybko przeszły w szloch. Margaret milczała, sparaliżowana z przerażenia. Nie widziała Patricka, który był za nią, natomiast postawa tragarza przed nią wyrażała najwyższą czujność. Arthur stracił panowanie nad sobą; kiedy pochylił się ku przepaści, przewodnik mocno go złapał. Jedną ręką trzymał go za kołnierz, drugą zacisnął na rękojeści wbitego głęboko w lód czekana. Krzyki Arthura stały się gardłowe, strach było ich słuchać. Margaret oparła głowę na kolanach.

To się zdarzyło w przeciągu sekundy. Za kilka minut mieliby lodowiec za sobą i Diana, zapomniawszy o zniecierpliwieniu, świętowałaby z całą grupą. Wprawdzie nie zdobyliby jeszcze szczytu, ale pokonaliby najgorsze, co miała do zaoferowania góra. Margaret pragnęła cofnąć czas i odwrócić chwilę, w której Diana wypięła się z liny. Ciągle od nowa o tym myślała. Arthur rozpaczał, bijąc pięściami w lód. Kołysał się na boki, a wszyscy razem z nim. Tragarz idący na samym końcu ruszył w dół, by zebrać zespół ratowników. Przewodnik rozmawiał przez krótkofalówkę, z której dobiegały piskliwe odpowiedzi. Wezwał strażników na pomoc. Później zasłonił sobą Arthura i przemawiał do niego spokojnie, cicho. Miał przed sobą jeszcze jedno zadanie: sprowadzić Arthura i resztę grupy z lodowca na dół.

Pozostali na miejscu przez czas, który wydawał im się bardzo długi. Każda minuta ciągnęła się w nieskończoność. Margaret myślała o Dianie rozmawiającej z dziećmi, poklepującej psy. O jej nagłym jasnym uśmiechu. O tym, jak błyskawicznie zareagowała podczas incydentu z mrówkami na Ngong Hills. Teraz najważniejsze było sprowadzenie Arthura na dół w jednym kawałku. Dzieci go potrzebowały. Margaret nie potrafiła wyobrazić sobie jego żałoby ani tego, co przyniesie mu przyszłość.

Miała ochotę poczołgać się przez lodowiec, ale przewodnik kazał im wstać. Każde musiało na własną rękę znaleźć sposób na to, jak się podnieść, mając stopy w niewygodnej pozycji, i jednocześnie zachować przy tym równowagę. Musieli odejść z miejsca wypadku. Każde, Arthur także, musiało zostawić Dianę w przepaści. Arthur szalał z rozpaczy, ale pozostali rozumieli doskonale, że teraz najważniejsze jest bezpieczeństwo. Chociaż przewodnik pozornie zachowywał spokój, Margaret wyczuwała, że jest zaniepokojony. Jeden gwałtowny ruch i wszyscy zginą. Największe zagrożenie stanowił Arthur, bo gorączkowo pragnąc odszukać żonę, mógł skoczyć z półki wydeptanej stopami. Czekać nie zdołałyby utrzymać gwałtownego szarpnięcia.

Zapanowała niesamowita cisza. Szli wolno, z najwyższą ostrożnością. Chociaż Margaret nie należała do osób religijnych, ciągle od nowa odmawiała „Ojcze nasz” jako coś w rodzaju rytualnej inkantacji. Myślała, że jeśli będzie powtarzała modlitwę bez błędów, uda im się dotrzeć bezpiecznie na drugi koniec lodowca.

Kiedy od krańca dzieliło ich dziesięć kroków, idący za nią Patrick głosem, który miał osiągnąć samego szczytu góry, wydał niezrozumiały okrzyk. Krzyk odbił się echem od skał i zmroził Margaret krew w żyłach. Po części przeznaczony był dla Arthura i Diany, dopiero później Margaret miała się przekonać, że przeznaczony był także dla niej.

Po zejściu z lodowca Arthur wypiął się z liny. Ruszył w dół po zboczu, jakby mógł wyprzedzić Dianę i złapać ją w locie. Willem pojął tkwiące w tym szaleństwo - z tej strony lodowca nie można było dostać się na dół - i pobiegł za nim, zadziwiając Margaret swą zręcznością i szybkością. Przewodnik był tuż za nimi. Saartje leżała bezwładnie na ziemi; Margaret ukłękła obok niej.

Patrick usiadł o jakieś sześć metrów dalej, z podciągniętymi kolanami i głową ukrytą w dłoniach. Margaret wiedziała, że lepiej do niego nie podchodzić. Saartje uniosła głowę, by zaczerpnąć powietrza, i spojrzała na Margaret.

- Zejdź ze mnie - wykrztusiła.

Margaret nawet jej nie dotykała, mimo to podniosła się.

- Arthur! - krzyczał Willem, usiłując unieruchomić przyjaciela. Wreszcie mu się udało i obaj usiedli. Razem wpatrywali się w przepaść, która pochłonęła Dianę. Przewodnik stał kilka kroków dalej w pozie wyrażającej szacunek. A także gotowość na wszystko, cokolwiek jeszcze się zdarzy.

- Czy to możliwe, że ona wciąż żyje? - zapytała męża Margaret.

Nie odpowiedział. Nie patrzył na nią. Nie podszedł do niej.

Saartje wstała i otrzepała ubranie.

- Wiesz, z jakiego powodu Diana i Arthur kłócili się rano? - zwróciła się do Margaret.

Margaret zrobiło się gorąco. Pokręciła głową. (Chociaż wiedziała, prawda? Musiała wiedzieć).

- Boże, po co w ogóle wybrałaś się z nami na tę wspinaczkę? - zapytała Saartje i odeszła.

Margaret, z rękoma w kieszeniach, wpatrywała się w swoje stopy. Nie była w stanie patrzeć na górę. Nie chciała spoglądać na Patricka, który uniikałby jej wzroku. Odwróciła się tyłem do lodowca, który niedługo znowu

będą musieli pokonywać, rzecz niemal nie do pomyślenia. Jak Arthur da sobie z tym radę? Jak którekolwiek z nich sobie z tym poradzi? A może jest jakaś droga okrążająca lodowiec? Przewodnik na pewno wie. Może da się pójść w górę i ponad? Ponad czym?, zastanawiała się, wodząc wzrokiem po grani. Czy Arthur będzie miał siłę do dalszej wspinaczki?

To było tak, jakby Diana pograżyła się w ziemi, z której wyłoni się za sto lat, a może nigdy. Poszła do miejsca, gdzie żadne z nich nie mogło jej towarzyszyć. Margaret miała nadzieję, że Diana zginęła natychmiast od uderzenia głową w lód, to wirujące spadanie wskazywało na brak świadomości. Nie mogła znieść myśli o Dianie żywej i świadomej swego losu nawet przez ułamek sekundy. Choć z drugiej strony, czy tamta aż do samego końca nie miałyby nadziei na ratunek? A może na widok zbliżającego się dna otchłani ogarnęła ją panika; Margaret wyobrażała sobie, że tak właśnie reagują ludzie, którzy wyskoczyli z budynków i ujrzeni ziemię błyskawicznie pędzącą im na spotkanie. Nie, Diana od razu straciła przytomność od uderzenia w głowę. Margaret próbowała sobie wyobrazić rozpacz Arthura, kiedy żona zsunęła się koło niego i momentalnie znalazła się poza zasięgiem jego ręki. Pragnienie, by ją ratować, i równoczesna konieczność zachowania bezruchu musiały być straszliwą torturą.

Kucharz podał im gorącą zupę. Przyjęli kubki, ale nikt nie był w stanie pić. Po jakimś czasie Patrick wstał i podszedł do Margaret. Milczeli. Słowa, które tłukły im się w głowach, nie nadawały się do wypowiedzenia na głos. Nie tutaj. Nie przy obcych.

Wreszcie Arthur i Willem ruszyli w górę. Margaret miała nadzieję, że Willem przygotował Arthura na powtórne przejście przez lodowiec.

Kiedy obaj się zbliżyli, Margaret poczuła wstrząs na widok twarzy Arthura. To nie był on. Ten człowiek miał na sobie kurtkę Arthura, ale był obcy. Jak ryba chwycił powietrze otwartymi ustami, powieki zapuchły mu tak bardzo od płaczu, że pozostały tylko szparki. Na własne oczy przekonała się, że rozpacz zmienia układ rysów.

Saartje podeszła do Arthura i przytuliła go. Położył głowę na jej ramieniu i zacisnął powieki, ale nie płakał. Żal zaczynał wykraczać poza łyzy, docie-

rał do miejsca, gdzie nie miał żadnego ujścia, mógł tylko na swój okropny sposób wciskać się do serca.

Margaret żałowała, że nie może zapaść się pod ziemię, rozpląnąć w powietrzu. Nie chciała, żeby Arthur uniósł wzrok i ujrzał jej twarz. Czy też ją obwiniał jak pozostali? Czy ona ponosi odpowiedzialność za to, że zainteresowanie okazywane jej przez Arthura zdenerwowało Dianę? Czy właśnie to wywołało u Diany gniew i zniecierpliwienie? A może spowodowała je sama Margaret swoją nieprawdopodobną powolnością, przez co grupa musiała na nią czekać? Ile godzin przez nią stracili? Albo też rozwścieczył ją widok złączonych dłoni.

Jak Arthur tłumaczył się żonie na werandzie? Przerażona Margaret złapała go za rękę? Nie chciała go puścić? Był taki zmęczony, że nie próbował się uwolnić i po prostu zasnął? A może latarnia z zewnątrz dawała dość światła, by Diana dostrzegła, że to Arthur ściska dłoń Margaret? Czy Diana dodała ten obraz do litanii zniewag, która tworzyła się przez ostatnie dwa tygodnie: zastała nieznajomą kobietę, z drinkiem w dłoni w swoim salonie, patrzyła, jak Arthur kładzie dłoń na ramieniu Margaret, kiedy wstał, by podać jej whisky, zauważyła, jakim wzrokiem mąż patrzy na Margaret nagą na Ngong Hills (podczas gdy Willem miał dość zdrowego rozsądku, żeby się odwrócić), widziała, że Arthur poczekał, by dodać Margaret otuchy, że poprzedniego wieczoru podzielił się z nią batonikiem? Czy Diana to wszystko widziała?

Jedynie Willem jej nie oskarżał. Tak samo jak Margaret dręczyła go wizja Arthura, który stracił panowanie nad sobą na lodowcu i szarpał za linę, narażając bezpieczeństwo całej grupy. Margaret przypuszczała, że Willem będzie się trzymał blisko Arthura. Pierwszy pójdzie przewodnik, drugi Arthur, trzeci Willem z czekanem na podorędziu, by wbić go głęboko w lód, jeśli Arthur potknie się albo upadnie.

Przyjechali strażnicy z Górnej Chaty.

Przejsie odbyło się bez problemów, choć poruszali się bardzo wolno. Każda minuta na lodowcu zwiększała ryzyko, że Arthur rzuci się w ślad za Dianą, skoczy w miejsce, gdzie jak sobie wyobrażał, leży jego żona. Kiedy

wreszcie dotarli na drugi kraniec, przewodnik poszedł przodem. Dwaj strażnicy sprowadzili Arthura na dół, co jakiś czas biorąc go pod ramię. Tuż za nimi szli Patrick i Willem. Nie biegli, przewodnik zmuszał ich do wolnego tempa, które na piargu wydawało się wręcz niemożliwe, bo człowieka ogarniała pokusa, by usiąść i zsunąć się na dół. (Willem przestrzegł, że rezultatem będzie „skóra zdarta z dupy”). Zejście po trzęsawisku było straszne, niewiele różniło się od wejścia. Margaret nabawiła się silnych skurczów i musiała często skręcać w krzaki z powodu biegunki. Czy to jakaś odwrotność choroby wysokościowej? A może to reakcja jej organizmu na wstrząs? Była chora, rozdygotana, chwilami sądziła, że nie zdoła zrobić następnego kroku. Wyciągnęła leki i zażyła łyżeczkę imodium. Kilka razy się zatoczyła i dopiero wtedy zauważyła, że kucharz, którego imienia nie знаła (którego imienia nie znała!), nie odstępował jej, na wypadek gdyby naprawdę źle się poczuła. Po przejściu bagna Arthur odsunął strażników i sam doszedł do bram parku. Sprawiał wrażenie, że po części odzyskał równowagę emocjonalną, planował zebranie ekipy ratowniczej. Patrick wręczył spory napiwek przewodnikowi, który jednak nie chciał przyjąć pieniędzy.

W ośrodku powiedziano Arthurowi, że szansa na ratunek jest bardzo mała i najprawdopodobniej znajdą tylko ciało. Arthur padł na krzesło. Pół godziny później znowu był na nogach i zachowywał się bardzo nieprzyjemnie, arogancko i protekcyjnie, aczkolwiek trudno było go winić. Telefował: na policję, do przyjaciela w Langacie, do Jamesa. Zapewne zadzwonił też do Adhiambo, która opiekowała się dziećmi. Czekąco go kolejne straszliwe zadanie: musiał powiedzieć dzieciom, że ich matka nie żyje.

A także zorganizować uroczystość żałobną.

Była mowa o spędzeniu nocy w schronisku, lecz głos rozsądku podpowiedział Arthurowi, że musi wracać do dzieci, że ma obowiązki, o które nie prosił, które trudno sobie wyobrazić. Dysponowali tylko jednym samochodem. Patrick po cichu usiłował wynająć auto, żeby Arthur mógł jechać tylko z Willemem i Saartje, ale się nie udało. Mogli ewentualnie poczekać do rana na autobus. Patrick pokręcił głową. Wrócą tak, jak przyjechali.

Powrót do Langaty był upiorny. Miejsce za kierownicą, wcześniej należące do Diany, teraz zajął Willem. Arthur siedział obok niego, trzymając na kolanach rzeczy żony. Saartje i Margaret usiadły w środkowym rzędzie, a Patrick z tyłu. Margaret wiedziała, że zrobił to bardziej niż chętnie, pragnąc odgrodzić się od nich wszystkich. Przez całą drogę Saartje odwracała się do okna; Margaret myślała, że tamta dojedzie do Langaty ze skurczem w karku. Od czasu do czasu Margaret spoglądała prosto przed siebie, pomiędzy mężczyzn, żeby uchronić się przed chorobą lokomocyjną. Raz upokorzona musiała poprosić o zatrzymanie auta i wybiegła na pobocze. Skurcze nie ustąpiły. Marzyła, by zasnąć i obudzić się miesiąc później.

Chwilami Arthur uderzał głową o zagłówek. Margaret wyobrażała sobie, że raz po raz powraca do niego przerażająca scena na lodzie. Chwilami krzyczał, a potem tylko zwieszał głowę i płakał.

Po przyjeździe do Langaty Saartje i Willem poszli do Wielkiego Domu, by być przy Arthurze, kiedy powie o wszystkim dzieciom, a może też zostać przy dzieciach. Margaret pragnęła okazać się w jakiś sposób pomocna. Patrzyła, jak odchodzą, ale Patrick poprowadził ją w stronę domku. Powiedział, że później odbierze sprzęt. Nalegał, by Margaret się położyła.

Oboje dusili w sobie słowa, które kłębiły im się w głowach od tamtej chwili na zboczu, ale nie chcieli wypowiadać ich na głos, oboje byli zbyt roztrzęsieni. Rozmowa musi poczekać do rana.

Tej nocy Margaret leżała bezsennie, nie mogąc uwierzyć, że ta tragedia naprawdę się wydarzyła. Diana robiła stopnie w lodzie nad ich głowami, a potem spadała. Tak po prostu. Nie było jej.

A winę za to ponosi ona, Margaret.

Zastanawiała się, czy kobiecie, która nie protestuje, gdy mężczyzna okazuje jej zainteresowanie, wolno zgadzać się na jego dotknięcie, nawet jeśli w planach nie ma wzajemności? Czy pośrednio zawarła umowę, chociaż nie zamierzała jej dotrzymać? Własne czyny wydały jej się całkiem podobne do zachowania państewka przyjmującego pomoc finansową od większego, acz pogardzanego przez siebie kraju, które daje przez to do zrozumie-

nia, że będzie postępować zgodnie z życzeniami dobroczyńcy, choć wcale nie ma takiego zamiaru.

Czyż Margaret nie była winna, skoro widziała wyraźnie, że każda jej rozmowa z Arthurem sprawia Dianie ból lub wywołuje irytację? A Margaret z pewnością to widziała, w każdym razie intuicyjnie wyczuwała. Poza tym była przekonana, że nawet gdyby wcześniej się nie spotkały, Dianę, z tą jej wieczną chęcią działania, drażniłoby ślimacze tempo Margaret podczas wspinaczki. Nie potrafiła jednak pojąć, jak Diana, nawet gdyby kierowała się wyłącznie tymi dwoma motywami, mogła wypiąć się z liny, doskonale zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa. (Poza tym akurat podczas przejścia przez lodowiec Margaret nie miała żadnego wpływu na ślimacze tempo. Tak zdecydował przewodnik).

Margaret mogła natomiast wyobrazić sobie białą furję w głowie Diany i namiętą chęć ucieczki od czegoś, co sprawiło jej ból, czegoś poniżej jej poziomu (czy dlatego musiała wejść ponad grupę?), co tylko powiększało cierpienie. To w połączeniu z desperacką chęcią przyspieszenia wydało się Margaret prawdziwym powodem podjęcia przez Dianę najbardziej ryzykownego działania w życiu. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wypiąłby się z liny, gdyby biała furia nie zagłuszyła rozsądku. Diana nigdy wcześniej nie wchodziła na Kenię, więc to nie było tak, że doskonale знаła teren i czuła się pewnie na lodowcu. Podobnie jak pozostali wspiwała się na szczyt pierwszy raz. A może wierzyła we własną niezniszczalność i umiejętności, myślała, że ujdzie cało, nawet jeśli zachowa się jak szalona?

I co właściwie chciała osiągnąć? Pokonałaby na koniec lodowiec sześć minut wcześniej niż pozostali. Co zrobiłaby z tymi sześcioma minutami? Usiadłaby z uśmiechem na twarzy? Weszła na małą grań, by spoglądać z góry, jak pozostali kończą przeprawę? A może chciała przez to Margaret i Arthurowi powiedzieć: „Pieprzcie się”?

Margaret podejrzewała, że wszystko to po trochu - duma, uraza, irytacja, gwałtowna potrzeba szybkiego działania, złość - zbiegło się w jednym lekkomyślnym momencie, by skłonić Dianę do odpięcia się od liny.

- Porozmawiamy o tym tylko raz - oznajmił Patrick, kiedy nazajutrz rano, ubrany w koszulę z krótkimi rękawami i dżinsy, wyszedł z łazienki. Margaret wstała wcześniej i przygotowała na śniadanie jajka z bekonem, pokrojone mango i sok z asyminy. Obudził go zapach bekonu. -I nigdy więcej nie będziemy do tego wracać.

Usiadł do stołu i bawił się żółtkiem jajka.

Poczuła ulgę, słysząc, że mąż chce porozmawiać. Miała nadzieję, że to oczyści atmosferę. Wierzyła, że dzięki rozmowie lepiej zrozumieją to, co wydarzyło się poprzedniego dnia. Że samo mówienie rozładuje napięcie.

- Między nami nic nie było - zaczęła.

Patrick potarł brodę pięścią.

- Ależ było, Margaret.

Poczuła przelotny wstrząs.

- Zdawałam sobie sprawę, że Arthur ze mną flirtuje, ale byłam przekonana, że to nieszkodliwe.

Patrick podniósł filiżankę z kawą i zaraz ją odstawił.

- Nieszkodliwe dla kogo?

- Skoro coś zauważyłeś i uważałeś, że to niewłaściwe, dlaczego nic nie powiedziałeś? Przynajmniej mnie? - zapytała Margaret.

Patrick wziął do ręki łyżeczkę.

- Ponieważ cała sprawa wydawała się zbyt błaha, żeby robić z tego powodu aferę. Zawsze wierzyłem w twoją wierność i uczciwość. Nie podobało mi się, że Arthur cię podrywa, ale byłem przekonany, że to wkrótce się skończy. Pewnie coś we mnie pękło, kiedy zobaczyłem wasze dłonie. Ufałem, że nawet gdyby wziął cię za rękę, znalazłabyś sposób, żeby się uwolnić, choćby sytuacja była bardzo niezręczna. - Patrick zaczął bębnić łyżeczką po obrusie. - Ale ty tego nie zrobiłaś. Więc co to właściwie oznaczało? Musiałem zadać sobie to pytanie, choć wcale tego nie chciałem. Nie chciałem się denerwować. Miałem ochotę cię obudzić i wyrwać ci ręce ze stawów. - Bębnienie przybrało na sile. - Mogę sobie wyobrazić, co pomyślała Diana, kiedy się obudziła - dodał. - Wstała przede mną i jestem przekonany, że was widziała, w przeciwnym wypadku nie kłóciłiby się na werandzie. Sądziła, że między wami coś jest. Wiem, że tak myślała.

-I z tego powodu uważasz, że jestem odpowiedzialna za wypadek i śmierć Diany.

To samooskarżenie zabrzmiało surowo w słonecznym pokoju przy śniadaniu. Margaret miała nadzieję, że mąż natychmiast zaprzeczy, powie, że Diana i tylko ona ponosi odpowiedzialność za swoje czyny.

Patrick pochylił się nad stołem i przycisnął palce do czoła.

- Nie wiem, co myśleć, Margaret. Proszę Boga o jakieś wskazówki, ale ich nie dostaję. Gdybyście z Arthurem nie trzymali się za ręce i nie spali tak blisko siebie, Diana nie wpadłaby w gniew, który zmusił ją do tego, co zrobiła. Chyba w to wierzę.

Margaret siedziała jak sparaliżowana.

- Przykro mi, Margaret. Zapytałaś.

Zacisnęła powieki. Czy chciał ją ukarać za to, że przez nią zaczął wątpić? Za zmuszenie go do zmiany jej wizerunku jako żony? Za świadomość, że czeka go przyszłość, w której być może nigdy nie będzie mógł jej zaufać?

- Wyjaśniłam ci, co się stało - powiedziała na swoją obronę.

Spojrzał na nią.

- Wyjaśniłaś, to prawda.

- I nie wierzysz mi?

- Ależ wierzę. I gdyby Diana nie zginęła w lodowej szczelinie, pewnie świętowalibyśmy zdobycie Kenii i przechwalali się naszym sukcesem. Ale ona zginęła, a to wszystko zmienia.

- Dlaczego?

- Ponieważ wcześniej konsekwencje twoich czynów nie miały znaczenia. Teraz jest wręcz przeciwnie.

- Nie potrafisz oddzielić czynów od niezamierzonych konsekwencji?

- Nie wiem.

- Patrick, rozmawiasz ze mną, ze swoją żoną.

- Doskonale o tym wiem.

- To niewiarygodne. - Margaret wstała. - Jak możesz dalej być moim mężem, skoro jesteś przekonany, że odpowiadam za śmierć Diany? Jak możesz mnie kochać?

- No cóż, kocham cię. - Znowu zaczął wybijać łyżeczką rytm o kant stołu. - W tym rzecz. - Uniósł ku niej wzrok. - W nocy leżałem i zadawałem sobie to samo pytanie. Czy to zmienia moje uczucia do Margaret? Czy wciąż ją kocham? Dziwne, ale nic się nie zmieniło. W gruncie rzeczy nic. Kocham cię i chcę z tobą być.

- Dokonałeś analizy kosztów i korzyści?

- Nie bądź cyniczna. Dlatego powiedziałem, że tę rozmowę przeprowadzimy tylko raz i nigdy do niej nie wrócimy.

- Ale po co w ogóle o tym rozmawiamy? - zapytała Margaret. - Dlaczego koniecznie musiałeś mi mówić, że jestem winna, skoro zamierzasz ze mną zostać? Skoro mnie kochasz, jak powiedziałeś.

Czy Patrick jest z nią szczery, czy też wyczuwa w jego głosie zazdrość?

- Po pierwsze, zapytałaś. Po drugie, trzeba to było powiedzieć. Sprawa by się zaogniła, gdybyśmy o niej nie porozmawiali. Jestem przekonany, że ty także czujesz się winna. To znaczy, nie uważasz, że bezpośrednio spowodowałaś jej śmierć. Nie w taki sposób. Myślę tylko, że wiesz, że gdybyście z Arthurem nie trzymali się za ręce wczoraj rano, wszystko by się potoczyło inaczej.

Margaret poczuła mrowienie w nogach.

- A po trzecie, na wypadek gdybyś nie zdawała sobie z tego sprawy, nigdy cię nie okłamałem - ciągnął Patrick.

- Nie powiedziałeś mi o studentach w masowym grobie.

- To co innego. Chroniłem cię. A poza tym wciąż nie jestem pewien, czy to prawda.

- Patrick, jak możesz oczekiwać, że będę cię kochała, skoro wiem, że tak o mnie myślisz?

- Bardziej się martwię o to, czy będziesz kochała siebie.

- Ty arogancki skurwysynu - powiedziała Margaret ze śmiertelnym spokojem.

Wyrwała Patrickowi z ręki irytującą łyżeczkę i rzuciła nią przez pokój. Łyżeczka z brzękiem odbiła się od ściany.

- To reakcja wywołana gniewem - zauważył cicho Patrick. - Nie należysz do osób, które rzucają sztućcami.

- Czy to lekcja pogładowa?

- Chcę ci tylko pomóc zrozumieć, co mogła czuć Diana. Margaret usiadła i oparła głowę o stół. Wyobrażała sobie Dianę na dnie szczeliny, Arthura budzącego się ze świadomością, że jego żona nie żyje, i zmuszonego do radzenia sobie z tą straszną myślą. Może dzieci są z nim w łóżku, łagodząc szok, ale powiększając cierpienie.

Nie podnosiła głowy. Usłyszała, jak Patrick odsuwa krzesło i wstaje. Spodziewała się, że poczuje jego dłonie na szyi.

- Musimy się przeprowadzić - oznajmił rzeczowo. - Trzeba zacząć się rozglądać za nowym mieszkaniem.

Oddalił się od niej, nie zbliżył. Więc jednak jej nie dotknie. Zostawi ją przy stole, żeby przetrawiła, wszystko, co przed chwilą powiedzieli. Nie zamierza dotknięciem rozwiązać konfliktu.

Nabożeństwo żałobne było skromne. Uroczystość odbyła się w kaplicy przy wysokim kościele katolickim. Margaret nie miała pojęcia, że Diana była katoliczką. Oboje z Patrickiem zajęli miejsca z tyłu, nie chcąc zakłócać spokoju Arthurowi i jego dzieciom. Na widok dzieci - wyszczotkowane i lśniące włosy, drżące brody - Margaret się rozplakała. Rozglądała się za Adhiambo, która powinna siedzieć koło nich. Czyżby już ją zwolniono? Dowiedzieli się, że Arthur zabiera rodzinę do Londynu, a w wychowaniu Edwarda i Philippy pomoże mu siostra.

W nabożeństwie udział wzięło wielu kolegów Arthura z pracy oraz liczna grupa przyjaciół Diany. Twarze kobiet kryły się pod szerokimi rondami kapeluszy i Margaret nie potrafiła powiedzieć, czy którąś z nich zna. Szukała potężnej postaci Willema, ale nigdzie go nie widziała. Czy Willem i Saartje wyjechali? Nabożeństwo było zaskakująco oficjalne i trwało niemal godzinę. Kiedy wyszli z mrocznej kaplicy na jaskrawe południowe słońce, wielu żałobników od razu pobiegło do samochodów. W Wielkim Domu odbywała się stypa, ale Patrick i Margaret na nią nie poszli. Czekają ich pakowanie. W Karen, innym przedmieściu Nairobi, poprzez przyjaciela przyjaciela znaleźli dom, którym się mieli opiekować pod nieobecność właściciela. Rzeczy mieli niewiele, więc pakowanie będzie krótkie.

Margaret nie mogła jednak odejść, nie pożegnawszy się z Arthurem. Czekali przy stopniach kościoła, dłońmi przysłaniając oczy. Wreszcie pojawił się Arthur. Był sam, dzieci poszły przodem z kobietą, której Margaret nie znała. Patrick wyciągnął dłoń i powiedział, jak bardzo mu współczuje. Arthur miał na sobie żałobny strój, z butonierki wystawała chusteczka z czarnego jedwabiu. Przyczesane gładko brązowe jak glina włosy wyglądały tak, jakby posmarował je pomadą, ale ich nie umył. Patrick dodał, że klucze do domku zostawią na stole. Arthur pokiwał głową, potem ponad ramieniem Patricka spojrzął na Margaret. Na moment - wyraźny i jednoznaczny - ich oczy się spotkały.

Nie było żadnych wątpliwości co do współudziału i poczucia winy, które Margaret w jego wzroku odczytała.

TLR

Część druga

TLR

- Na pewno tego chcesz?

- Oczywiście.

- To będzie nieprzyjemny widok - ostrzegł Patrick.

- Wiem.

- Pomyślałem tylko, że może byś chciała zobaczyć moją pracę.

- Bardzo chcę. Cieszę się, że mi to zaproponowałeś. Wyszli z peugeota na asfaltowy parking szpitala Mathari,

poprzednio noszącego nazwę Szpital Psychiatryczny Mathari. Szpital wciąż był psychiatryczny, choć z nazwy usunięto nieprzyjemny stygmat. Władze myślały o kolejnej zmianie - na: Szpital Muthaiga - by jeszcze bardziej zrehabilitować instytucję. Mathari sugerowało nędzę, Muthaiga wywoływało bardziej eleganckie konotacje: miejsce zabaw dla bogatych białych emigrantów z poprzedniego pokolenia.

Margaret przez podeszwy butów czuła żar asfaltu. Ona niosła aparat, a Patrick swoją lekarską torbę. Niedawno ostrzygł się na krótko i miał białą skórę w miejscach wcześniej zakrytych przez włosy, co nadawało mu dziwnie chłopięcy wygląd.

Wizyta w szpitalu była ważna: Patrick po raz pierwszy poprosił Margaret, by na własne oczy zobaczyła jeden z jego naukowych projektów. Nie-wykluczone, myślała, że „dokłada starań”, by uratować małżeństwo, które popadło w stagnację po tamtej porannej rozmowie dotyczącej wypadków na Kenii. Minęły trzy miesiące, a w ich związku nie nastąpiła zmiana na gorsze, ale też nic się nie poprawiło. Margaret nie miała wielkiego małżeńskiego doświadczenia, wyczuwała jednak, że stagnacja nie jest szczególnie pomyślnym stanem, zwłaszcza gdy żadna ze stron nie czuje się z tym dobrze.

Przenieśli się do Karen, początkowo podenerwowani rozmiarami domu, będącego czymś pośrednim pomiędzy Wielkim Domem, który sprzedano kenijskiemu Ministerstwu Transportu, a domkiem. Nowy dom umeblowany był antykami i przedmiotami orientalnymi, miał także służącego imieniem

Moses. Moses robił dla Patricka i Margaret to samo co James dla Diany i Arthura; od razu dano im jednoznacznie do zrozumienia, że jego zwolnienie nie wchodzi w grę. Właściciele, małżeństwo z Australii, uważali Mose-
sa za niezbędny element wyposażenia i chcieli mieć pewność, że zastaną go na miejscu, gdy wrócą za pół roku.

Moses był dobrym kucharzem. Co rano witał Margaret z listą zakupów, którą przedstawiał jej do akceptacji: przyprawy *garam masala*, krewetki królewskie, proszek do czyszczenia toalety Kiwi Kleen Bowl. Dysponował bogatym repertuarem dań głównych i na razie nie udało jej się wymyślić potrawy, której nie potrafiłby przyrządzić. Miał miłe usposobienie i często się uśmiechał; Margaret go polubiła, choć w jego obecności nie mogła się pozbyć wrażenia, że jest oszustką prowadzącą życie, które jej nie przysługiwało z racji pochodzenia i wychowania ani na które sama nie zasłużyła. Przekazując Mosesowi instrukcje, czuła się jak aktorka w przedwojennej brytyjskiej sztuce.

Moses oprócz tego, że swą dobroduszą stwarzał w domu pozytywną atmosferę, służył też jako rodzaj bufora pomiędzy Patrickiem a Margaret. Świadomość, że Moses jest tuż za drzwiami, nadawała ich dialogom uprzejmy, nawet miły ton, przede wszystkim jednak kazała im mówić. Żadne nie chciało ponosić odpowiedzialności za ciszę przy stole. To było tak, jakby w obecności Mose-
sa zachowywali się najlepiej, jak potrafią. Margaret trudno było traktować go jak służącego. Pragnęła zaprosić go, by usiadł z nimi do kolacji, ale Patrick powiedział, że to pomysł z gruntu amerykański.

Co jakiś czas jedno z nich „dokładało starań”, by przebić się przez osad gęstniejący tuż pod powierzchnią uprzejmości i miłych słówek. W lutym, miesiąc po wyprawie, Margaret poprosiła Mose-
sa, by przygotował ekstrawagancką kolację, którą poprzedzać miał szampan podany w salonie. Moses rozpa-
lił w kominku i wrócił do kuchni, a Margaret rozstawiła świece. Kiedy Patrick wszedł do domu z torbą lekarską w jednej i aktówką w drugiej ręce, dostrzegła zdziwienie w uniesionych brwiach. Kupiła kolejną niespodziankę, którą planowała ujawnić później: białą jedwabną koszulkę nocną.

- O co chodzi? - zapytał.

- O nic. Będziemy tylko my. Pomyślałam, że potrzebujemy rozrywki. - Miała na sobie niebieskie *dashiki* z dekoltem w kształcie litery V i rozcięciami z obu boków długiej spódnicy.

Patrick usiadł na sofie, jakby nie był przekonany, czy zostanie.

- Nie podoba ci się? - zapytała.

- Nie, tylko że... sam nie wiem...

- Powinniśmy wciąż nosić żałobę?

- Nie wiem. Chyba nie. Nie zastanawiałem się nad tym.

- To tylko drinki i kolacja,

- Tylko drinki i kolacja z kawiozem i szampanem?

Odwróciła się i utkwiała wzrok w kominku; Patrick musiał wyczuć, że posunął się o jedną uwagę za daleko. Dotknął jej ramienia i dał znać gestem, żeby się do niego przytuliła. Otworzył szampana i nalał do kieliszków. Nie wznieśli toastu, nic nie wydawało się odpowiednie. Wypili szampana, zjedli kawior i śmiali się, czego nie robili od wyprawy na Kenię. Kiedy skończywszy szampana, wychodzili z salonu, pojawił się między nimi cień prawdziwej intymności.

Ale w jadalni przy idealnie nakrytym stole, palących się świecach i Mosesie, który ich obsługiwał, stało się coś, co zniszczyło ów krótki przypływ szczęścia. Margaret zbyt późno uświadomiła sobie, że lepiej by było, gdyby jedli na tacach przy kominku albo wysłali Mosesa do domu z obietnicą, że sami pozmywają.

Nim kolacja dobiegła końca, radość wyparowała jak bąbelki z szampana. Patrick poszedł do gabinetu, by poczytać artykuły o medycynie tropikalnej, Margaret pobiegła do sypialni, gdzie schowała białą koszulkę, którą wcześniej z taką zuchwałością rzuciła na łóżko.

- Wzięłaś aparat? - zapytał Patrick.

- Pomyślałam, że spróbuję. Jeśli się nie zgodzą, odniosę go do samochodu.

W tej samej chwili koszmarny odór zaatakował jej nozdrza, gardło i żołądek.

- Patrick-jęknęła.

W samochodzie Patrick był uprzejmy i wręcz ożywiony, próbował przygotować Margaret na szpitalną rzeczywistość. Kiedy jechali przez slumsy Mathari, widziała kartonowe dachy na byle jak skleconych chatach, które zdawały się tłoczyć jedna na drugiej, połykając całą ziemię.

- Podczas rebelii Mau-Mau oczyszczono ten teren - powiedział Patrick. - Sądzono, że tutaj jest gniazdo buntowników. Po niepodległości ludzie wrócili i z cienkich desek albo gliny zbudowali domy, o ile tak można nazwać te budy. Zarabiają na życie wynajmem pokoi albo warzeniem kukurydzianego piwa *bazaa*, które sprzedają klientom, głównie mężczyznom zapętlającym slumsy wieczorami i w weekendy.

- Próbowaleś tego piwa? - zapytała Margaret.

- Ohyda. Naprawdę.

Poniżej nie widziała żadnych uliczek, tylko kilometry kartonowych i blaszanych dachów.

- Nie ma wody, elektryczności, ścieków, wywozu śmieci - ciągnął Patrick. - Co pewien czas przyjeżdżają policjanci z buldożerami i równają z ziemią mniej więcej sto bud. Te tereny najbardziej mnie interesują, ponieważ w slumsach rozprzestrzeniają się choroby. Cholera, tyfus, gruźlica.

- Co się dzieje z ludźmi, którzy tracą domy? - zapytała Margaret, myśląc o Adhiambo.

- Przeprowadzają się do krewnych i przez jakiś czas żyją stłoczeni jak sardynki. W końcu wszystko, co władze zniszczyły, odrasta jak chwasty.

Stojąc na asfalcie, Margaret czuła się jak ślepa. Kiedy wzrok jej się przyzwyczaił do przeraźliwie ostrego światła, dostrzegła masę jaskraworóżowych i pomarańczowych kwiatów pokrywających błękitne i białe budynki. Obok parkingu pod dachem z blachy falistej kilku mężczyzn w zielonych uniformach pracowało przy samochodach. Pielęgniarski w białym fartuchu wolno prowadził kobietę w zielonym stroju. Dla Margaret ta scena wydała się całkiem normalna. Dopiero kilka sekund później, gdy zobaczyła, że ko-

bieta ma ogoloną głowę, że wymachujący rękami nastolatek jest przywiązany do wysokiego krzesła, a każde okno w budynkach zakratowane, zrozumiała, że ludzie pracujący przy autach są naprawdę bardzo chorzy.

- W szpitalu brakuje personelu - powiedział Patrick, gdy szli do głównych drzwi. - Cała moja praca tutaj polega na oddzieleniu chorób organicznych, które wymagają innego leczenia, od chorób stricte psychicznych. W rewanżu za możliwość prowadzenia moich badań przy każdej bytności tutaj przyjmuję pacjentki.

Margaret zsunęła słomkowy kapelusz na czoło, by osłonić twarz przed ostrym blaskiem słońca. Na odór nic nie mogła poradzić, jedynym wyjściem byłoby włożenie maski.

- Mają tu tysiąc siedmuset pacjentów, z których ośmuset nie może wychodzić - wyjaśnił Patrick. - Na tych ośmuset przypada ośmiu lekarzy. Sama sobie policz. Każdy chory został tu przyprowadzony przez rodzinę albo policję, ponieważ ich zachowanie uznano za przestępcze lub samobójcze. Oddziały męskie są po drugiej stronie tego ogrodzenia. Dzisiaj zobaczymy tylko oddziały kobiece.

Na brukowanym dziedzińcu leżały kobiety, pojedynczo lub po dwie. Margaret miała wrażenie, że promienie słońca spadają na nią jak młoty, i nawet nie próbowała sobie wyobrazić, jak gorąco i nieprzyjemnie musi być na asfalcie. Ich pojawienie wywołało zamieszanie. Kobiety otoczyły Patricka, wołając do niego w językach, których Margaret nie potrafiła rozpoznać. Odpowiadał w suahili, jedne chwalił, inne ganił. Margaret dostatecznie dobrze znała suahili, by zrozumieć niektóre napomnienia. „Jedz dobrze”. „Pij dużo wody”. „Pij mleko, które ci dają”. „Bierz leki”. „Odpoczywaj w cieniu, jeśli to możliwe”. Potem przedstawił Margaret. Z bliska odór był tak silny, że oczy zaszły jej łzami. Kobiety dotykały jej brudnymi dłońmi; wiedziała, że nie może się wzdrygać. Szczególnie zależało im na dotknięciu jej włosów z wybielonymi przez słońce pasemkami. Muskały palcami głowę Margaret i syczały, jakby przypaliły sobie opuszki.

- Wszystkie tutaj uważane są za chore psychicznie - wyjaśnił Patrick.

- Nie wolno im się kąpać? - zapytała Margaret.

- Ten smród to skutek zepsutej kanalizacji. Przywitał ich przełożony pielęgniarzy nazwiskiem Jesani,

Azjata z gęstą brodą pokrywającą połowę okrągłej twarzy, szopą czarnych włosów i grubymi okularami. Miał ich oprowadzić. Margaret zapytała, czy może fotografować. Najpierw odmówił, później powiedział, że niewykluczone, wreszcie oznajmił, że tylko wtedy, kiedy da jej znak. Tego dnia Margaret zrobiła pięć zdjęć. Jedno przedstawiało oddzielony kratami wewnętrzny dziedziniec, po którym krążyły pacjentki w bawełnianych sukienkach. Na drugim kobieta z ogoloną głową leżała na ziemi obok płotu z drutu kolczastego (to udało jej się zrobić ukradkiem). Trzecie pokazywało kobietę z odrastającymi siwymi włosami, która z długiej słomy wyplatała koszyk. Na czwartym, ustawionym przez Margaret, pielęgniarka w wykrochmalonym białym fartuchu uczyła czytać siedzące przy stole kobiety.

Jeden z oddziałów otaczało ogrodzenie z drutu kolczastego. Żółte drzwi i kraty oraz zielone stroje pacjentek stanowiły jedyne plamy koloru w tej ponurej scenerii. Kobiety w większości przebywały na dziedzińcu, niektóre wyplatały koszyki. Na środku dziedzińca kobieta imieniem Wanjui, w szóstym miesiącu ciąży, piła mleko z kartonu, przysługujące tylko ciężarnym. Jesani wyjaśnił, że kiedy dziecko się urodzi, zostanie przekazane do sierocińca Dr. Bernard's Home. Szpital Mathari nie jest odpowiednim miejscem dla niemowląt.

Wanjui spodziewała się drugiego dziecka, pierwszym opiekowała się rodzina męża. Mało prawdopodobne, by pozwolono jej zajmować się kórkimś. Rodzice zawsze uważali Wanjui za dziwną dziewczynę, ze skłonnościami do długich napadów płaczu i ataków złego humoru. Kiedy wyszła za mąż, ucieszyli się, bo od razu zaszła w ciążę, urodziła dziecko i troskliwie o nie dbała. Pewnego dnia jednak mąż wrócił do domu i zobaczył, że Wanjui próbuje utopić maleństwo w miednicy. Nie potrafiła wytłumaczyć, dlaczego to robiła. Czasami nie przypominała sobie tego zdarzenia. Bywało, że nie pamiętała, iż ma dziecko.

- Chora psychicznie - oświadczył Jesani.

Wiele kobiet miało halucynacje i omamy, inne nie kontrolowały funkcji fizjologicznych. Patricia interesowała ta druga grupa. Dlaczego straciły

panowanie nad ciałem? Patrick był przekonany, że część z nich po prawidłowym zdiagnozowaniu można by wyleczyć metodami konwencjonalnymi i odesłać do domu.

Kobiety leżały na trawie w tak absolutnym bezruchu, że muchy nawet nie bzycały, przysiadały tylko na brunatnych ciałach. Z długiego korytarza dobiegały czyjeś jęki. Jesani wyjaśnił, że tę chorą zamknięto w pokoju, ponieważ „nie potrafi siebie kontrolować”. W rogu pod płótnem starsza kobieta tuliła w ramionach młodszą jak matka niemowlę. Towarzyska pacjentka chodziła za Margaret, zadawała niezrozumiałe pytania, ciągle jej dotykała i chciała, by Margaret robiła to samo.

- Nie - szepnął do żony Patrick.

Przechodzili z oddziału na oddział, wreszcie stanęli przed ostatnimi zamkniętymi na klucz drzwiami. Odbyła się krótka dyskusja, czy Margaret powinna wejść do środka. Jesani obawiał się, że jeśli coś zakłóci codzienną rutynę, może wybuchnąć awantura. Białe kobiety rzadko pojawiały się na oddziale.

Margaret argumentowała, że jeśli wyniknie jakiś problem, natychmiast wyjdzie. Wreszcie pielęgniarz otworzył drzwi prowadzące do oddziału zbrodniarek.

Kobiety żyły tutaj otoczone wysokimi murami z grubego kamienia. W budynku panowała wilgoć i duchota, odór był straszliwy, atmosfera przynębiająca. Pacjentki agresywnie ruszyły w stronę Patricka i Margaret. Zażądały jej bransoletki. Domagały się pieniędzy. Ciągnęły Margaret za włosy. Kiedy na mrocznym dziedzińcu rozdawano banany, biły się o swoją część. Śmiały się z Margaret i goniły ją długim korytarzem pełnym zamkniętych drzwi, za którymi w izolatkach leżały chore. Momentami na oddziale było tak ciemno, że Margaret nie widziała własnych dłoni. Jesani rozmawiał z kobietami, upominał je i ganił, jeśli było trzeba. Od czasu do czasu prosił Patricka o zbadanie którejś. W drodze powrotnej przeszli obok otwartych drzwi. W pokoju majestatyczna Masajka kończyła wyplatanie ogromnego koszyka, mającego trzy metry średnicy. To, że nie kontrolowała czynności fizjologicznych i nie potrafiła sama sobą się zająć, nie umniej-

szało wcale wdzięku, z jakim podeszła do krat w oknie i uniosła dłoń w geście pozdrowienia.

-*Karibu*. -Witajcie.

- Widziała pani najgorsze - powiedział Jesani.

Margaret nie była w stanie przełknąć herbaty, którą podano im w gabinecie dyrektora, Patrick miał więc dwie filiżanki i dwie kanapki dla siebie. Co chwila spoglądał na żonę. W pewnym momencie wydało jej się, że próbuje powiedzieć: „To może być długie popołudnie. Będziesz głodna”.

Po lunchu poszła z Patrickiem do jego przychodni, kawałka wilgotnego korytarza oświetlonego pojedynczą żarówką i promieniami słońca padającymi przez okno. Patrick poprosił Margaret, żeby poczęstowała czekające kobiety wodą i herbatnikami, które dał im dyrektor, gdy od niego wychodzili. Pomyślała, że obietnica herbatników może stanowić atrakcję przychodni - to albo przystojny młody lekarz. Kiedy rozdała poczęstunek, usiadła na krześle w kącie i obserwowała męża.

Przypominał tamtego Patricka sprzed wspinaczki; był skupiony, choć nie stronił od żartów, szukał przyczyny problemu, ale okazywał też serdeczność: przyciągnął do siebie młodą zapłakaną kobietę. Badał gruczoły, zaglądał do gardeł, dotykał guzów, które wstydliwie mu wskazywano. Spokojnym tonem, jednak z pobrzmiewającą nutą ponaglenia, wydawał polecenia pielęgniarce. Aplikował lekarstwa. Przez cały czas robił notatki szyfrem; tylko on potrafił je odczytać. Margaret wiedziała, że kiedy skończy przyjmować w przychodni, spotka się z głównym lekarzem i przejrzy karty osiemdziesięciu pacjentów, których ujął w swych badaniach. Nie odrywała wzroku od jego ciemnych włosów rozjaśnionych popołudniowym słońcem, od oświetlonej od tyłu twarzy.

Patrick, Patrick, Patrick, powtarzała w myślach.

Wkrótce po dniu spędzonym w szpitalu Mathari kolega Patricka, imieniem Munira, i jego żona Naomi zaprosili ich do Limuru, miejscowości położonej na północ od Nairobi, na terytorium Kikuju. Mieszkała tam rodzina Muniry. Prowadził Munira. W drodze do Limuru Margaret ogarnęła sen-

ność wywołana pozornie niekończącym się widokiem czerwonej ziemi i zielonych tarasów, drzew mango i plantacji bawełny, morza czerwonych ziaren kawy. Pomyślała, że spowodowały to odczucie wyraziste kolory i nadmiar jaskrawych odcieni. A może chodziło o to, że Naomi i Munira mówili po angielsku ze śpiewnym i hipnotyzującym akcentem Kikuju.

Kiedy dojechali na miejsce, Munira powiedział, że najpierw muszą złożyć uszanowanie ojcu Naomi, który jest adwokatem i ma tutaj kancelarię. Patrick i Margaret usiedli na tarasie herbaciarni i zamówili herbatę. Poniżej ciągnął się labirynt czerwieni i zieleni, tu i tam wznosiły się chaty.

- Tu jest tak pięknie - powiedziała Margaret. - Ten widok sprawia, że czuję się ożywiona, a równocześnie senna. Mam ochotę zamknąć oczy.

- To skutek wysokości.

- Ty nie uważasz, że tu jest pięknie?

- Uważam. Ale to skutek wysokości.

-OK.

- Wiesz, że dziadek Muniry walczył podczas rebelii Mau-Mau?

-Gdzie?

-Tutaj.

- Chcesz powiedzieć, że w tym miasteczku? - zapytała Margaret, popijając słodką herbatę.

-I w okolicy. To tak, jakbyśmy dwadzieścia lat później siedzieli na polu bitwy z wojny secesyjnej. Dobrze się czujesz? Margaret spojrzała mu w oczy.

- Staram się - odparła.

Gniew rodzi gniew, pragnęła mu powiedzieć. Nieufność rodzi nieufność.

Słyszeli głosy zbliżających się przyjaciół i ojca Naomi.

- Mój teść chce was poczęstować drinkiem w barze swojego przyjaciela - powiedział Munira.

Margaret spojrzała na zegarek. Była jedenasta rano.

- Z przyjemnością się napijemy - odparł Patrick. Uśmiechnął się i uściśnął dłoń ojcu Naomi.

Poszli za nim do baru, betonowego baraku, gdzie z entuzjazmem powitali ich przyjaciele ojca Naomi; byli to mężczyźni z plemienia Kikuju w różnym wieku i różnej budowy, ale z wyraźnymi cechami Bantu. Zaprowadzono ich do pokoju na tyłach, Patricka poczęstowano szklaneczkę *chang'aa*. Grób dziadka Muniry znajdował się niedaleko. Podczas gdy Margaret fotografowała Munire, Naomi, grób i okolice, kolega Patricka opowiadał o poświęceniu dziadka.

- Był bardzo odważny. Przy użyciu samego noża zabił ośmiu brytyjskich żołnierzy.

- Jak umarł? - zapytał Patrick.

- Rozstrzelano go. Dostał kulkę w tył głowy. Margaret usiłowała wyobrazić sobie te piękne tarasy jako miejsce krwawej bitwy. Ceną była wolność, choć okazała się pełna skaz i trudna.

- Czas, żebyśmy coś zjedli - powiedział Munira.

Pojechali do chaty ulepionej z ziemi i plecionki, pokrytej dachem z trawy - to była rodzinna *shamba* Muniry. Tu chodził do szkoły podstawowej, stąd wyjechał do liceum, na uniwersytet w Wielkiej Brytanii, a potem na akademię medyczną w Nairobi. Teraz pracował w szpitalu Nairobi. Naomi była wysoką urzędniczką w banku. Miała na sobie jaskrawoniebieski kostium, który uwydatniał każdą krągłość jej ciała. Od czasu do czasu kładła dłonie na brzuchu i wzdychała z zadowoleniem. Munira oznajmił, że jego żona jest w ciąży.

Czy to jest prawdziwa Afryka?, zastanawiała się Margaret, wchodząc do mrocznego wnętrza chaty. Rozmawiała z krewniaczkami Muniry swym dość podstawowym suahili. Obie strony często się uśmiechały. Margaret przyglądała się zdjęciom wiszącym na ścianie: portretowi Jomo Kenyatty, wyciętym z czasopism widokom okolicy (jedno przedstawiało Mombasę), kobiecie z fryzurą złożoną ze skomplikowanych warkoczyków. Na środku pomieszczenia leżał ręcznie tkany czerwono-żółty chodnik, dzieło siostry Muniry; Margaret skomplementowała jej zręczność. Któraś z kobiet wyjaśniła, że jako kuchnia służy inna chata, ze specjalnym otworem wyciętym w dachu.

Patricka i Margaret poczęstowano *ino*, daniem z gniecionych ziemniaków, kukurydzy i fasoli. Jedli przy wtórze gdańskie kur biegających po podwórku. Na ich cześć zarżnięto kozę, gościom uroczyście podano „delikatesy”. Margaret spojrzała na blaszany talerz. Jakieś części zwierzęcia, których nie potrafiła rozpoznać, pływały w cieczy wyglądającej na krew. Patrick wziął kawałek i połknął niemal w całości. Margaret zebrała całą swoją odwagę i poszła w jego ślady, czując jedynie cień smaku i faktury przechodzącego przez gardło kęsa. Odmowa byłaby niegrzeczna, Margaret intuicyjnie zrozumiała to w chwili, gdy postawiono jej na kolanach talerz, a ironia sytuacji polegała na tym, że cała rodzina Muniry, kilkanaścioro rodzeństwa i kuzynów, siedziała w kucki i marzyła o posiłku, który dostali goście.

Do picia było *pombe*, dość słabe piwo, bardzo jednak pomocne przy konsumpcji organów. Pożegnaniu towarzyszyło wiele uścisków dłoni i próśb o ponowną wizytę. Margaret zaprosiła ich do Karen, co Afrykańczycy przyjęli bez większego entuzjazmu. (Rodzina Muniry rzeczywiście odwiedziła ich w święto Czwartego Lipca. Margaret podała hamburgery, sałatkę ziemniaczaną, coleslaw i ciasto truskawkowe na deser. Afrykańczycy ledwo tknęli jedzenie. Nie ruszyli hamburgerów, chociaż Patrick i Margaret pokazali im, jak je jeść. Grzebali w coleslaw, zjedli sałatkę ziemniaczaną - choć stwierdzili, że jest kwaśna - i tylko spróbowali ciasta truskawkowego. Uznali, że jest za słodkie).

Kiedy mieli wsiadać do samochodu, siostra Muniry dała Margaret koszyk z asyminami i tkaninę, która tak bardzo jej się podobała. Margaret przeraził dar w postaci jedyne go chodnika w domu; protestowała, że w żadnym razie nie może go przyjąć, że uklepana z gliny podłoga będzie bez niego goła. W końcu wsunięto im prezent na kolana przez okno samochodu. Margaret umierała z zakłopotania, dziękując z całego serca za szczodry dar. To nie była jej ostatnia wizyta w rodzinnej *shamba*, w przyszłości miało być ich wiele, ale nigdy więcej nie popełniła błędu, by podziwiać rzecz należącą do innej kobiety.

Raz Margaret wybrała się w podróż bez Patricka. Aarya i Karim, pakietańskie małżeństwo pracujące w UNICEF-ie i mieszkające w sąsiednim domu, dostało pozwolenie wzięcia udziału w ceremonii, którą Masajowie urządzali tylko raz na dwadzieścia lat. Aarya zapytała Margaret, czy chciałaby się z nimi wybrać. Niewykluczone, że będzie mogła zrobić kilka zdjęć, co pomoże im w dokumentowaniu *siku kuu*.

Zdradziecką i krętą drogą zjechali na dno doliny Rift, gdzie było gorąco, a w powietrzu unosiły się tumany kurzu. Łatwo odnaleźli miejsce ceremonii: dwieście pięćdziesiąt lepianek tworzyło idealny krąg o średnicy ośmiuset metrów. Margaret miała wrażenie, że odbyła podróż w przeszłość do starożytności. Zaparkowali niedaleko wejścia do kręgu i wdrapali się na dach volkswagena combi, który Aarya wypożyczyła z UNICEF-u. Zerwał się wiatr i sypał kurzem na spoconą twarz Margaret. Miała kapelusz i okulary przeciwsłoneczne absolutnie niezbędne elementy stroju. Bez nich pewnie dostałaby udaru słonecznego.

Uroczystość, którą mieli obserwować z dachu samochodu, przeznaczona była wyłącznie dla kobiet. Ceremonia dla mężczyzn odbyła się dwa dni wcześniej. W jej trakcie nastąpiło przejście młodych mężczyzn z grupy wojowników do młodszej starszyny.

Celem kobiecej ceremonii było zapewnienie jej uczestniczkom płodności. Udział w niej wzięło dwa tysiące Masajów, niektórzy przybyli aż z Kajiado. Uroczystość trwała cały dzień.

Niemal pięćset kobiet zgromadzonych w środku kręgu zaczęło śpiewać i tańczyć. Wyglądały wspaniale, jak królowe, w pięknych ozdobach z jaskrawych paciorków i w czerwonych kocach. Głowy miały ogolone, z wielkich, naciągniętych uszu zwisały im ciężkie ozdoby (w niektórych wypadkach były to pojemniczki po filmach). Czasami kilka kobiet rzucało się na ziemię, lamentując i bijąc się w piersi.

- One nie urodziły dzieci - wyjaśniła Aarya.

Taniec przyspieszył, zmienił się w czteroczęściowy rytuał. Kobiety podchodziły do małej sadzawki zrobionej z łajna i wypełnionej miodowym piwem, zanurzały w niej dłoń i smarowały wnętrza uda. Klękały przed znajdującym się obok naczyniem ze zwierzęcej skóry. W zależności od statusu

małżeńskiego i rodzinnego jedne piły, inne były smagane przez mężczyzn wiązką liści zmoczonych w cieczy. Później stawały przed siedzącymi mężczyznami, którzy przed sobą mieli płaskie naczynia z białą farbą. Malowali każdej twarz, plecy i rowek między piersiami w sposób odzwierciedlający jej płodność.

Stamtąd przechodziły do półokręgu śpiewających i tańczących kobiet. Spora grupa mężczyzn, teraz już całkiem pijanych, mijała je, plując i przyskajac miodowym piwem najpierw na dłonie, potem na rowek między odsłoniętymi piersiami. Po takim błogosławieństwie kobiety siadały. Powoli muzyka ucichła. Symbolika ceremonii była jednoznaczna.

Na początku Margaret wyjęła aparat i zrobiła kilka zdjęć. Ani ona, ani Aarya nie poprosiły o pozwolenie fotografowania i Margaret wolała nie ujawniać, że ma aparat, choć pragnęła uchwycić istotę ceremonii, interakcje pomiędzy mężczyznami a kobietami. Po mniej więcej kwadransie nerwowego fotografowania poczuła szarpnięcie za rękaw. Aarya wskazała kilkunastu członków starszyny otaczających samochód. Margaret odłożyła aparat, jakby to niewinne urządzenie było bronią.

Jeden z Masajów zaczął szybko mówić w suahili, Aarya tłumaczyła: chce pieniędzy, bo kiedy on jedzie do Nairobi zrobić sobie zdjęcie, musi zapłacić trzydzieści szylingów.

- Kiedy nam zapłacisz - mówił - pieniądze rozejdą się w jeden dzień. Łatwo je wydać. Ale fotografie mogą przetrwać nawet sto lat.

Margaret usiłowała skupić się na tłumaczeniu Aaryi, ale jakiś chłopiec wdrapał się na dach i wyrwał jej aparat z dłoni. Była przerażona, chciała odzyskać aparat, przede wszystkim jednak nie potrafiła sobie wyobrazić, że schodzi z samochodu i staje twarzą w twarz z grupą starszyny, teraz liczącą czterdziestu, pięćdziesięciu mężczyzn, z których każdy trzymał włócznię albo *panga*. Karim, który obserwował ceremonię ze środka kręgu, podbiegł do volkswagena. Przez długą chwilę rozmawiał ze starszyną, potem odwrócił się do Margaret i wyjaśnił, że jeśli nie odda filmu, będzie musiała zapłacić grzywnę w wysokości trzech tysięcy szylingów. Odparła, że się zgadza, odda film - ważniejsze od zdjęć było odzyskanie aparatu. Ale po szybkiej wymianie zdań Masajowie powiedzieli Karimowi, że zmienili

zdanie. Nie będą dłużej rozmawiać z Margaret, ponieważ jest kobietą; kobiety nie mogą posiadać żadnych rzeczy, tak więc zdaniem starszyny aparat nie należy do niej, tylko do jej męża. Czy Margaret ma męża? Potaknęła. W takim razie musi go przysłać następnego dnia, żeby starsi plemienia z nim sprawę rozwiązali.

- Ale to moja własność - zaprotestowała Margaret. - Mąż nie ma z tym nic wspólnego. Aparat należy do mnie.

- Nie możesz im tego mówić - ostrzegł Karim, który także wdrapał się na dach. - Nie będą zwracać na ciebie uwagi.

- Rób, co każą - szepnęła Aarya.

Nazajutrz rano Patrick i Karim pojechali do doliny. Patrick poprosił o możliwość rozmowy ze starszyna. Gorąco przeprosił za zachowanie żony, zapłacił drobną grzywnę i dostał aparat z powrotem.

Kiedy wrócił do domu, wydawał się rozbawiony całym zdarzeniem na tyle, że nie miał nawet do niej pretensji o godziny stracone na długą podróż.

Margaret natomiast była wściekła.

- Nie widzisz, jakie to dla mnie upokarzające? Dla kobiet?

- Oczywiście, że tak. Przecież właśnie o upokorzenie w tym chodzi.

- Tobie to nie przeszkadza? - zapytała, wpatrując się w brudny aparat na stole w holu.

- Właściwie nie.

- Jak możesz tak mówić? - Margaret podniosła głos.

- My nie należymy do tej kultury, Margaret. Nie postępujemy w taki sposób. Masajowie mają własną kulturę z bardzo odmiennymi od naszych regułami zachowania. Obie kultury spotkały się przelotnie na ich terytorium i skonfiskowano aparat. Który zresztą odzyskaliśmy.

- Ale jakim kosztem?

- Co jest dla ciebie ważniejsze, duma czy aparat? Margaret milczała, ponieważ sama nie знаła odpowiedzi

na to pytanie. Cieszyła się, że dostała nikon z powrotem, ale gotowała się na myśl, że zdegradowano ją do poziomu dziecka. A może dziecko płci

męskiej miałyby wyższy status niż ona? Minęło wiele dni, nim zdołała się zmusić, by znowu wziąć do ręki aparat.

Margaret coraz trudniej było poświęcać czas na dogłębne poznawanie Afryki. Przyczyną jej niepokoju stało się to, co sprowadziło ją na ten kontynent: małżeństwo z Patrickiem. Teoretycznie rozproszenie przedłużającego się pomiędzy nimi napięcia wydawało się bardzo prostą rzeczą. W rzeczywistości było inaczej. Margaret myślała, że Patrick radzi sobie z tym lepiej, ponieważ jest zajęty pracą. Ją fascynowała fotografia, ale czy miało to określony cel? Margaret nie musiała szukać pracy w Kenii - Patrick zarabiał na nich oboje - jednak zaczynała się czuć coraz gorzej. W czerwcu postanowiła, że coś z tym zrobi.

Po szczególnie ponurym i deszczowym weekendzie bez spotkań towarzyskich i wycieczek pojechała do Nairobi z portfolio, które poprzedniego dnia sobie przygotowała. Zaparkowała na bocznej uliczce od Kenyatty i poszła do redakcji „Kenya Morning Tribune”.

- Te może nie są takie ładne.

Solomon Obok siedział naprzeciwko Margaret za metalowym biurkiem tak zarzuconym papierami, że musiał rozłożyć portfolio na wierzchu. Przepraszył za bałagan i dodał, że doskonale orientuje się w tym chaosie, ale Margaret jakoś nie mogła w to uwierzyć. Zaczął od zdjęć przedstawiających krajobrazy i portrety mężczyzn, kobiet i dzieci (Afrykańczyków, Azjatów i białych), które robiła od przyjazdu do Kenii. Podobały mu się, tak przynajmniej zakładała Margaret, bo wnikliwie im się przyglądał i kiwał głową. Teraz jednak przeszedł do wycinków z alternatywnego bostońskiego tygodnika; zdjęcia były małe, ziarniste i nie tak ciekawe jak poprzednie. Czyż fotografia ze spotkania w State House może się równać z małymi czarnymi postaciami wyłaniającymi się z tumanów kurzu, który uniósł się, gdy drogą przejechała ciężarówka?

- Zrobiła pani postępy od przyjazdu do tego kraju - powiedział.

-Tak.

Zdjął okulary i rozmasował nos. Twarz miał podłużną, wąską i przystojną, a skórę najczarniejszą, jaką Margaret kiedykolwiek widziała u człowieka. Kiedy kilka minut wcześniej weszła do jego gabinetu, wstał, uściśnął jej dłoń i natychmiast z powrotem usiadł, jakby mógł jej poświęcić tylko parę minut. Zdążyła zauważyć, jak jest wysoki i szczupły, z jakim wdziękiem się porusza. Eleganckie smukłe palce poplamione miał grafitem ołówka.

Odłożył na bok fotosy z gazety i znowu zajął się portretami.

- To bardzo mi się podoba - powiedział, wskazując zdjęcie matki, która siedziała z dziećmi na chodniku Kimathi Street. - Tu jest wszystko. - Obok podniósł fotografię i postukał w nią lekko palcami. - Tak powinno wyglądać dobre ujęcie. Od razu opowiada historię. Wystarczy tylko podpis. Oczywiście musimy zamieścić tekst dla czytelnika. Jesteśmy dziennikiem, nie możemy sobie pozwolić na artyzm, na jakim by nam zależało. Co jednak nie znaczy, że fotografia reportażowa nie może być sztuką. Jeśli mamy

rewelacyjne zdjęcia, szukamy tematu do artykułu, który mógłby im towarzyszyć. Zaczynam myśleć, że to mogłoby ilustrować materiał o żebrakach. Zatrzymamy je, dopóki nie pojawi się potrzeba napisania takiego artykułu.

- Dziękuję panu - odparła Margaret.

- Widzę, że bycie kobietą czasami jest dla fotografa plusem - powiedział, znowu przyglądając się zdjęciu żebraczki z dziećmi. - Ta kobieta pewnie naciągnęłaby szal na twarz, gdyby fotograf był mężczyzną.

Margaret pomyślała, choć zatrzymała to dla siebie, że gdyby mężczyzna wrzucił jej do puszek dość szylingów, żebraczka pozwoliłaby mu zrobić tyle zdjęć, ile by zechciał.

Mężczyzna rozsiadł się w drewnianym obrotowym krześle i po raz pierwszy naprawdę spojrzał na Margaret. Kiedy tu przyszła, zaskoczyło ją, jak mała jest siedziba „Kenya Morning Tribune”. Tylko Obok miał własny gabinet. W pokoju stało kilka krzeseł - domyślała się, że na spotkania redakcyjne. Od drzwi wejściowych poprowadzono ją przez pomieszczenie wypełnione metalowymi biurkami, przy których siedzieli dziennikarze, sekretarki, osoby przyjmujące ogłoszenia. Prawie nikt nie uniósł na nią wzroku, kiedy przeciskała się do gabinetu Oboka. Margaret wiedziała, że redagowanie gazety wymaga niezwykłego skupienia. Dziennikarze szukali gorących wiadomości, szefowi działu ogłoszeń zależało na zyskach. Na każdym biurku stała maszyna do pisania i telefon. Margaret zauważyła, że w pomieszczeniu nie było okien, co nadawało sali pozory sauny.

- Jak długo pracowała pani dla tego dziennika w Bostonie?

- Zaczęłam zaraz po college'u.

- Miała pani szczęście.

- Słyszę, że mówi pan z amerykańskim akcentem? - zapytała.

- Studiowałem w college'u w Indianie.

Nie potrafiła sobie wyobrazić tego mężczyzny w Indianie.

- Naprawdę? Gdzie?

- W niewielkim kwakerskim college'u o nazwie Earlham. Wychowywałem się jako kwakier.

Sądząc po jego nazwisku i wyglądzie, Margaret przypuszczała, że Obok należy do Luo albo któregoś z pokrewnych plemion nilotyckich. Musiała

jednak wysilić wyobraźnię, by zobaczyć kwakrów przyjeżdżających do jego rodzinnej wioski i nawracających mieszkańców.

- Jak pan znosił tamtejsze zimy? - zapytała Margaret. Obok szeroko się uśmiechnął - fioletowoczerwone usta, białe zęby z różowym odcieniem przy linii dziąseł - a potem roześmiał się w głos.

- W pierwszym roku myślałem, że już po mnie. Śnieg na twarzy jest jak ogień, nie?

- To prawda - odparła Margaret, myśląc o bostońskich zawiejach albo jeszcze gorszych burzach lodowych.

- A pani od jak dawna tu jest?

- Od ośmiu miesięcy. Planujemy zostać przez trzy lata - powiedziała Margaret, choć w gruncie rzeczy wcale nie była tego pewna. Wątpiła jednak, by ktokolwiek dał jej pracę, gdyby oznajmiła, że zostanie tylko przez rok.

- Jest pani mężatką?

- Tak.

- Co robi pani mąż?

- Pracuje w szpitalu Nairobi. Prowadzi badania nad chorobami tropikalnymi. W zamian bezpłatnie przyjmuje pacjentów w przychodniach w całym kraju.

- I zostanie tu przez trzy lata?

Margaret uświadomiła sobie, że ten fakt można sprawdzić.

- Wierzmy, że to nam się uda - powiedziała przekonana, że Obok dostrzeże wahanie w wyrazie jej twarzy.

- Nie ma pani pozwolenia na pracę? ;

Pokręciła głową.

- Nie szkodzi. Zatrudnię panią jako wolnego strzelca. Niemal wszyscy fotografowie pracują u mnie na tej zasadzie. Albo dam pani zlecenie na określone zdjęcie, albo kupię takie, które będę mógł wykorzystać w przyszłości. Kupię na przykład cztery z tych. - Wskazał portfolio. Margaret ogarnęło uniesienie. - Nie możemy wiele zapłacić - dodał.

Spodziewała się tego. O mało nie powiedziała, że pracowałyby za darmo.

- Za trzy dobre zdjęcia z jednego zlecenia dostanie pani sto pięćdziesiąt szylingów.

Czyli około dwudziestu dolarów, obliczyła w myślach Margaret.

- To niewiele według amerykańskich standardów, ale mogę dać pani dużo zleceń. Brakuje nam personelu. - Obok się uśmiechnął. - W dobry tydzień może pani dostać dziesięć zleceń.

Dwieście dolarów na tydzień. Plus to, co Obok kupi z jej zbioru. Margaret postanowiła, że będzie szukała okazji, będzie robiła zdjęcia podobne do tego z żebraczką i dziećmi. Dwieście tygodniowo stanowiłoby solidne uzupełnienie skromnego stypendium męża. Patrick na pewno się ucieszy.

- To mi odpowiada - odparła, starając się, by nie zabrzmiało to zbyt entuzjastycznie.

Obok miał uroczy uśmiech.

- W przeciwieństwie do moich niektórych kolegów nie jestem niechętny zatrudnianiu przybyszów - oznajmił. - Zatrudniam najlepszych, niezależnie od przynależności plemiennej. W głównej sali znajdzie pani ludzi z plemion Luo, Kikuju, Nandi i Turkana, Ugandyjczyków i Azjatów. Sam jestem Luo. Obcokrajowcy tak jak pani są wolnymi strzelcami. Przekona się pani jednak, że nawet w naszej redakcji niektórzy koledzy przyjmą panią niechętnie. Może będzie musiała pojechać pani na przykład do Tsavo z reporterem, który uważa, że tę pracę powinien być dostać Kenijczyk. A przy okazji, dysponuje pani środkiem transportu?

- Tak, przez większość dni. - Niezawodny?

Margaret wzruszyła ramionami.

- Raczej tak.

- Wystarczy. - Obok wyjął z portfolio cztery fotografie. - Zapłacę pani sto pięćdziesiąt szylingów za każdą. Proszę podać wszystkie informacje Lily w sali głównej. Ma pani ze sobą paszport i wizę?

- Tak.

- Doskonale. - Obok wstał. - Czeki wydajemy w czwartki. Wysyłamy pocztą albo może je pani odbierać osobiście.

Skrzynkę pocztową mieli w szpitalu, co oznaczało, że korespondencję do domu przywoził Patrick. Margaret chciała sama odebrać swój czek.

- Przyjadę po nie - powiedziała.

Obok poskładał zdjęcia i oddał jej portfolio.

- Zobaczymy, jak poradzi sobie pani ze zleceniami - oznajmił, sugerując przez to, że dopóki nie obejrzy rezultatów kilku zleceń, rezerwuje sobie prawo do ostatecznego zweryfikowania jej przydatności. Uścisnęli sobie dłonie.

- Dziękuję - powiedziała.

Z progu rzuciła pospieszne spojrzenie na biurko redaktora. Obok już trzymał w dłoni ołówek.

Kiedy Patrick wieczorem wrócił do domu, Margaret powiedziała mu, że dostała pracę.

- W „Tribune” - dodała lekkim tonem.

Tego dnia rano po raz pierwszy zauważyła siwe włosy na skroniach męża. W związku z pracą często przebywał na dworze i skutki klimatu zaczynały być widoczne. Wyobrażała sobie, że Patrick tak samo myśli o niej.

- „Kenya Moming Tribune”? - zapytał.

Margaret żuła gumę z paczki, którą kupiła w Nairobi. Nigdy dotąd nie żuła gumy. Potaknęła.

- Doprawdy? - spytał, stawiając aktówkę i torbę lekarską na podłodze koło stolika w holu.

- Doprawdy.

- Jezu, Margaret. - Słucham?

- Ze wszystkich dzienników w Kenii ty wybierasz najbardziej kontrowersyjny?

- To dobra gazeta - odparła. - Bardzo szanowana. Poza tym chodzi tylko o zdjęcia. Mogę zarabiać sto pięćdziesiąt szylingów tygodniowo plus to, co redaktor naczelny zapłaci za inne moje zdjęcia poza zleceniami.

- A tym redaktorem naczelnym jest Solomon Obok?

- Znasz go?

Patrick wszedł do salonu i oparł dłonie na biodrach. Rano Moses ustawił na stoliku bukiet różowych i białych lili.

- Wszyscy go znają - odparł Patrick. - Dzwonił do ciebie?

Margaret roześmiała się, niechcący połykając przy tym gumę.

- Nie. Skąd miałby o mnie wiedzieć? Poszłam do niego i pokazałam mu portfolio. - Zdawała sobie sprawę, że jej ton jest trochę zbyt lekceważący.

- Dlaczego? - zapytał Patrick.

- Co dlaczego?

Chodził wokół sofy.

- Dostaję tutaj bzika, Patrick. Potrzebuję jakiegoś zajęcia. Ty masz pracę. Ja też ją miałam, zanim tu przyjechalśmy. Dłużej nie zniosę tego nicnierobienia.

- Cóż, w takim razie chyba się cieszę - powiedział bez cienia entuzjazmu.

- Obok uważa, że zdjęcia z Bostonu są schematyczne, za to podobały mu się fotografie afrykańskie.

- To dobrze.

Margaret czekała na dalszy ciąg.

- To wszystko? - zapytała po chwili. - Dobrze?

- Nie mogę powiedzieć, że jestem strasznie zadowolony. Będę się o ciebie martwił. Nie mogę udawać, że nie.

- Dlaczego musisz się o mnie martwić?

- Czytałaś tę gazetę? W redakcji przeważają ludzie z plemienia Luo, którzy mają swoje cele, a krajem rządzą Kikuju, na wypadek gdybyś nie uważała.

- W redakcji jest kilku emigrantów i co najmniej tyle samo Azjatów.

- Ico?

- I nic. Nie ma w tym nic złego. Patrick wolno pokiwał głową jak ktoś, kto nie przyjmuje wyjaśnień drugiej strony.

- Jeśli poprosi mnie o zrobienie czegoś, co uznam za ryzykowne, odmówię - dodała Margaret.

- Zobaczymy.

Tylko tyle dostanie i to musi jej wystarczyć. Powiedziała sobie, że przecież nie robi tego dla pochwał Patricka. A może jednak?

- Och, i jeszcze jedno - dodała. - Niewykluczone, że będę teraz częściej potrzebowała samochodu. Obok oczekuje, że w wypadku niektórych zleceń zapewnię transport. Możemy to jakoś ułożyć. Rano podrzucę cię do szpitala, a wieczorem zabiorę.

- Tylko bądź ostrożna, Margaret.

- Będę zarabiać, niewykluczone, że uda nam się coś zaoszczędzić i pojedziemy na prawdziwe wakacje. Do Mombasy, do jakiegoś kurortu. Będziemy leżeć na słońcu i pływać. Potrzebujemy tego.

Patrick odetchnął głośno.

- Do diabła, jasne, że potrzebujemy.

Margaret wyczuwała, że niektórzy dziennikarze piszą lepszą angielszczyzną niż ta, którą mówią. W ramach pierwszego zlecenia z dziennikarzem nazwiskiem Jagdish Shah, który pracował w „Tribune” ponad dziesięć lat, pojechała na przyjęcie na cześć dyrektora marketingu w East African Airlines.

- Mieszkasz w Karen? - zapyta! Jagdish z wyraźnym azjatyckim zaśpiewem.

Margaret zastanawiała się, czy nie przydzielono jej tego zlecenia wyłącznie ze względu na samochód. Hotel Utalii, gdzie odbywał się lunch, od redakcji dzieliło tylko sześć kilometrów, ale i tak trzeba było tam jakoś dojechać. Do pracy kupiła nowy aparat, leicę M3, która leżała w futerale na tylnym siedzeniu. Jagdish siedział sztywno, pochylony do przodu. Broda i wąsy służyły do ukrycia złej cery. Ubrany był w nieskazitelnie białą koszulę, krawat i marynarkę, oczy za grubymi szklami sprawiały wrażenie wytrzeszczonych. Ponieważ samochód nie miał klimatyzacji, Margaret jechała z otwartymi oknami, co najwyraźniej Jagdishowi przeszkadzało. Obficie skropił się wodą kolońską.

- Jestem trzeci z trzech synów - powiedział, zanim jeszcze dotarli do granic miasta. - Mój ojciec daje swoją firmę pierwszemu. Drugiemu załatwia biznes motocyklowych kurierów. Ale ja, ja mam iść i pracować u kogoś.

Na początku Margaret nie wiedziała, jak zareagować. To było niepokojące zwierzenie z ust człowieka, którego znała od niecałych pięciu minut.

- I to pana dręczy? - zapytała wreszcie.

- O tak. - Jagdish patrzył w okno. - To mnie dręczy przez całe życie. Moja żona ciągle na mnie napada: Powiedz ojcu to... Powiedz ojcu tamto... Próbuje go zauroczyć, co jest strasznym widokiem.

-Może udałoby się panu znaleźć lepszą pracę niż ta -zasugerowała Margaret.

-Nie, nie znajduję niczego innego. W Nairobi nie ma nic, żebym był swoim szefem.

Po tych słowach zapadł w pełne przygnębienia milczenie. Westchnął. Margaret zastanawiała się, czy będzie wykonywać z nim wszystkie zlecenia. Miała nadzieję, że nie.

Jagdish nie potraktował dyrektora EAA z większą subtelnością niż wcześniej Margaret. Obok wyjaśnił wcześniej, że jej zadanie polega na sfotografowaniu najważniejszych osób - dyrektora, ministra turystyki i prezesa Uta-
lii Group - podczas wspólnego uścisku dłoni, tak by pokazać też ich twarze. Najbardziej interesującym aspektem nudnego zdjęcia stał się widok połączenia czarnych i białych dłoni (cztery czarne, dwie białe), a chociaż Margaret zrobiła wiele ujęć, wiedziała, że Obok ich nie wykorzysta.

Następnego dnia Margaret obejrzała dokładnie zdjęcie w gazecie i przeczytała umieszczoną pod nim notkę. Zdjęcie nie było podpisane, nigdzie też nie podano nazwiska fotografa.

EAA miały dobry rok - czytaj na stronie 34- a firma zawdzięcza to Mt. Kevinowi Brittowi Dyrektorowi Marketingowemu oddelegowanemu na dwa lata z Eastern Airlines, które właśnie się skończyły.

Właściwy artykuł miał tylko dwie linijki więcej, sporo informacj'i podano jednak w pierwszym zdaniu i sformułowano je bardzo niezręcznie. Czy należało rozumieć, że skończyły się Eastern Airlines? Margaret zauważyła, że dyrektor marketingowy napisany został wielkimi literami, że czytelnika skierowano na stronę trzydziestą czwartą. Wydedukowała, że EAA musiała wykupić kosztowną reklamę, żeby zasłużyć na dwie wzmianki. Tytułowanie Kevina Britta „górami” uznała za pomyłkę składacza*².

² * Mt. to skrót od *mountain*, „górami”. Przed nazwiskiem powinien znaleźć się skrót „Mr.”, „mister” (przyp. tłum.).

Wyszli z hotelu i pojechali z powrotem do redakcji. W drodze Margaret wysłuchiwała smutnej historii o starszym synu dziennikarza, który był grubasem i marnie radził sobie w szkole. Jagdish już miał zacząć opowiadać o córce, ale Margaret zatrzymała samochód przed redakcją. Weszli oboje na górę; Margaret, żeby oddać film, a Jagdish, żeby napisać artykuł. Przez otwarte drzwi gabinetu zobaczyli Oboka z ożywieniem rozmawiającego przez telefon,

-Katastrofa samolotowa - powiedział, odkładając słuchawkę. - Przy Thika Road. Dwadzieścia pięć kilometrów za miastem. Samolot Latających Lekarzy. - Wycelował palec w Margaret. - Pani też - polecił, ruchem głowy wskazując drzwi.

Jagdish odwrócił się i ruszył truchtem, Margaret poszła za nim. Po drodze rzuciła film ze zdjęciami dyrektora recepcjonistce. Na dole Jagdish stanął przy samochodzie od strony kierowcy i poprosił o kluczyki. Sprawiał wrażenie, jakby wrócił do życia.

- Nie powinnam prowadzić?

- Znam drogę - odparł, wsuwając się do środka. Margaret trzymała się deski rozdzielczej, kiedy przemknął

Thika Road niczym kierowca wyścigowy. Kilka razy wyprzedzili pełny *matatu* po niewłaściwej stronie, zahaczając przy tym

Orów. Błoto pryskało na przednią i boczną szybę. Margaret nie prosiła Jagdish, by zwolnił. Pomimo tej nadmiernej prędkości

ilkilku sytuacji, w których o mało nie doszło do stłuczki, był doskonałym kierowcą. Doskonale rozumiała, że rzeczą absolutnie priorytetową jest jak najszybsze dotarcie na miejsce.

Nigdy nie widziała katastrofy samolotowej, nie w prawdziwym życiu. Miała kwadrans, by się przygotować na czekający ich widok. Kiedy Obok powiedział, że wypadek nastąpił na Thika Road, wyobraziła sobie, iż samolot widać z drogi. Do głowy jej nie przyszło, że samolot rozbił się na asfalcie, co sugerowało lądowanie awaryjne. Ruch zaczynał gęstnieć. Jagdish znowu skręcił na pobocze, po czym podjechał samochodem najbliżej samolotu, jak tylko się dało. Zahamował, wyskoczył i ruszył biegiem. Margaret złapała aparat i pobiegła za reporterem.

W odległości piętnastu metrów zgromadzili się gapie. Miejsca wypadku strzegli miejscowi *askari*. Pomoc jeszcze nie nadeszła.

Samolot prawie całą siłą uderzenia wziął na dziób, jedno skrzydło odpadło. Pilot musiał zdecydować, czy wylądować na asfalcie, czy w krzakach. Krzaki, choć bardziej miękkie, roiły się od przeszkód; zapewne droga wydawała się lepszym lądowiskiem, jeśli nie było na niej ruchu. Wyglądało na to, że pilot wybrał moment, kiedy w pobliżu nie przejeżdżał żaden pojazd, bo innych wraków nie było. Może skończyło mu się paliwo albo zawiodło podwozie.

W samolocie widać było *czyjś* tors. Biała koszula, niebieski krawat. Drugie ciało, przykryte płachtą, wystawało do połowy z wraku, trzecie leżało jakieś sześć metrów dalej.

Margaret stała jak sparaliżowana, podczas gdy Jagdish prowadził pośpieszną rozmowę z *askari*. Niecierpliwie dał jej znak, żeby natychmiast zaczęła robić zdjęcia.

- Nie powinniśmy najpierw sprawdzić, czy ktoś nie potrzebuje pomocy? - zapytała. - Któryś z nich może jeszcze żyć.

- Wszyscy zginęli - odparł Jagdish. - Nie myśl, tylko fotografuj.

Margaret znowu się zawahała; podszedł do niej, jakby zamierzał wyrwać jej aparat z ręki.

Zbliżyła się do samolotu. Kiedy spojrzała do środka, znowu zobaczyła tors, ale teraz dostrzegła też nogi. Minęło kilka sekund, zanim jej umysł zarejestrował to, co widziały oczy: pilotowi urwało głowę.

W odrętwieniu robiła zdjęcia pod różnymi kątami, Jagdish wskazywał nowe ujęcia. Po kilkunastu pstryknięciach opuściła aparat. Nie była w stanie dłużej fotografować, zbierało jej się na wymioty. Trudno było ustalić, co odcięło pilotowi głowę. Margaret zakaszlała i zgięła się w pół. Jagdish ujął ją pod ramię.

- To pani pierwszy trup? - zapytał.

- Nie... tylko...

- Niech pani robi zdjęcia. Za kilka minut zabiorą ciała. Proszę iść ze mną.

Pociągnął Margaret do ciała leżącego na asfalcie. W górze krążyły mysołowy. Zwłoki otaczała grupa Afrykańczyków ubranych na zachodnią

modłę. Za ich plecami rozciągała się ponura, zakurzona równina porośnięta krzewami. W oddali Margaret widziała drewniany budynek z czerwonym szyldem nad drzwiami. Nie potrafiła odczytać napisu na szyldzie.

Jagdish przepchnął się przez tłumek gapiów i ukląkł koło trupa. Ani na chwilę nie przestał notować.

- Proszę - powiedział, kołysząc się na piętach. - Zrób tego, natychmiast.

Odpędził gapiów. Margaret wykonała polecenie, pochyliła się nad ciałem. To była Afrykanka, miała na ubraniu insygnia Latających Lekarzy. Wykręcony kark dobitnie świadczył, że kobieta nie żyje. W takim razie ciało okryte płachtą to pacjent.

Dlaczego pomoc jeszcze nie nadeszła? Margaret dziwiła się, że jej i Jagdishowi pozwolono tak bardzo się zbliżyć do miejsca wypadku, w Stanach teren zostałby natychmiast zagrodzony przez policję i NTSB³. Dziennikarz miałby do dyspozycji tylko oświadczenie rzecznika.

Nogi zaczęły jej dygotać i nie potrafiła utrzymać nieruchomo aparatu.

Obok niej stanął Jagdish, bez marynarki, w nieskazitelnej koszuli wychodzącej ze spodni.

- Jest pani niedobrze?

- Nie. Ręce mi się trzęsą.

Zastanawiała się, czy reporter powie o tym Obokowi.

- Przywyknie pani - powiedział. Z kieszeni wyjął fiolkę z małymi białymi tabletkami. - Proszę wziąć jedną - polecił. - Przestaną się pani trząść ręce.

Margaret nie miała pojęcia, co to za tabletki, ale się nie wahała. Połknęła jedną na sucho.

- Niech pani poczeka minutę, potem wróci do samolotu i sfotografuje go z drugiej strony. - Podniósł głowę. Z oddali dobiegało słabe wycie syreny. - Niech pani już idzie! - ponaglił.

³ * NTSB - National Transportation Safety Board, Narodowa Rada Bezpieczeństwa Transportu (przyp. tłum.).

Specjalne wydanie dziennika wydrukowano wieczorem, pierwszą stronę wypełniały zdjęcia Margaret. Były makabryczne i cieszyła się, że nie podano nazwiska fotografa.

Mimo to czuła się dumna ze swojej pracy. Fotografie wyszły ostre, sama kompozycja opowiadała historię. Nikt nie pochwalił Margaret, nawet Obok, choć tylko dzięki niej mógł wydać specjalny numer. Bez fotografii historia rozbitego samolotu nie zasługiwałaby na dodatkowe wydanie. „Tribune” trafiła do czytelników godzinę wcześniej niż „Evening Standard”. W redakcji wszyscy sobie gratulowali.

Margaret złożyła odpowiednie strony wydania nadzwyczajnego i schowała na dno futerału. Tabletki przestawały już działać. Usiłowała wytrzeć mokre dłonie w spódnice. Kiedy jechała do szpitala po Patricka, myślała o trzech martwych ciałach. Pilot, pacjent, lekarka. Notatka oczywiście była sensacyjna, choć miała nieoczekiwane zakończenie. Margaret sądziła, że chodzi w niej będzie o ludzi ginących podczas bohaterkiej akcji, ale fotografie wykorzystano do zilustrowania apelu o konieczność zintensyfikowania nadzoru nad Latającymi Lekarzami. Słyszała cyniczne uwagi Patricka, zanim jeszcze skręciła na właściwą ulicę.

Dojeżdżając do szpitala, uprzytomniła sobie, że peugeot pokryty jest grubą warstwą błota.

Miesiąc po katastrofie samolotu (a Margaret miała oglądać wiele martwych ciał podczas swej pracy w „Tribune”: sześć ofiar śmiertelnych na African Safari Classic, siedemnaście po dachowaniu *matatu*, azjatycka rodzina zarżnięta maczetą w czasie snu) Patrick oznajmił, że nie będzie go przez dwa tygodnie. Musiał jechać na wybrzeże, miał w planie wizyty w szpitalach w Mombasie i Malindi oraz udział w konferencji w Lamu. Żadne z nich nie było jeszcze na wybrzeżu, choć Margaret pamiętała swoje wcześniejsze słowa. Chciała pojechać tam z mężem, ale nie mogła, dostawała z redakcji coraz więcej zleceń.

- Nigdy dotąd na tak długo się nie rozstawaliśmy - powiedziała, podchodząc do niego.

Objął ją mocno.

- Dasz sobie radę - odparł - a poza tym da się to tak ułożyć, żebym był w Lamu na długi weekend. Możesz wtedy do mnie przyjechać.

Margaret usłyszała w głosie Patricka ton podobny do tego, którym sama mówiła mu o swojej pracy. Mąż chciał ją przekonać do tej podróży.

- Dzień lub dwa spędzimy w miasteczku Petley - mówił dalej - potem przeniesiemy się na plażę w Shela. Popłyniemy *dhow* - dodał, mając na myśli starożytne łodzie, dzięki którym plemię Suahili z Lamu od tysiącleci zarabiało na życie.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Za dwa dni.

Uniosła głowę opartą na jego piersi.

-Tak szybko?

-Projekt nabrał rozpędu. Muszę to zrobić. Rozmawiałem z Mosesem, dobrze się tobą zaopiekuje.

Dla Patricka nic to nie znaczyło, ale zdanie, którym tak często posługiwał się Arthur, zabrzmiało niepokojąco.

Kiedy kochali się wieczorem, Margaret wyczuła w tym akcie przeprosiny i naprawę. Była też pewna, że Patricka przeszedł elektryczny dreszcz wywołany oczekiwaniem na przygodę.

Dwa dni później Patrick pojechał pociągiem do Lamu. Margaret odprowadziła go na dworzec. Podróż koleją trwałaby zbyt długo, więc sama miała lecieć samolotem z lotniska Wilsona na małe lotnisko w Manda. Patrick udzielił jej wszelkich wskazówek i zostawił pieniądze. Poleciał Mosesowi zapęłnić zapasami lodówkę i kredens. Dał do przeglądu peugeota, zatankował pełny bak benzyny. Zrobił wszystko, co kochający mąż robi dla żony, z wyjątkiem jednego: nie próbował nawet ukryć, jak bardzo nie może doczekać się wyjazdu.

Margaret często myślała o Dianie. Tysiąc razy odtwarzała w myślach tamtą scenę. Czasami potrafiła dostrzec moment, w którym dłoń przewodnika o centymetry rozmija się z futerkiem przy kapturze Diany; kiedy indziej Margaret czuła, jak wszyscy przypięci do jednej liny zsuwają się po

lodzie aż na sam dół. Słyszała w snach krzyk Arthura, budziło ją jego szlochanie. Czy wyjechał do Londynu, tak jak planował? Czy razem z dziećmi zamieszkał u siostry? Dosta! pracę w brytyjskim oddziale Colgate-Palmolive? Margaret pragnęła z nim porozmawiać, upewnić się, że wszystko u niego w porządku, chociaż wiedziała, że nikt nie może czuć się dobrze po takim strasznym przeżyciu. Wspominała chwilę, kiedy przed kościołem spojrzeli sobie w oczy, pamiętała okropną rozmowę z Patrickiem następnego dnia rano.

Czas mijał i Margaret zaczęła wyczekiwać listu od Arthura. Nie miałyby pretensji, gdyby zaadresowany był do Patricka. Nade wszystko jednak pragnęła zobaczyć się z Arthurem, porozmawiać z nim. Tak wiele miała mu do powiedzenia. Jemu wcale by to nie pomogło, ale mogłoby pomóc jej.

Po kilku telefonach dowiedziała się, że ciało Diany jednak odnaleziono i wysłano do Londynu, gdzie miał się odbyć właściwy pogrzeb. Margaret myślała, że Dianie to by się nie podobało, że wolałaby zostać pochowana w Kenii, kraju swego urodzenia. Diana nienawidziła Londynu i Margaret nie potrafiła sobie wyobrazić, że będzie tam spoczywać w spokoju. Żałowała, że prochów Diany nie rozrzucano na łące, gdzie pasły się jej konie, albo na którymś z wierzchołków w Ngong Hills.

Zlecenie polegało na sfotografowaniu nauczycielki. Rozmawiając z recepcjonistką Lily, obdarzoną zgryźliwym poczuciem humoru, przez co czas spędzony z nią nie był stracony, Margaret spodziewała się Jagdish. Zaskoczyło ją, gdy zobaczyła wysokiego Azjata, który wyciągnął do niej rękę i przedstawił się:

- Jestem Rafiq Hameed.

Margaret milczała.

- A ty jesteś Margaret - dodał.

- Tak. Przepraszam. Spodziewałam się... Nie, wszystko

W porządku - wykrztusiła.

- Mamy przeprowadzić wywiad z nauczycielką. -Tak.

Uśmiechnął się; Margaret nie potrafiła rozstrzygnąć, czy rozbawiła go jej niezręczność, czy też cieszył się na wywiad.

- Dobrze - powiedziała.

Chociaż Rafiq miał jasnobrązową karnację Hindusa lub Pakistańczyka i gęste czarne włosy, do czego Margaret już się przyzwyczaiła (nie miał natomiast brody ani wąsów), jego rysy były wyraźnie europejskie.

Spojrzał na zegarek.

- Musimy już iść. Pojedziemy moim samochodem, stoi przed budynkiem.

A więc miał samochód, cóż za przyjemna odmiana! Margaret pożegnała się z Lily. Rafiq przepuścił ją w drzwiach; zaskoczył ją tym gestem. Jagdish najczęściej wychodził pierwszy i puszczał drzwi, które zamykały się jej przed nosem. Uznała, że Jagdish nie jest mężczyzną nowoczesnym, tylko po prostu nieuprzejmym.

- Ten wywiad jest częścią większego materiału o stanie edukacji w Kenii, nad którym pracuję od kilku tygodni -wyjaśnił Rafiq, gdy schodzili po schodach. - Ministerstwu zależy na tych artykułach w „Tribune”, ponieważ

to jedyna rządowa inicjatywa, która naprawdę się sprawdza. Wiąże się z tym sto problemów, ale wszystkie dzieci chcą chodzić do szkoły.

- Jestem zaskoczona, bo wcześniej cię tu nie widziałam.

- Za to ja widziałem ciebie. - Rafiq przekrzywił głowę. - Trudno przegapić młodą białą kobietę w morzu brązu i czerni.

Już chciała zaprotestować, że w redakcji oprócz niej jest kilka białych kobiet (ściśle rzecz biorąc, dwie), ale dała sobie spokój.

- Co to za marka? - zapytała, wsiadając do samochodu.

- Citroen. - Rafiq skreślił na ulicę. - Najdziwniejszy pojazd, jaki kiedykolwiek zaprojektowano. Czy Obok powiedział ci, na czym mu zależy?

- Na portretach dorosłych i dzieci.

- Jedziemy do Parklands. Wyobrażam sobie, że będzie chciał ujęcia dzieci, choć może się myłę.

- Zrobię trochę jednych i drugich.

Rafiq miał na sobie ubiór profesjonalnego dziennikarza - marynarkę, krawat i białą koszulę - który wyglądał na mniej pognieciony i lepiej dopasowany niż u Jagdishy. Margaret próbowała odgadnąć jego wiek, ale nie potrafiła. Zapewne marynarka i krawat dodawały mu lat. Z określeniem wieku Azjatów Margaret radziła sobie równie kiepsko jak z wiekiem Afrykańczyków.

- Przyjechałaś tu z Ameryki? - zapytał.

- Tak. Z Bostonu w Massachusetts.

- To na wybrzeżu.

- Na północno-wschodnim wybrzeżu. Surowe zimy.

- Tak. A co sprowadziło cię do Kenii?

- Mój mąż jest lekarzem, kończy badania nad chorobami tropikalnymi.

- Ważna praca.

- Tak.

Pomyślała o Patricku przebywającym na kenijskim wybrzeżu i próbowała sobie wyobrazić, co teraz robi. Szczepi dzieci ze slumsów czy siedzi na białej plaży i ma zamiar zaraz się wykapać? Nie, to nie w porządku, z całą pewnością Patrick ciężko pracuje. Mimo to chętnie posiedziałyby z nim na tej plaży.

- A ty? - zapytała. - Od jak dawna jesteś w Kenii?

- Od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku, kiedy Azjatów wyrzucono z Ugandy. Tam się urodziłem.

- Wyrzucono was w czasie czystek?

- W sumie sześćdziesiąt tysięcy osób - odparł bez cienia goryczy w głosie. - Azjaci byli podstawą gospodarki. Idi Amin chciał się nas pozbyć, żeby móc oddać nasze firmy i posady Afrykańczykom. Ziemię też.

- To musiało być straszne. - Margaret próbowała wyobrazić sobie, jak to jest, gdy człowieka wszystkiego się pozbawia i zmusza do opuszczenia domu, ojczyzny. Przed oczyma stanęli jej rodzice, którzy w swoim domu na przedmieściach zamieszkali zaraz po ślubie. Nie do pomyślenia.

- To było trudne dla całego społeczeństwa - potwierdził Rafiq. - Myślę, że dla mojej rodziny stanowiło potężny wstrząs. Uświadomili sobie, że w gruncie rzeczy chcą wrócić do Pakistanu.

- Twoi rodzice są Pakistańczykami?

- Ojciec. Mama jest Walijką.

Margaret odwróciła ku niemu głowę.

- Naprawdę? Nie masz ani cienia walijskiego akcentu.. Roześmiał się.

- Nie. Uczyłem się w Anglii. Londyn tłumi wszelkie wcześniejsze naleciałości.

W ciasnym Citroenie Rafiq kolanami uderzał w deskę rozdzielczą.

- Co robiłeś, kiedy was wyrzucono?

- Studiowałem prawo na Makerere. Myślałem, że będę mógł kontynuować studia tutaj, ale ojciec stracił wszystko, stąd ta praca. Oszczędzam na czesne. W „Tribune” pracuję dopiero od pół roku. Wcześniej zatrudnił mnie wuj, który handluje maszynami do pisania. Niestety, odkryłem, że jestem strasznie marnym sprzedawcą.

- Odpowiada ci dziennikarstwo?

- Zabawne, ale tak. Świetny sposób na poznanie kraju.

W Parklands, na obrzeżach Nairobi, mieszkała klasa średnia. Byli tu Afrykańczycy, Azjaci, nieliczni biali. Rafiq i Margaret jechali uliczkami, mijając niewiele różniące się od siebie domy; kamienne mury, gipsowe

ozdoby, czerwone dachówki. Okolica była uderzająco podobna do londyńskiego przedmieścia, aczkolwiek tutaj panowała lepsza atmosfera.

W szkole (z kamienia, z oknami dzielonymi na szybki; gdyby Margaret nie wiedziała, wzięłaby ją za budynek mieszkalny) powitał ich dyrektor i przedstawił personelowi. W Kenii każda okazja stanowiła pretekst do świętowania. Rozglądając się wokół, Margaret myślała o różnicach pomiędzy tą szkołą a szkołą, do której chodziła w Stanach. W miejscu, gdzie w Massachusetts znajdowały się betonowe parkingi, tutaj rozciągał się rozległy ogród z wieloma gatunkami kwiatów: goździkami, lawendami, pomarańczowymi liliami i różami. Boisko do futbolu zastąpiły boiska do krykieta i piłki nożnej. Codziennie o jedenastej rano serwowano herbatę uczniom i nauczycielom. W szkołach byli służący.

Fotografując, Margaret przysłuchiwała się rozmowie Rafiqa z nauczycielką. Była to ładna Afrykanka ubrana w zachodnim stylu; miała na sobie sukienkę, którą Margaret podziwiała u Jaksa, w sklepie dla białych kobiet szukających połączenia stylów afrykańskiego i europejskiego. Fryzura afro i naszyjnik z paciorków uzupełniały jej strój. Fotografia, która później ukazała się w „Tribune”, przedstawiała ją sprawdzającą pracę małego azjatyckiego chłopca ostrzyżonego na pazia. Wpatrywał się w kobietę szeroko otwartymi oczyma, gdy wyjaśniała mu jakiś problem.

W Kenii nauczycieli szanowano, wręcz podziwiano. Zajmowali wysoką pozycję w społeczności złożonej z rodziców i dzieci. Margaret nie widziała w Afryce niesforności, której nie brakowało uczniom w Ameryce. Dzieci w Kenii nosiły mundurki, czesne było wysokie, często stanowiło znaczne obciążenie rodzinnego budżetu. Jeden wybryk mógł skutkować wydaleniem ze szkoły.

Pomiędzy zdjęciami obserwowała Rafiqa przy pracy. Zrecznie przesuwiał się pomiędzy dziećmi, od czasu do czasu kucał, by zerknąć im w twarz. Jagdish był rzeczowy, kończył wywiad w chwili, gdy zebrał potrzebne fakty, i często objawiał depresję, która w nim tkwiła (co zwykle przygnębiało rozmówcę, nie wspominając już o fotografii), Rafiq natomiast swoim zachowaniem stwarzał swobodną atmosferę. Często przerzucał się na miesza-

ninę suahili i angielskiego, dzięki czemu wywiad nabierał lżejszego charakteru.

Skończywszy pracę, wypili herbatę z nauczycielką i dyrektorem. W trakcie wywiadu Rafiq korzystał z przenośnego magnetofonu, który teraz stał na biurku dyrektora. Rozmowa dotyczyła szkoły. Dyrektor z pasją mówił o nadmiernie zatłoczonych klasach, konieczności lepszego wyposażenia, potrzebie zdobycia funduszy na budowę kolejnych pomieszczeń. Na pożegnanie uprzejmie uścisnęli sobie dłonie.

Kiedy szli do samochodu, Margaret zapytała:

- Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli pospacerujemy chwilę po ogrodzie? Chciałabym jeszcze popatrzeć na te piękne kwiaty.

- Oczywiście.

Otworzył żeliwną bramę prowadzącą do ogrodu. Dzień był pogodny, temperatura zbliżała się do trzydziestu stopni.

- Jak udał się wywiad? - zapytała Margaret. Zauważyła, że Rafiq jest wyższy od niej o dobre dwadzieścia centymetrów. Szedł z dłońmi w kieszeniach spodni.

- Dobrze, chociaż mogłem to wszystko napisać, me ruszając się z domu.

- Jak to?

- Nauczycielka była szczerą i uroczą kobietą, ale mogłem z góry przewidzieć większość z tego, co mówiła. Nie można wprawdzie przewidzieć wszystkich wypowiedzi dzieci, natomiast ogólny ton owszem. Wolę sprawy, w które trzeba się wgryźć, kiedy przed zadaniem pytania nie znam odpowiedzi. Rano myślałem, żeby pojechać do Mathari, przyjrzeć się tamtejszym warunkom, posłuchać ludzi, wiesz, napisać coś w stylu „Nadzieja w slumsach”. „Tribune” zamieszczała artykuły o Mathari, sprawdziłem w archiwum, ale ostatnio koncentrowali się na wyburzaniu, dodali też komentarz urzędników, którzy posłali tam buldożery. Mnie chodzi o coś innego. Cała sztuka oczywiście polega na tym, żeby zdobyć zaufanie odpowiedniego człowieka, który otworzy się przed Azjatą. Afrykańczycy z zasady nie ufają Azjatom.

- Chciałabym pojechać z tobą, kiedy będziesz zbierał materiały do tego artykułu - powiedziała Margaret.

- Tak. - Spojrzał na nią. - Oczywiście.

Wędrowali po labiryncie kwiatów. Bujne ogrody były powszechnie spotykaną częścią rajy w Kenii. Margaret starannie przemyślała następne zdanie. - - Niewykluczone, że kogoś znam.

Rafiq popatrzył na nią z zainteresowaniem.

- Ta kobieta nie mieszka w Mathari, ale też w slumsach. Może zgodzi się z tobą porozmawiać. Płacisz za takie wywiady?

- W niektórych wypadkach tak. Zwykle nie temu, komu trzeba. Gazeta płaci ministrom za wywiady, a im te pieniądze są najmniej potrzebne.

- Ile? - zapytała Margaret. - Chodzi o tę kobietę. Chwilę się zastanawiał.

- Może pięćset szylingów. Jesteś pewna, że to się uda? Trochę ponad sześćdziesiąt dolarów, obliczyła Margaret.

Niewykluczone, że kobieta uzna, iż się jej to opłaci.

- Nie wiem, czy z tobą porozmawia, ale jestem pewna, że jeśli się zgodzi, historia będzie ciekawa.

- Jestem zaintrygowany - powiedział Rafiq. - Na kiedy możesz to załatwić?

- Sprawa pewnie zajmie kilka dni.

W podnieceniu przyspieszyli kroku.

- Chcę różę - oznajmiła nagle Margaret. - Przecież dla szkoły jedna skradziona róża z pewnością nie będzie stanowiła różnicy, jak myślisz?

- Kenijskie róże mają najprostsze łodygi w świecie, wiedziałaś o tym?

-Nie.

- To wpływ równika i wysokości. Dobre warunki uprawy i świecące prosto słońce.

Otwarty zniecka scyzoryk przestraszył Margaret. Rafiq ściał i podał jej wysoką cytrynowożółtą różę z licznymi płatkami. Podziękowała mu.

- Niezły masz ten nóż.

- Nigdzie się bez niego nie ruszam.

Kiedy dojechali do redakcji, uświadomiła sobie, że nie ma ochoty wysiadać z samochodu.

Margaret weszła do sklepu na Kimathi Street, by kupić plan Nairobi i okolic. Miała podobny w domu, ale nie chciała marnować czasu na jazdę. Przy szybkim lunchu studiowała topografię miasta. Bez trudu odnalazła okolicę, w której mieszkała Adhiambo, ale nawet mając dość szczegółowy plan, nie potrafiła ustalić jej dokładnego adresu. Potem przypomniała sobie, że przecież Adhiambo nie mieszka przy ulicy, tylko przy niepozornej ścieżce. Pomyślała, że będzie musiała skontaktować się z Jamesem, co też nie było łatwe. Nie wiedziała, co się z nim dzieje, odkąd po wyjeździe Arthura on także opuścił Wielki Dom. Uznała jednak, że dawny dom Diany i Arthura to najlepszy punkt wyjścia.

Gdy skręciła na ulicę w Langacie, ogarnęła ją fala nostalgii. Nie była tutaj od wyprawki. Senne piękno i oszałamiający aromat wydały jej się tak znajome, że miała wrażenie, jakby wracała do prawdziwego domu. Przed oczyma przesuwały jej się obrazy: niewielki stół przykryty zielonożółtą khangą, salon w Wielkim Domu, James w progu kuchni, czekający cierpliwie na koniec posiłku, Adhiambo z twarzą zasłoniętą ścierką przed domkiem dla gości, zdenerwowana Diana, która jak najszybciej chciała ją zostawić z Margaret i Patrickiem.

Margaret wiedziała, że Wielki Dom należy teraz do Ministerstwa Transportu. Nigdy osobiście nie poznała żadnego ministra, choć wytworzyła sobie niesprawiedliwy stereotyp: otyły, arogancki i potężny. Zahamowała przy bramie i przyjrzała się uważnie strażnikowi, który do niej podszedł. Nie miała pewności, ale warto było spróbować.

Otworzyła okno. *Askari* w długim płaszczu nachylił się i zapytał o nazwisko. Jego postawa była poważna, wręcz złowroga.

- Nie pamiętasz mnie? - zapytała.

Na początku odebrał to jako żart i już otworzył usta, by ją ostrzec, potem jednak przekrzywił głowę, przypatrzył się jej ze wszystkich stron i potaknął.

- Pani mieszkać w domku.

- Już nie - odparła z uśmiechem - ale kiedyś tak. Wydaje mi się, że tu pracowałeś, zanim się wyprowadziłam.

- Tak, tak. Przychodzę tu z Jamesem.

-Prawdę mówiąc, próbuję skontaktować się z Jamesem. -Margaret poczuła zażenowanie, że nie zna jego nazwiska.

-On tu nie pracować dłużej - powiedział *askari* łagodniejszym tonem. Margaret była pewna, że jest Masajem.

- Wiem, ale może ty się orientujesz, gdzie on mieszka.

-On teraz pracować dla Niemców.

-Co takiego?

-Jest kucharz dla Niemców - powiedział *askari*, jakby inna możliwość nie wchodziła w grę. Margaret przypuszczała, że Masaj tak samo myśli o sobie: będzie *askari* aż do śmierci, oczekiwanie wcale niewygórowane. Z tą funkcją łączył się niejaki prestiż, to był żołnierz strzegący domu, gotowy do walki.

- Możesz mi podać nazwisko ludzi, u których pracuje? -zapytała Margaret. - Mogłabym go poszukać.

- Myślę.

-*Askari* stał w absolutnym bezruchu, z zamkniętymi oczami. Zgiął nogę i oparł ją na kolanie drugiej. Pozostawał w tej pozycji przez tak długi czas, że Margaret uznała, iż wpadł w rodzaj transu.

- Musi pani zapytać Isaaca, który rano idzie na *duka* -oznajmił w końcu. - Zna pani Isaaca?

Margaret pokręciła głową.

- Niech pani idzie na *duka* i pyta o Isaaca. To kuzyn Jamesa.

Margaret wyjęła z portfela dwadzieścia szylingów i wręczyła je strażnikowi.

-*Asante sana* - powiedział, pochylając głowę.

Sklep na *duka*, w którym Margaret tyle razy była, znajdował się niedaleko. Przygotowała się na odór mięsa, ale kiedy weszła do środka, poczuła, że widok znajomych produktów na półkach dodaje jej otuchy. Podeszła do lady i zapytała Jume, którego dobrze знаła, czy może jej powiedzieć, gdzie znajdzie człowieka imieniem Isaac.

- Miss Margaret, nie przywita się pani ze mną? Minęło wiele czasu, odkąd pani tu być.

- Och, tak mi przykro - przeprosiła go serdecznie. Gdzie się podziały jej kenijskie maniery? - Jak się miewasz, Jurno? Co u twojej rodziny?

- Wszyscy czujemy się dobrze. A pani?

- Przeprowadziłam się do Karen.

- Tak, wiem. Tak mi przykro, bardzo przykro z powodu miss Diany. Taka tragedia. Była Angielką, ale bardzo hojną.

Ciekawe, co to znaczy?, pomyślała Margaret. Czy powinna była za każdym razem dawać Jurnie napiwek?

- W jakim sensie Diana była hojna? - zapytała.

- Zawsze dawała nam ubrania. Dla mojej żony. Wiele ubrań. Dla dzieci też.

Margaret zaskoczył taki obraz hojnej Diany.

- Isaaca już nie ma - powiedział Juma - ale będzie rano.

- O której?

- Zawsze o wpół do siódmej. Kupuje mięso.

- Tak, dziękuję ci. - Nie dała mu napiwku, ale zrobiła zapasy. Nie sprawdziła, co Moses zgodnie z instrukcjami Patricka kupił, ale wybrała produkty, które wydały jej się atrakcyjne: ananas, kawę atoma, dwie butelki tusker-a i tubkę pasty colgate, choć wcale jej nie potrzebowała; podejrzewała, że chciała w ten sposób uczcić Arthura.

- Będę tu rano - rzuciła na pożegnanie.

- A ja zawsze tu jestem - odparł Juma.

Rano Margaret spotkała się z Isaakiem, który powiedział jej, że u Jamesa wszystko w porządku i że lubi nową pracę, głównie dlatego że dodatkiem do niej był domek. James zastanawiał się nad sprowadzeniem rodziny z Kitale, ale niemieckiemu małżeństwu (Isaac nie znał ich nazwiska) ten pomysł bardzo się nie podobał. Isaac wiedział jednak, gdzie James mieszka - nie potrafił podać ulicy ani numeru domu, wyliczył za to charakterystyczne punkty, dzięki którym się orientował, idąc z przystanku autobusowego. Wyjaśnił, o który przystanek chodzi, po czym wymienił zepsutą latarnię, ogród z białymi różami, kilka ostrych zakrętów i za nimi sześć domów. Margaret zastanawiała się, jak znajdzie zepsutą latarnię, jadąc samocho-

dem, ale Isaac zapewnił, że nie można jej przegapić. Latarnia jest wysoka i ma rozbite szkło.

Pojechała do Lavington, przedmieścia całkiem podobnego do Langaty, gdzie od dziesięcioleci osiedlali się obcokrajowcy. Ponieważ przedmieście usytuowane było bliżej Nairobi, ogrodzenia otaczające domy bardziej rzucały się w oczy, były też wyższe i solidniejsze. Margaret zauważyła, że w niektórych posesjach za bramą zewnętrzną znajduje się druga. Plutony *askari* strzegły tych fortec. Wchodzenie i wychodzenie odbywało się bez przeszkód, ale odnosiło się wrażenie, że cała dzielnica pozostaje w stanie oblężenia. Czy mieszkańcy nocami leżą bezsennie i nasłuchują dziwnych odgłosów?

Margaret znalazła zepsutą latarnię. Jechała dalej, wypatrując ogrodu z białymi różami, za którym zaczynały się zakręty. Pokonawszy je, odliczyła sześć domów. Przy następnym zatrzymała się i poczekała, aż podejdzie do niej *askari*.

-Chce się pani zobaczyć z *memsahib*

-Nie - odparła. - Chciałam zamienić kilka słów z Jamesem, kucharzem. Znasz Jamesa? Pracuje tutaj?

Postawa strażnika uległa zmianie. Co innego wizyta u pani domu, a co innego wizyta u służącego. Mężczyzna stał, zastanawiając się nad sytuacją. Niewykluczone, że po raz pierwszy biała kobieta w samochodzie przyjechała do Jamesa.

- Najpierw musi pani zobaczyć się z *memsahib* - zawyrokował wreszcie. - Zapytać o pozwolenie. James to jej chłopiec.

Margaret ogarnęła przelotna konsternacja, zaraz jednak pojęła. W oczach strażnika James był własnością tej kobiety. Margaret wyjęła dziesięć szylingów.

- Muszę porozmawiać z Jamesem - powiedziała. - Nie ma potrzeby zawracać głowę *memsahib*.

Każdy *askari* rozumiał język banknotów.

- Muszę poczekać na zastępcę - oznajmił.

- Popilnuję bramy, kiedy ciebie nie będzie. Po prostu zamknij ją na klucz, a ja powiem tym, którzy przyjdą, że zaraz wracasz.

Askari pokiwał głową. Margaret miała tylko nadzieję, że nie będzie to właścicielka, która zechce wejść do własnego domu.

Obserwowała dwa psy bawiące się na ulicy i zastanawiała się, czy to one są *MEWA KALI* z ostrzegawczych tabliczek na bramach, bo wydawały się dość nieszkodliwe, kiedy ktoś zapukał w okno samochodu.

- James - powiedziała, wysiadając.

- Jak się pani miewa, miss Margaret?

Jego twarz rozjaśniła się szerokim uśmiechem. Pragnęła go objąć, ale taki powitalny gest tylko wprowadziłby go w zakłopotanie.

Miewam się dobrze - odrzekła. - Brakuje nam ciebie, mnie i Patrickowi. Jak ci się podoba u nowych pracodawców?

- Mają bardzo wiele przyjąć - powiedział, dodając bezgłośnie „Uff”. - Ale mam mały dom i jestem bardzo zadowolony.

- A jak twoje zdrowie, dobre?

- O tak - odparł krótko. - Zawsze dobre.

- A co u Adhiambo?

- Lepiej. Lepiej.

Zgodnie z afrykańską etykietą ta wymiana grzeczności powinna trwać kwadrans, nawet pół godziny, ale Margaret wiedziała, że Jamesa odwołano od pracy i w każdej chwili może być potrzebny. Może on też się bał, że zaraz zobaczy samochód pani domu.

- Cóż, przyszedłam porozmawiać z tobą o Adhiambo. James źle ją zrozumiał.

- Ma dorywcze prace, ale nie pracę u rodziny, którą musi mieć. Chodzę co tydzień i sprawdzam jej drzwi.

- Jesteś dobrym przyjacielem. - Margaret się uśmiechnęła.

- Jej kuzyni w Kericho nie są tacy dobrzy. Przyszli tamtej nocy, ale nie żeby znaleźć ludzi, którzy zrobili Adhiambo krzywdę, i ukarać ich. Zamiast tego znaleźli jej zawiniątko z monetami pod łóżkiem i ukradli je.

- O Boże - westchnęła Margaret.

- To wielki pech mieć takich kuzynów. - James pokręcił głową.

- Posłuchaj, James. Właściwie dlatego tu jestem. Znam kogoś, kto chce napisać artykuł do gazety o tym, jak ciężko żyje się kobietom - i mężczyznom - w takim miejscu, w jakim mieszka Adhiambo.

- Slums - powiedział James.

- No właśnie. Gazeta zapłaci jej pięćset szylingów za to tylko, że zgodzi się porozmawiać.

James przekrzywił głowę, pieniądze okazały się ważnym argumentem.

- Nie używa własnego imienia? - zapytał, myśląc o konsekwencjach.

- Tego nie wiem na pewno, ale zapytam, czy może podać inne imię. Musi jednak powiedzieć prawdę. To bardzo ważne, powtórz jej to.

- O tak. Adhiambo zawsze mówi prawdę.

- Dziennikarz jest Azjata. Ja będę robiła zdjęcia. Dziennikarz to bardzo miły mężczyzna. Mogę za niego ręczyć.

James ściągnął usta. Długo milczał. Margaret zastanawiała się, co może przeszkodzić dobiciu targu: „Azjata” czy „zdjęcia”?

- Porozmawiasz z nią? - zapytała wreszcie.

- Porozmawiam z nią dzisiaj wieczorem. - Urwał, po czym zapytał: - Ale jak przekażę pani jej odpowiedź?

- Mam telefon... - zaczęła Margaret, James jednak pokręcił głową. Przez chwilę się namyślała. - Jutro będę dokładnie w tym samym miejscu o tej samej porze - zaproponowała. - Wyjdiesz na chwilę i mi powiesz. Potrzebna mi będzie pora i miejsce rozmowy, a także wskazówki. - Zdawała sobie sprawę, że sama nie będzie w stanie znaleźć chaty Adhiambo.

- Nie, tu niedobrze czekać. - James wskazał na koniec ostrych zakrętów. - Widzi pani ten wysoki dom?

Potaknęła.

- Niech pani tam czeka. Ludzi w domu nie ma. I niech pani nie będzie za wcześnie.

Margaret wybuchnęła śmiechem.

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek kiedykolwiek tak do mnie powiedział.

- Muszę iść - powiedział. - Liczę na szczęście.

- James! - zawołała, gdy ruszył biegiem przez długi podjazd. - Jak brzmi twoje nazwisko?

Uśmiechnął się szeroko.

- Ogollo - odkrzyknął.

Margaret wsiadła do peugeota i zawróciła. Będzie musiała przekonać Rafiq, żeby nie używał prawdziwego imienia Adhiambo i wręczył jej całe pięćset szylingów.

Następnego dnia Margaret o umówionej porze podjechała pod wysoki budynek. James musiał wypatrywać jej z bramy, ponieważ od razu szybko podszedł. Otworzyła okno. James miał na sobie ręcznie robiony sweter z krótkimi rękawami, bawełniane spodnie i wypolerowane na wysoki połysk buty.

- Zrobi to jutro - powiedział pospiesznie. - Rano jestem wolny, zabiorę was tam. Musicie przyjechać tu o dziewiątej.

- Dziękuję, James. - Margaret przez okno uścisnęła mu rękę.

- Muszę to mówić. Jeśli będzie jej prawdziwe nazwisko albo jeśli nie macie szylingów, nie będzie z wami rozmawiać.

- Twoje warunki zostaną spełnione - odparła Margaret. Postanowiła, że jeśli Rafiq nie będzie w stanie wydebić pieniędzy z redakcji, ona założy tę sumę. Wzbudziła oczekiwania i musi dotrzymać słowa.

W każdym razie cieszyła się, że znowu zobaczy Adhiambo.

- Lily, wiesz, gdzie jest Rafiq? - zapytała. Uwagi Lily nic nie umykało; teraz przez zmrużone powieki przyglądała się Margaret. - Chodzi o artykuł.

- Jasne, jasne. - Lily sprawdziła w księdze wyjść. - Był tu, ale poszedł zrobić wywiad ze starym *mzee*, panem Kamante, który był służącym Karen Blixen. Spotykają się... w kawiarni koło teatru.

- Kamante, kucharz Karen Blixen? Chłopiec z raną w nodze?

Lily zachichotała. : - Tak, ten mały chłopiec.

- Jak dawno Rafiq wyszedł? Lily spojrzała na zegarek.

- Myślę... hmm... dwanaście minut temu.

Margaret wiedziała, gdzie jest teatr, ponieważ z Patrickiem i przyjaciółmi byli tam na „Pojedyńku”. Pędem pobiegła do samochodu. Kto wie, dokąd Rafiq pójdzie po tym spotkaniu?

Mogłaby pieszo dojść do teatru, ale samochodem zyskiwała jakieś trzy minuty. Kiedy przekroczyła próg małej indyjskiej kawiarni, Rafiq spojrział na nią ze zdumieniem. Na stole pomiędzy nim a *mzee* stała taca z herbatą. Margaret podeszła do stolika.

- Cześć, Rafiq. Przepraszam, że ci przeszkadzam. Rafiq wstał, starzec nie.

- Margaret, to jest Kamante, człowiek bardzo szanowany i sławny.

Uścisnęła starcowi dłoń.

- Czytałam o panu. Jestem zaszczycona, że mogę pana poznać.

W głowie jej się nie mieściło, że ma przed sobą mężczyznę, który niegdyś był szczupłym, kulejącym chłopcem z plemienia Kikuju, i został uwieczniony w „Pożegnaniu z Afryką”. Teraz miał siwe włosy i więcej kilogramów na sobie. Ubrany był w pomarańczowy podkoszulek i bawełnianą koszulę z krótkimi rękawami.

Margaret odwróciła się do Rafiq.

- Nie powinnam była ci przeszkadzać, przepraszam. Mogę poczekać i przyjść później.

- Ta rozmowa trochę potrwa. Proszę mi wybaczyć - powiedział do Kamante. - Zaraz wracam.

Ruszyli z Margaret do drzwi.

- Udało mi się znaleźć człowieka, który skontaktował się z tą kobietą - zaczęła szybko tłumaczyć. - Umówił nas na spotkanie. W sobotę o dziewiątej jedziemy do Lavington, on nas tam zaprowadzi. Rafiq, nie ustaliłam tego z tobą, ale obiecałam, że kobieta będzie mogła podać fałszywe imię. Boi się zemsty, to zrozumiałe. I musisz mieć pięćset szylingów.

Rafiq gwizdnął.

- Wygórowane warunki. Redakcja nie lubi, kiedy używa się pseudonimów, choć czasami to konieczne. Problem polega na tym, co powie Solomon, choć postaram się go przekonać. Zadzwoń do ciebie, kiedy będę wiedział. - Z kieszeni wyjął notatnik i długopis. Margaret podała mu numer telefonu wKaren.

- Nie chcę ci zabierać czasu, prowadzisz wywiad. Daj mi znać, dobrze?

- Dam. Dziękuję. Wyświadczasz mi wielką przysługę.

- Sobie też - odparła.

Wsiadając do peugeota, uświadomiła sobie, że przez cały poranek ani razu nie pomyślała o Patricku.

Kiedy wieczorem zadzwonił telefon, Margaret pomyślała, że to pewnie Patrick, który dzwonił co drugi dzień. Od jego wyjazdu rozkład dnia w domu uległ zmianie. Kiedy jadła sama, nigdy nie prosiła Mosesa o trzydaniowe posiłki. W najlepszym razie była to sama sałatka, sałatka i zupa albo guacamole z selerem naciowym. Moses, który uważał, że kobieta powinna mieć kilka dodatkowych kilogramów na sobie, martwił się jej dietą i próbował podkarmić Margaret (z sukcesem) ciastami na śniadanie i podwieczorek.

Ale to nie głos męża usłyszała w słuchawce.

- Dostałem zgodę na anonimowość i pięćset szylingów - powiedział Rafiq. - To nie było łatwe. Przy następnych wywiadach mam używać prawdziwych nazwisk, więc nie składaj takiej oferty nikomu więcej.

Margaret poczuła się lekko skarcona, nie zdażyła jednak się rozgniewać, ponieważ Rafiq ciągnął dalej:

- Obaj byliśmy zaskoczeni tempem, w jakim to załatwiłaś. Solomon powiedział, że powinienem zatrudnić cię jako asystentkę, ale zmienił zdanie, kiedy zauważyłem, że w takim wypadku przestałabyś robić dla niego zdjęcia. Więc jesteśmy umówieni na sobotę rano.

Wyczerpali temat, ale Margaret wyczuwała, że Rafiq nie ma ochoty odkładać słuchawki. Ona też tego nie chciała.

- Jak ci idzie z artykułem o edukacji? - zapytała.

- Dobrze. Liczę, że po tym wywiadzie będę mógł dodać inny punkt widzenia. Chcę sprawdzić, czy dzieci ze slumsów otrzymują jakiegokolwiek wykształcenie.

- To może być trudne. Kiedy poszłam do domu Adhiambo, o ile można to nazwać domem, przeżyłam wstrząs.

- Tak ma na imię?

- Tak.

- Uwierz mi, takie widoki nie są mi obce.

Telefon znajdował się na wysokim stoliku w holu i w pobliżu na długość kabla nie było żadnego krzesła. Margaret pomyślała, że chodziło pewnie o to, by skracać rozmowy do minimum, przez co mniej kosztowały. Miała straszną ochotę usiąść.

- A twój mąż? Co u niego?

- Wyjechał.

- Wiem, mówiłaś.

- Myślałam, że to on dzwoni.

- Przykro mi, że cię rozczarowałem.

- Wcale mnie nie rozczarowałeś. Gdyby to był Patrick, opowiadałby mi o lekarzach, których poznał, albo o pacjentach w przychodni, przez cały czas starając się nie wspomnieć o cudownej plaży za oknem i barze przy basenie hotelowym.

- Jesteś zazdrosna - powiedział Rafiq.

- Może trochę. Ale wiesz, zazdrość oznaczałaby, że nie lubię swojej pracy, a to nieprawda. Choć nie ukrywam, że wakacje by mi się przydały.

- Tak szybko?

- Jestem tutaj od dziewięciu miesięcy, niektóre były naprawdę trudne. - Margaret nic więcej nie dodała.

Rafiq milczał.

- Muszę kończyć - rzuciła.

- Tak, oczywiście. Czyim samochodem jedziemy?

- Chyba moim będzie lepiej - uznała. - James poczuje się pewniej, a poza tym jestem przekonana, że twój citroen byłby o wiele mniej wygodny.

Roześmiał się.

- Przyjedziesz po mnie? Albo nie, będę czekał przed redakcją,

- Dobrze.

Musieli jeszcze ustalić, o której powinni się spotkać, jeśli o dziewiątej mają być na ulicy Jamesa.

- Dobranoc - powiedział Rafiq.

- Do zobaczenia jutro - odparła Margaret.

Odłożywszy słuchawkę, zdążyła zrobić kilka kroków, kiedy telefon znowu zadzwonił.

- Z kim rozmawiałaś? - zapytał Patrick. - Od pół godziny próbuję się dozwonić.

Margaret szła za Jamesem i przed Rafikiem, tego dnia ubranym w garnitur. Chociaż w samochodzie Rafiq rozmawiał z Jamesem, gdy wysiedli, umilkł. Idąc, robił notatki.

Margaret włożyła aparat do słomianego koszyka, z jakim kobiety chodzą na targ. Nie chciała ogłaszać światu swoich zamiarów.

James wszedł do chaty Adhiambo, a oni czekali na ścieżce. Margaret zauważyła, że drewniane okno zastąpiła płócienna roleta. Boże wielki, jak można czuć się tu bezpiecznie?

Stali w milczeniu, usiłując nie zwracać na siebie uwagi. Margaret w myślach odliczała sekundy; wreszcie James wrócił.

- Teraz się zobaczy z wami, ale najpierw muszę jej dać pieniądze. I musicie powiedzieć, jak ją nazwiecie. W artykule.

- Teresa - odparł Rafiq bez wahania, jakby miał z góry przygotowaną tę propozycję. Z kieszeni na piersi wyjął banknoty.

James pokiwał głową i zniknął w chacie.

- To afrykańskie imię? - szepnęła Margaret.

- Tak samo afrykańskie jak James.

James otworzył drzwi. W środku panował mrok, rozpraszany tylko światłem przesączającym się przez płócienną roletę, i Margaret nie mogła dostrzec twarzy Adhiambo. Kiedy wreszcie ją zobaczyła, podeszła do niej.

- Jak się miewasz? Adhiambo kiwnęła głową.

- Jesteś zadowolona? - Margaret zauważyła, że pieniądze już schowano.

Miała nadzieję, że nie zostały ukryte pod materacem.

Młoda kobieta ponownie potaknęła. Miała na sobie prostą bezkształtną suknię i kolorowy szal na głowie.

Wysprzątała chatę na to spotkanie. Łóżko przykryła wyglądającą na dość nową kołdrę. Pożyczyła trzy krzesła i ustawiła wokół stołu. Obok na ścianie wisiała tkanina, której Margaret wcześniej nie widziała.

-Dziękujemy, że się zgodziłaś - powiedziała Margaret. -To jest Rafiq Hameed, będzie zadawał ci pytania.

Rafiq wyciągnął do Adhiambo dłoń, którą ta uściśnęła. Nawet ten drobny gest zdawał się czymś w rodzaju zwycięstwa.

-Mam siedzieć tu czy czekać na dworze? - zapytał James.

-Nie, nie - odparł Rafiq. - Wszyscy usiadziemy i potraktujemy to jako rozmowę. James, nie krępuj się, jeśli będziesz chciał coś dodać.

Adhiambo przyglądała się reporterowi, jakby próbowała odgadnąć, czy może mu zaufać. James także przekrzywił głowę. Margaret czuła zapach dymu i pieczonego mięsa, zapewne dochodzący z sąsiedniej chaty. Rozejrzała się, by sprawdzić, czy Adhiambo kupiła nową szklankę. Zrobiła to.

James nieoczekiwanie się uśmiechnął.

-Adhiambo to robi. - Wskazał na tkaninę wiszącą na ścianie. Margaret przyjrzała się jej, ale w mroku widziała tylko wzór jak na batikach, a także czarne i mosiężne paciorki.

-Bardzo ładne - powiedziała. - Kiedy skończymy, mogłabym wynieść je na dwór i dobrze obejrzeć?

-Spodobają się pani - odparł James.

-Na imię masz Teresa... - zaczął Rafiq.

Margaret zdecydowała, że w trakcie wywiadu nie będzie robiła zdjęć, na razie zastanawiała się nad skadrowaniem ujęć. W chacie było wprawdzie za ciemno, ale liczyła, że uda jej się przekonać Adhiambo, żeby stanęła w progu, albo też sfotografuje jej twarz przez okno.

Dowiedziała się, że Adhiambo ma dwadzieścia cztery lata i przyjechała do Nairobi zarabiać na chesne dla trójki dzieci, pozostawionych u jej matki w Kericho. Miała dobrą pracę, dostawała miesięcznie trzysta sześćdziesiąt szylingów, ale rodzina, u której pracowała, wyjechała. Z tych trzystu sześćdziesięciu szylingów posyłała matce sto sześćdziesiąt, dziewięćdziesiąt natomiast płaciła' za pokój bez prądu i kanalizacji. Osobno musiała płacić za wodę z pompy do mycia i gotowania. Odżywiała się prosto, kukurydzą i warzywami. Tylko raz nawiązała do gwałtu; powiedziała, że nocami się bo-

i, bo pijani mężczyźni z pobliskich barów próbowali wyłamać jej drzwi. Niedługo potem stwierdziła:

- Jestem całkiem dobra. Nie mam pecha.

Margaret była przekonana, że te słowa znajdują się w artykule Rafiq'a.

Godzina zmieniła się w dwie, a potem w trzy. Adhiambo ugotowała wodę i podała herbatę. Margaret wyjęła z koszyka paczkę herbatników, które wzięła, żeby zagryźć głód, gdyby spotkanie się przeciągnęło. Przez kilka minut zapomniała, gdzie jest. Taka ożywiona rozmowa mogła się toczyć na podwieczorku w domu któregoś z przyjaciół. Rafiq zwracał się do Adhiambo per „Teresa” i Margaret miała ochotę też tak ją nazywać. Kobieta wydawała się szczęśliwsza jako Teresa niż jako Adhiambo. Może wyrzucenie z siebie problemów albo poświęcona jej uwaga sprawiły, że poczuła się lepiej.

James także opowiedział im o sobie. Przez trzynaście lat spędzonych w Nairobi miał się różnych zajęć, począwszy od zmywacza w hotelu, na gitarzyście w zespole skończywszy. Zona z czworgiem dzieci uprawiają dwupółhektarową *shamba* w Kitale; ze względu na pracę przyjeżdżają do niego tylko raz w roku na tydzień; fakt Margaret dobrze znany, ale wciąż wprawiający ją w osłupienie.

Po skończonym wywiadzie Margaret zapytała Adhiambo, czy może zrobić jej zdjęcia.

- Ale nie może pani pokazać mojej twarzy - zastrzegła się tamta.

Margaret zastanawiała się chwilę.

- Mogę cię sfotografować przy jakimś zajęciu w taki sposób, że twarzy nie będzie widać.

Adhiambo uśmiechnęła się. Dolne zęby miała krzywe, pomiędzy górnymi widniała szpara, ale kiedy się uśmiechała, była piękna.

Grupka pięcio-, sześcioletnich dzieci otoczyła Jamesa, który przykucnął, żeby opowiedzieć im jakąś historię. Niektóre z nich trzymały w objęciach niemowlęta. Margaret zapytała go, czy może zrobić zdjęcia. James zgodził się i uprzedził dzieci, a Margaret nastawiła obiektyw. Chociaż minutę wcześniej malcy śmiali się do rozpuku, w mgnieniu oka spoważniali, kiedy Margaret wycelowała aparat w ich stronę. Fotografując, zauważyła, że Ra-

fiq gryzmoli coś w notatniku. Ostrożnie, Rafiq, pomyślała. Kiedy obok przeszedł dorosły, opuściła aparat i udawała, że rozmawia z Jamesem. Poprosiła Adhiambo, żeby wyniosła na dwór swoje prace, bo chciała dokładnie je obejrzeć. Adhiambo rozłożyła tkaniny na krzewach przed domem. W pełnym świetle wyglądały zupełnie inaczej.

- Naszyłaś koraliki? - zapytała Margaret.

Kobieta potwierdziła.

-1 kupiłaś materiał?

- Nie, nie. - Zamachała rękoma. - Sama robię materiał. Margaret była pod wrażeniem. Teraz widziała, że to nie

batik, tylko ręcznie malowana tkanina. Zamaszystymi, acz dobrze zaplanowanymi pociągnięciami Adhiambo namalowała kobiety przy kuchni i dzieci opiekujące się młodszym rodzeństwem. Na pierwszy rzut oka malowidła wydawały się abstrakcyjne, a rozmieszczenie czarnych i mosiężnych koralików dodatkowo dezorientowało widza. Wszystko to sprawiało, że odkrycie postaci wywoływało tym silniejszy dreszcz zaskoczenia.

- Nauczyłaś się tego? - zapytała.

- Sama to wymyślam.

- Są niezwykle.

Margaret sfotografowała jej dzieła, a później Adhiambo z większym z nich. Na zdjęciach głowę miała odwróconą, można było dostrzec tylko profil.

Margaret nie chciała, żeby Adhiambo zaniósła już kilimy do chaty.

- Poczekaj - powiedziała. Młoda kobieta przystanęła.

- Chciałabym kupić jeden, jeśli można.

Adhiambo zdumiała się i pytająco spojrzała na Jamesa. Uśmiechnął się szeroko.

- Sprzedaje je za sto szylingów za sztukę - powiedział. Dwanaście dolarów. Prawdziwa okazja. Margaret wyjęła z koszyka portfel. Wzięła ze sobą pięćset szylingów, na wypadek gdyby Rafiqowi nie udało się wydostać pieniędzy z redakcji. Gdyby tylko Adhiambo miała przed chatą miejsce na wyeksponowanie swoich rękodzieł, żeby ludzie mogli je podziwiać. James nachylił się i powiedział:

-Musimy już iść.

- Mówiłś Rafiqowi?

-Tak.

Pożegnali się wylewnie z Adhiambo. Margaret żałowała, że wychodząc z domu, nie poprosiła Mosesa o kawałek pieczeni. Skłonili się i ruszyli ścieżką.

-*Askari*, którzy tu mieszkają, niedługo wrócą - powiedział James. - Nie podoba im się wasza obecność.

Szli gęsiego, Rafiq, Margaret i James. Rafiq zdjął marynarkę, mokra od potu koszula lepiła mu się do pleców. Przez co najmniej godzinę stali w rozżarzonem słońcu, kiedy James opowiadał dzieciom historie, a Margaret robiła zdjęcia. W tym czasie Rafiq rozmawiał z sąsiadem, który najpierw poszedł z nim do pompy, skąd Adhiambo czerpała wodę, potem zaś pokazał, gdzie są latryny. Zbliżała się trzecia; James przypomniawszy im, że to pora, kiedy dzienna zmiana *askari* wraca do domu, a nocna idzie do pracy.

- Czas pracy nie jest taki zły - stwierdziła Margaret. - Jak pracują, od ósmej do trzeciej? Osiem godzin?

- Nie, nie. Są tylko dwie zmiany - wyjaśnił James. - *Askari* pracują przez dwanaście godzin.

Margaret najpierw odwiozła Jamesa, ponieważ musiał przygotować wieczorny posiłek, a potem pojechali do redakcji, gdzie Rafiq zostawił swój samochód.

- To było straszne - powiedział, kiedy zostali sami. - Upiorne. Aż do tej chwili Margaret nie widziała, by kiedykolwiek

okazywał emocje. Nawet opowiadając o wygnaniu z Ugandy, był spokojny.

- Nigdy wcześniej nie zetknąłeś się z takimi warunkami?

- Owszem, ale z daleka. Nigdy w tak... intymny sposób.

- Skoro tak czujesz, napiszesz dobry artykuł.

- Chcę jak najszybciej wziąć się do niego. Chociaż trochę pracy zajmie mi pokazanie tego miejsca tak, żeby dla czytelnika było równie realne jak dla mnie.

- Gazetę czytują też ludzie, którzy w takich warunkach mieszkają - powiedziała Margaret. - Zanim James znalazł pracę kucharza, przez osiem lat chodził do szkoły i dobrze poznał angielski. Często widywałam go z gazetą, kiedy mieszkałam w tej samej posiadłości co on.

- Gdzie to było?

- W Langacie.

- Naprawdę? - zapytał Rafiq ze zdziwieniem.

- To długa historia. Mieszkaliśmy w domku dla gości przy Wielkim Domu, jak go nazywaliśmy. Często zapraszano nas tam na kolację. Potem doszło do incydentu, w czasie którego lepiej poznaliśmy się z Jamesem.

- Jakiego incydentu?

Margaret żałowała, że zaczęła rozmawiać o Jamesie. - Nie możesz o tym napisać, chociaż na pewno byś chciał.

- Zaintrygowałaś mnie.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

- Adhiambo została zgwałcona przez dwóch mężczyzn i przyprawiono ją do nas na noc. Rano przyszedł James i pojechaliśmy z nią do jej chaty. Była też pobita i bardzo przerażona.

Rafiq wolno pokiwał głową.

- Dała mi do myślenia ta jej wzmianka o mężczyznach próbujących się włamać...

- Nawet gdybyś ją zapytał, nigdy by ci o tym nie opowiedziała.

Przez resztę drogi do miasta Rafiq siedział milczący. Ciekawe, czy rozważał plan artykułu, czy myślał o Adhiambo i gwałcie.

- Nie wiem, jak ci dziękować - powiedział, przelotnie przykrywając dłoń Margaret swoją. Skórę miał gorącą. - Jestem ci winien wdzięczność

- Mam dłużnika - odparła. - To zupełnie nowe uczucie.

W następny piątek poleciała do Lamu. Patrick zostawił jej szczegółowe instrukcje: pojedzie samochodem na lotnisko Wilsona, odbierze bilety w kasie i dowie się, do którego samolotu ma wsiąść. Po wylądowaniu w Man-

dzie zaprowadzą ją do portu, gdzie *dhow*, łodzią, popłynie do Lamu. Po krótkim rejsie spotka się z Patrickiem na przystani.

Margaret widywała małe samoloty na pokazach lotniczych albo w telewizji, ale nigdy żadnym nie leciała. Były trzy miejsca dla pasażerów, jedno obok pilota, dwa z tyłu. Nie wiedziała zbyt wiele o samolotach, zauważyła jednak śmigła. Usiadła za pilotem w eleganckim uniformie; miał na sobie szare, dopasowane ubranie, z krótkimi rękawami i kołnierzem w stylu Nehru. Dwójka pozostałych pasażerów, para z Afryki Południowej, mówiła po angielsku z silnym akcentem. Oboje byli mocno opaleni i mieli sztywne blond włosy, jakby często pływali w chlorowanym basenie. Nazywali się Kathleen i Gary Krueger. Zapytali Margaret, dlaczego wybiera się do Lamu, odpowiedziała więc, że jedzie do męża, który od jakiegoś czasu już tam jest. W rewanżu zapytała o cel ich podróży. Dowiedziała się, że otwierają sklep jubilerski i chcieli spotkać się z dwoma rzeźbiarzami, braćmi, którzy robią niezwykle piękne srebrne bransolety.

- Spodoba się pani Lamu - zapewnili. - Wszystkim się podoba. Gdzie się pani zatrzyma?

- W hotelu Petley - odparła Margaret.

- To dobry hotel - stwierdziła Kathleen. - Ale niech pani nie pije wody, także w postaci kostek lodu w drinkach.

- O Boże - jęknął mąż, bez wątpienia wspominając nieprzyjemne zdarzenie.

Pilot włączył silnik, zapaliły się lampki na przyrządach. Rozmawiał z pilotem z samolotu stojącego obok; wyglądało na to, że mieli za nim lecieć do Lamu. Ciekawe, czy w Kenii samoloty zawsze latają parami, pomyślała Margaret. Chodzi o to, żeby od razu powiadomić o miejscu katastrofy?

Gdyby nie była tak przerażona, stwierdziłaby pewnie, że start był podniecający.

Południowoafrykańska para nie przerywała rozmowy, wspominając najważniejsze chwile z wspólnej przeszłości.

- A pamiętasz, kochanie, jak wracaliśmy ciężarówką Drew z Mombasy w porze deszczowej i drogę całkiem rozmyło?

- O mało nie umarliśmy tamtej nocy. Wciąż nie wiem, jak Drew zdołał zatrzymać ciężarówkę.

- Ale spędziliśmy tam całą noc, pamiętasz? Aż zrobiło się dostatecznie jasno, żebyśmy mogli wykombinować, jak uniknąć zwałenia się w przepaść?

- Nigdy tego nie zapomnę.

- Ja też nie.

W ułamku sekundy miasto ustąpiło miejsca nieskończonej równinie. Czy Finch Hatton nie rozbił swojego samolotu w Tsavo, nad którym niedługo polecą? Margaret próbowała myśleć o Patricku, o jego objęciach, o swoim policzku na jego piersiach. Przed wspinaczką na Kenię to by wystarczyło, ale teraz tylko wzbudziło w niej niepokój. Nie miała pojęcia, co zastanie w Lamu. Czy między nimi będzie tak jak dawniej, czy też znowu znajdą się na tej ponurej ziemi niczyjej, na której przebywali od owej nieszczęsnej wyprawy.

Lotnisko w Mandzie było mniejsze niż w Nairobi. Ze wszystkich czterech stron otaczał je gęsty las namorzynowy. Margaret razem z innymi pasażerami poszła wąską ścieżką. Gary zaproponował, że poniesie jej walizkę. W zwykłych okolicznościach odmówiłaby, ale teraz się zgodziła. Kiedy wyszli z lasu, zobaczyli dziesiątki ludzi, którzy cisnęli się do nadpływających *dhow*. Małżeństwo z Afryki Południowej okazało się cennym towarzystwem; oznajmili, że mają dokumenty dyplomatyczne i muszą natychmiast dostać się do trapu. Margaret nie miała wyboru, tylko podążać za mężczyzną niosącym jej bagaż. Przepchnęli się na pomost.

- Zaraz będziemy wsiadać - powiedział mężczyzna, oddając walizkę Margaret.

- Dziękuję panu.

Jedni z pierwszych znaleźli się na pokładzie małej *dhow*. Margaret pomyślała, że powinna mieć wyrzuty sumienia, ale nie miała. Chciała jak najszybciej dotrzeć do Lamu. Przeraziła się nieco, gdy zobaczyła, jak wiele osób wpuszcza kapitan, żyłasty mężczyzna w przepasce na biodrach. Nawet

południowoafrykańskie małżeństwo westchnęło ciężko, kiedy dołączyła do nich kolejna rodzina.

Margaret poczuła lekkie szarpnięcie, a potem łagodnie ruszyli do przodu. Otaczał ją gwar.

- Jezu Chryste, Gary - powiedziała Kathleen. - Jesteśmy prawie na burcie.

- Przynajmniej nikt do nas nie strzela - odparł mąż.

Patrick pomachał i posłał jej całusa. Margaret odpowiedziałaby tym samym, gdyby nie musiała z wysiłkiem zachowywać równowagi na chybliwej *dhow*. Pierwsi przy wejściu okazali się ostatni przy wysiadaniu.

Kiedy wreszcie wyszła na pomost, Patrick mocno ją przytulił. Był w doskonałym humorze i Margaret poczuła, że jej nastrój także się poprawia.

- Tak się cieszę, że cię widzę - powiedziała, kryjąc twarz na jego ramieniu.

Rozłąka rozbiła lodowy zator. Teraz wszystko już będzie dobrze.

Patrick wziął od żony walizkę i ruszyli nabrzeżem.

Co Margaret zauważyła najpierw? Osobę idącą nabrzeżem pod prąd? Kobieta, która jakimś cudem zatrzymała się przed Patrickiem? Zanim nieznajoma przemówiła, ujawniając swój pociągający włoski akcent, Margaret już zauważyła jej niezwykłą urodę i wiedziała, że pod tym względem nigdy nie będzie w stanie jej dorównać. Jakże szybko ta myśl się pojawiła. Smukłe ciało, długa powiewna spódnica na wąskich biodrach, okulary przeciwsłoneczne na gęstych, długich czarnych lokach spiętych wsuwkami, wielkie piwne oczy, zdecydowany podbródek i usta, pewność siebie widoczna w każdym ruchu.

- Eleno, to moja żona Margaret - powiedział Patrick. - Margaret, to jest Elena, okulistka pracująca w naszym zespole.

Elena wyciągnęła rękę ozdobioną złotymi bransoletami. Trzymała w niej cienki czarny szal.

- Będzie ci potrzebny - powiedziała.

Za plecami Eleny Margaret widziała stare miasto pełne niskich białych budynków, między którymi tu i tam wznosiły się okrągłe kopuły meczetów. Nie było tam szos, tylko wąskie brukowane uliczki lepiej nadające się dla pieszych niż pojazdów. Wszystkie prowadziły do centrum. Patrick niósł bagaże, Margaret skromnie zarzuciła na ramiona przezroczysty szal.

- Jaki miałś lot? - zapytała Elena.

- Dobry.

- Nienawidzę latać. Zawsze staram się zasnąć. , - Nad czym pracujecie z Patrickiem?

- Jesteśmy członkami zespołu, wysłano nas tu na badania. Leczymy pacjentów, rozmawiamy o warunkach, w jakich żyją, a potem dyskutujemy między sobą o możliwościach rozwiązania problemów. W teorii chodzi o skierowanie organizacji dobroczynnych w miejsca, gdzie pomoc jest najbardziej potrzebna.

- Gdzie są pozostali? Ile osób liczy wasz zespół?

- Większość prac wykonano w Malindi. Dwoje kolegów przyjeżdża jutro.

- A wy od kiedy jesteście w Lamu?

- Od wczoraj po południu. Dzięki temu mieliśmy dość czasu, żeby odebrać cię z portu.

Margaret szła za mężem po stromych schodach. Mijający ich mężczyźni ubrani byli w białe *kanzu* i *kaffiyeh* na głowach. Spoglądali na Margaret i Elenę, ale się nie odzywali i w żaden sposób nie byli niegrzeczni.

- Gdzie wszyscy mieszkamy? - zapytała Margaret, nie kierując pytania do nikogo w szczególności.

- W hotelu Petley - odparła Elena. - Wy z Patrickiem macie pokój na samej górze, z pięknym widokiem. Ja mieszkam tuż koło holu.

Margaret miała wrażenie, jakby stąpała po cierniach. Po co tak rozmyślnie podkreślać, że ich pokoje są daleko od siebie? Skąd Elena wie, że Patrick ma piękny widok? Czy wspomniałby o tym koleżance z pracy, która nie miała tyle szczęścia co on, kiedy rozdzielano pokoje? A może zaprosił Elenę, żeby popatrzyła na Ocean Indyjski, co między przyjaciółmi nie byłoby niczym nadzwyczajnym? Czy wypiliby szybkiego drinka, wpatrując się w cudowny horyzont nad granatową wodą? I co zdarzyło się potem?

Margaret nie chciała zapuszczać się tak daleko; nigdy dotąd nie było to konieczne. Wszystko, nad czym się zastanawiała, można wyjaśnić. Jest przesadnie podejrzliwa. niesprawiedliwa wobec Eleny, której jedyna zbrodnia polega na tym, że jest taka piękna. Czy gdyby była korpulentną kobietą z nijakimi włosami i pryszczami, takie myśli przyszłyby Margaret do głowy?

Chciała, a jednocześnie nie chciała rozmawiać o tym z Patrickiem. Niezależnie od rezultatu znalazłaby się na przegranej pozycji. Patrick może się szczerze zdziwić, a potem rozgniewać, że Margaret w ogóle zadaje takie pytanie, i Margaret przegra. A może wykorzysta tę chwilę i powie: „Tak, mam romans z Eleną i zaplanowałem ten wyjazd na wybrzeże, mając ją na uwadze”. I wtedy Margaret także przegra. Niewykluczone też, że zastosuje pierwszą taktykę, żeby zamydlić żonie oczy i zamknąć usta, by nie zadawała więcej pytań. W każdym wypadku ona przegra. Przez chwilę była wściekła na Patricka, że postawił ją w takiej sytuacji. Po co ją prosił, żeby przyjechała do niego do Lamu (ryzykując życie, mogłaby dodać) na weekend rzekomo we dwoje, by zaraz na wstępie przedstawić jej inną kobietę? A skoro o tym mowa, dlaczego przez telefon nie uprzedził o obecności Eleny? Przecież nie jest głupi.

W połowie wąskiej uliczki zatrzymali się w kawiarence, przed którą stały kute metalowe krzesła. W środku Margaret dostrzegła niskie drewniane stoły i mnóstwo białych poduch. Cieszyła się, że mogą usiąść w cieniu rzuconym przez budynek z drugiej strony ulicy. Obserwowała sprzedawcę, który stał w progu sklepu obok i rozmawiał ze znajomym. W witrynie wystawiona była ręcznie robiona biżuteria, głównie srebrna: bransolety, naszyjniki, które wyglądały bardziej jak dzieła sztuki niż ozdoby, długie kolczyki.

- Byłaś tam? - zwróciła się do Eleny.

- Nie miałam czasu. Po przyjeździe przeszliśmy się po mieście, ale wszystkie sklepy były zamknięte. Są znowu otwarte po południu, choć odnoszę wrażenie, że człowiek zaczyna się orientować dopiero po kilku dniach. Dlaczego? Podoba ci się ta biżuteria?

- Umiesz się targować? - zapytała Margaret. Amerykanom ta sztuka wychodziła fatalnie, brakowało im wyczucia i cierpliwości. Zdarzało się, że

„negocjacje” przeciągały się do pół godziny, a na koniec obie strony się uśmiechały. Obserwowanie mistrzów zawsze było świetną rozrywką.

- Czasami - odparła Elena.

Kelner podał kawę i cukier w kostkach.

- Podejrzewam, że jesteś odwodniona - stwierdziła Elena. - Patrick, możesz przynieść jej butelkę wody?

W tej prośbie było coś nie tak. Jak to możliwe, że Elena wydaje polecenia Patrickowi?

- Twój mąż jest bardzo miły - powiedziała Elena, gdy Patrick poszedł po wodę. - Niezwykle kompetentny, ale i dobry.

Muezin wzywał na modlitwę. Margaret usiadła wygodnie i zaniknęła oczy, by zalały ją nuty w tonacji mol, które zawsze lubiła. Uniosła powieki, kiedy Patrick wrócił z wodą.

- Dziękuję - szepnęła.

Widziała stopy i kostki dwóch mężczyzn, którzy przedtem rozmawiali przed sklepem. Teraz klęczeli na modlitewnych dywanikach rozłożonych na kamiennej podłodze.

W hotelu poszli do siebie, umawiając się z Eleną na kolację w restauracji na dachu. Margaret najpierw umyła ręce w łazience. Kiedy wyszła, Patrick siedział na łóżku i czekał na nią.

- Myślałam, że spędzimy ten weekend tylko we dwoje - powiedziała.

- Masz na myśli Elenę? Chciała przyjechać wcześniej, by umówić spotkania z ludźmi, którzy prowadzą tu przychodnię. Choć jak ja to widzę, nasz weekend zaczyna się tutaj - odrzekł, klepiąc prześcieradło.

Musiała podejść do męża, już rozpinającego koszulę, nie miała wyboru, ale tych kilka kroków z łazienki do łóżka należało do najtrudniejszych, jakie musiała w życiu zrobić.

Margaret pomyślała, że jeśli kochasz się z mężczyzną, którego kochasz, nie możesz nie odprężyć się w jego ramionach. Słyszała z ulicy głosy rozmawiających mężczyzn, wołania sprzedawców. Jaskrawy błękit w oknie raził ją w oczy. Szczera namiętność Patricka uniemożliwiła stwierdzenie,

czy z Eleną łączy go coś więcej niż znajomość. Margaret nie zamierzała go pytać. Nie była zazdrosna.

Włożyła swoją najlepszą sukienkę, czarną, dopasowaną, odsłaniającą ramiona, a także naszyjnik z mosiądzu, kości słoniowej i czarnych paciorków, który kupiła na Kimathi Street. Przypomniała sobie radę Eleny i narzuciła na ramiona cienki szal.

Kiedy weszli do restauracji, Włoszka już siedziała przy stoliku. Miała na sobie czarną sukienkę bez ramiączek i szal oraz brylantowe kolczyki jako jedyną biżuterię. Czarne kręcone włosy rozpuściła. Była po prostu eleganka.

Patrick i Margaret przeszli przez restaurację, trzymając się za ręce. Przy stoliku Patrick pochylił się i pocałował Elenę w oba policzki. Ponieważ wszyscy goście wyglądali na turystów, Margaret zsunęła szal z ramion. Wilgotne ciepłe powietrze otuliło jej plecy. Obce głosy przy innych stolikach i szczególnie zapach Lamu - aromat morza i kadzidełek, dym z pieców kuchennych, a nawet słaby zapach ścieków - tworzyły wyjątkową mieszankę; była pewna, że nigdy jej nie zapomni. Kiedy Patrick ją objął, Elena nie odrywała od nich wzroku. Margaret wydało się to dziwne. Czy normalna kobieta nie odwróciłaby uprzejmie oczu, nie napiłaby się wina? Może Elena jest samotna.

- Jesteś zamężna? - zapytała Margaret.

- Nie, ale mam chłopaka, który coraz bardziej się na mnie gniewa. Jestem tu za długo, chce, żebym wróciła do domu.

- Powinien być zły na Todda, bo przekonał cię, żebyś została - powiedział Patrick. - Z korzyścią dla niego, w przeciwnym razie do niczego byśmy nie doszli.

- Za to Todd dojdzie wysoko - zauważyła Elena. - Jego badania wydawały mi się dość marne, ale doskonale radzi sobie z motywowaniem ludzi do pracy.

- Domyślam się, że rozmawiacie o koledze - wtrąciła Margaret.

- Przepraszam, skarbie - odparł Patrick i znowu poczuła, jak skóra jej cierpnie. Wcześniej nigdy nie nazywał jej „skarbem”. I dlaczego nie przy-

szedł do portu sam? Dlaczego musiał zabrać Elenę? Nie zdawał sobie sprawy, jak to może zirytować Margaret?

Napiła się schłodzonego białego wina.

Elena rzuciła jej szybkie spojrzenie.

- A jak twoja praca? - zapytała. - Patrick wiele mi o tym opowiadał.

- Doskonale. Dostaję coraz bardziej skomplikowane zlecenia. Teraz moim partnerem jest dziennikarz o wiele sympatyczniejszy od tego, z którym zaczynałam.

- Kto to taki? - zapytał Patrick, przyjmując od kelnera menu.

- Nazywa się Rafiq Hameed. W siedemdziesiątym drugim wyrzucono go z Ugandy razem ze wszystkimi Azjatami. Jest nieźle wykształcony, skończył szkołę w Anglii, potem studiował w Makerere. Ma jakieś dwadzieścia siedem lat. Jeździ citroenem i obija sobie kolana na desce rozdzielczej. Jest wysoki.

Już miała dodać „i przystojny”, ale uznała, że posunęłyby się za daleko.

W tę grę można grać we dwoje.

Po posiłku Elena pożegnała się, życząc im dobrej nocy, a Patrick zaprowadził Margaret do cichego kąta na dachu. Z hotelu Petley inne budynki Lamu wyglądały jak pudła bez wieka, miały dwa, trzy piętra, a wewnątrz ogromne dziedzińce. Margaret zdziwiło, że na wielu dachach są ogrody, na niektórych stały nawet łóżka z moskitierami.

- W wielu tutejszych domach najchłodniej jest na dachu - wyjaśnił Patrick. - Tylko tam czuje się wiatr od morza.

- A jeśli pada? - zapytała Margaret.

- Tu bardzo rzadko pada.

- Miasto jest urocze. Egzotyczne.

- Nie muszę się o ciebie niepokoić, prawda? - szepnął Patrick.

- Z jakiego powodu?

- Z powodu tego wysokiego wykształconego dziennikarza, z którym codziennie spędzasz sporo czasu?

- Chyba żartujesz - odparła. - I właśnie ty to mówisz?

- Co masz na myśli?

- A ty i Elena? Możesz mi powiedzieć, o co tutaj chodzi?

- Jesteśmy kolegami z pracy.

- Którzy spędzili noc w tym samym hotelu i uznali za konieczne powitać mnie razem w porcie?

- Elena i ja pracowaliśmy przy śniadaniu; uznałem, że zachowałbym się niegrzecznie, gdybym jej nie zaproponował, żebyśmy razem wyszli po ciebie.

- Teraz potrzebna nam przyzwoitka?

- Nie bądź śmieszna.

Margaret robiło się niedobrze od własnych słów, mimo to brnęła dalej:

- W żadnym razie nie możesz zaprzeczyć, że jest niewiarygodnie piękna.

- Margaret, posłuchaj samej siebie.

- Wolałabym posłuchać ciebie.

- Nie mam nic do powiedzenia.

Wciąż ją obejmował, ale czuła, jak cały zeszywniał.

- Jesteśmy razem? - zapytała. - Razem w taki sposób jak przed wspinaczką? A może ta wyprawa wyrządziła nam nieodwracalną szkodę?

Patrick zamknął oczy.

- Nie będę o tym rozmawiał. Ta obsesja na punkcie wspinaczki zżera cię od środka. Obserwuję to od miesięcy. Podejrzewam, że nie będziemy razem tak jak wcześniej, dopóki sobie z tym nie poradzisz. Nie. To niemożliwe.

- Nie mam obsesji na punkcie wspinaczki, tylko na punkcie naszego małżeństwa.

- Myślę, że powinniśmy wracać do pokoju.

Margaret nagle zmieniła zdanie. Poczowała gwałtowne pragnienie fizycznej obecności męża.

- Tak mi przykro, przepraszam - powiedziała, łapiąc go za rękaw. - Patrick, nie odchodź. Nie po to przyjechałam do Lamu. Chciałam spędzić z tobą weekend, który oczyściłby atmosferę. Proszę, zostań.

Stanął obok niej.

- Ani słowa więcej o naszym małżeństwie. - Ani słowa.

Nazajutrz rano Patrick i Elena poszli na spotkanie, a Margaret miała wolny dzień. Recepcjonista zaproponował pieszą wycieczkę po mieście, ale już niemal od początku została z tyłu. Boczne uliczki wabiły ją ku sobie, osiemnastowieczne budynki pokryte warstwami starego tynku zapraszały. Drewniane okiennice i drzwi zdobione były płaskorzeźbami, a kiedy jakieś się otwierały, Margaret mogła rzucić okiem na dziedzińce z fontannami i niszami, gdzie stały białe sofy. Zapragnęła, by ktoś zaprosił ją na taki dziedziniec, gdzie w powietrzu unosił się zapach jaśminu.

Na każdym kroku widziała Rafiqą. Mijani mężczyźni mogli być jego kuzynami. Kobiety nosiły *bui bui*. Czy Rafiq był kiedyś w Lamu?

Po uliczkach wałęsały się koty i osły. W wąskich zaułkach Margaret odkrywała sklepy: w jednym sprzedawano ciężką biżuterię ze srebra, w innym *itos*, okrągłe malowane oczy z suahilijskich *dhow*, w kolejnym *kikois*, wzorzyste narzuty noszone przez mężczyzn z plemienia Suahili. Przekonała się, że ceny w Lamu są niebotycznie wysokie. Piwo w hotelu Petley, które pili poprzedniego wieczoru, kosztowało prawie sto szylingów. Oczywiście wynikało to z trudności związanych z importowaniem zagranicznych produktów na wyspę, ale nawet miejscowa ręcznie wyrabiana biżuteria była droga. Margaret kupiła *kikois* dla Patricka i *ito* do domu. Po części zastanawiała się, jak Patrick zareaguje na talizman, który ma odstraszać złe spojrzenie, po części zadawała sobie pytanie, czy okaże się skuteczny.

Kiedy wróciła do hotelu na lunch, Patrick i Elena już na nią czekali. Oboje wciąż byli ożywieni, w sposób typowy dla ludzi, którzy wyszli z narady, Margaret natomiast przed chwilą opuściła inne stulecie, w którym życie toczyło się o wiele wolniej. Wyczuwając jej oszołomienie, Patrick zamówił za nią.

- Dobrze się czujesz? - zapytał, przechylając głowę. Margaret usiłowała otworzyć oczy na normalną szerokość.

- Czuję się świetnie - odparła i naprawdę tak myślała. - Możemy tu zamieszkać?

- A jeszcze nie byłeś na plaży - powiedziała Elena. - Słowo daję, nie będziesz w stanie stąd wyjechać, jeśli spędzisz choć chwilę w Peponi.

Koło ich stolika zatrzymał się recepcjonista.

- Pan McCoglan?
- To ja - powiedział Patrick.
- Mam dla pana wiadomość.
- Dziękuję. - Patrick wręczył mu napiwek.

Otworzył kopertę i wyjął z niej kartkę. Przeczytał ją, położył na stole i wolno odchylił głowę do tyłu tak daleko, jak to było możliwe. Zamknął oczy. Elena spojrzała na Margaret, która wzięła kartkę.

Drogi bwana Patrick,

dom jest pusty. Przyszli bandyci i zabrali wszystko poza rzeczami z waszej sypialni, która wciąż jest zamknięta na klucz. Przyszła policja. Proszę szybko wrócić. Pański przyjaciel Moses.

Margaret wyobrażała sobie Mosesa dyktującego przez telefon wiadomość recepcjoniście, który zapisując, być może poprawił jego gramatykę. Odwróciła się ku swojemu wciąż pogrążonemu w bezruchu mężowi.

Wszystkie jego badania.

Podła kartkę Elenie.

- Tak mi przykro - powiedziała Elena. - Wszystko.

Elena zorganizowała im wylot z Mandy tego samego popołudnia. Lamu zniknęło z życia Margaret tak szybko, jakby było tylko snem.

Kiedy weszli do domu, Margaret pomyślała, że nigdy w życiu nie widziała czegoś równie niesamowitego. Mówiąc „wszystko”, Moses nie przesadzał. Z okien zdjęto zasłony, zabrano wszystkie aparaty telefoniczne i kable. Kinkiety znad kominka zostały wyrwane ze ściany. W jednej łazience nie było toalety. Margaret pomyślała o kolacjach, które jedli przy stole w jadalni, rozmowach telefonicznych prowadzonych przy stoliku w holu. Koktajlach, które z Patrickiem pili na sofie w jadalni. Nic nie zostało. To, że drzewa awokado i limetki wciąż rosną przed domem, wydało się jej surrealistyczne.

Razem weszli do gabinetu. Zabrano wszystkie materiały z badań, wszystkie książki. Notatki, rodzinne fotografie. Patrick oparł się o drzwi. Margaret nic nie mogła mu powiedzieć. Nie mogła przekonywać, że papiery się znajdują, nie mogła pocieszać nadzieją, że gdzieś pewnie są kopie. Czy za każdym razem używał kalki? Wątpiła w to.. A co ze wszystkimi sporządzanymi ręcznie notatkami, których jeszcze nie przepisał? Nie do odтворzenia.

Czuła ulgę, że zabrała w podróż oba aparaty, ale były przedmioty, za którymi będzie bardzo tęsknić: zabawne ilustrowane listy od Timmy'ego, fotografie, których nie włączono do archiwum w „Tribune”, kilim od Adhiambo.

- Strasznie mi przykro - powiedziała.

- Jesteśmy przekłeci - odrzekł cicho. - Poprzednie kradzieże, wspinaczka, teraz to.

- Nie jesteśmy przekłeci - sprzeciwiła się Margaret, pragnąc jak najszybciej odrzucić ten pomysł. Pomyślała o *ito*, talizmanie przynoszącym szczęście, który miała w walizce. Ciekawe, kiedy zacznie działać?

- Proszę wybaczyć.

Za nimi stał kenijski policjant.

- Muszę z państwem porozmawiać. Jestem inspektor Wambui.

Poszli za nim do holu. Na drewnianej podłodze koło stolika leżały trzy kamienie, wszystkie nieco mniejsze od kuli do kręgli. Margaret zastanawiała się, czy złodzieje rozważali zerwanie kosztownego parkietu.

- Czy to wasze? - zapytał inspektor.

- Te kamienie? - W głosie Patricka zabrzmiało niedowierzenie.

- Od początku uważałem, że tymi kamieniami złodzieje mieli zamiar was zabić, gdybyście byli w domu.

Margaret odjęło mowę.

- Wiecie, kto wam to robi?

- Nie - odparł Patrick.

- Macie wrogów?

- Nie wydaje mi się - odpowiedziała. - Naprawdę nie przychodzi mi na myśl nikt, kto chciałby zrobić nam krzywdę.

- Zbadaliśmy dom. W kuchni jest stłuczone okno. Zgodnie z procedurami przesłuchaliśmy służącego i askari z okolicy. Służący spał i jest tak zdeenerwowany jak wy. Boi się, co powiedzą jego pracodawcy. Dobrze rozumiem, że wynajmujecie dom?

- Niezupełnie - wyjaśniła Margaret. - Opiekujemy się domem. Mieliśmy za zadanie dopilnować, żeby nic złego się tu nie stało.

Inspektor uniósł brew. Patrick dłonią przeczesał włosy.

- Będziemy potrzebować adresu i numeru telefonu właściciela - powiedział inspektor.

- Znam nazwisko, ale wszystkie namiary były u Mosesa. Mam nadzieję, że trzymał notatnik u siebie, nie tutaj.

Inspektor skonsultował się z Mosesem, który odnalazł notatnik. Ustalono, że zadzwoni Patrick. Moses był przerażony.

- Jak mam im powiedzieć, że cały ich dobytek zniknął? - zapytał Patrick.

Nie zostało nic: ani jedna łyżka, wykałaczka, szklanka. To musiał być jakiś gang, pomyślała Margaret. I musieli mieć do dyspozycji samochód. Zwykła przeprowadzka byłaby uciążliwa, złodzieje natomiast wykonali herkulesową pracę. Pomyślała o ciężkich kredensach i sofie, o pokojach wypełnionych meblami. Zwróciła się do inspektora:

- Jak to możliwe, że nikt niczego nie widział ani nie słyszał? Przecież tu potrzebny był samochód.

- Złodzieje są bardzo cisi. Zawsze. Wynoszą rzeczy do samochodu zaparkowanego w lesie. Nie da się ich powstrzymać, chyba że w domu są strażnicy. Ale wtedy też czasami coś się zdarza. Zwykle kiedy właściciele wyjeżdżają. Często to przypadek. Możecie mi powiedzieć, kto wiedział o waszym wyjeździe?

- Moses - odparła Margaret. - Ludzie w redakcji dziennika, dla którego czasami pracuję jako fotograf. Wyłącznie jako wolny strzelec - dodała, uświadamiając sobie, że rozmawia z urzędnikiem państwowym. - To miał być bardzo krótki wyjazd, tylko na trzy dni, i chyba nawet nie powiedziałam o nim naszym znajomym.

- Jest pani pewna?

-Tak.

- Czy ktoś mógł podsłuchać, jak mówi pani o wyjeździe?

- Pewnie są ludzie, którzy mogli coś podsłuchać albo dowiedzieli się później w redakcji. Ale szczerze mówiąc, jestem pewna, że nikt z naszych znajomych by tego nie zrobił. - Margaret usiłowała przypomnieć sobie, czy wspomniała o podróży komuś poza Mosesem, Rafikiem i Solomonem. - Wiedzieli też ludzie z lotniska - dodała z namysłem. - Powinniście chyba sprawdzić personel.

- Już to zrobiliśmy. Była pani samotnie podróżującą kobietą. Gdyby złodziejem był pracownik, który sprzedał pani bilet, pomyślałby, że w domu pozostał mężczyzna.

Patrick musiał pójść do sąsiadów, żeby skorzystać z telefonu.

Margaret weszła na górę i otworzyła drzwi sypialni. Pokój wyglądał tak, jak zostawiła go poprzedniego dnia: ręczniki zawieszane na klamkach, jedna z poduszek przekrzywiona.

Usiadła ciężko na łóżku, nie mogąc dłużej utrzymać się na nogach.

- Nie jesteśmy przekłeci - powiedziała głośno. - Nie istnieje nic takiego jak klątwa. Nigdy w nią nie wierzyłam i nie mam zamiaru uwierzyć teraz.

Do pokoju wszedł Patrick i usiadł obok Margaret.

- Ta sypialnia jest jak plan filmowy w ogromnym pustym studiu.

- Jak było?

- Okropnie, tak jak podejrzewasz.

- Są wściekli.

- Bardzo. Najwyraźniej spodziewali się, że będziemy w domu przez cały czas. Kiedy powiedziałem, że w tym czasie wyjechaliśmy do Lamu, wręcz oszaleli. Nie zapytali nawet, co nam ukradziono. A potem chcieli rozmawiać z Mosesem. Współczułem mu. - Patrick wygładził narzutę. - Cóż, przynajmniej możemy tu spać.

Margaret zerwała się na równe nogi.

- Zwariowałaś? Chcesz leżeć całą noc i czekać, aż złodzieje przyjdą jeszcze raz? I nas zabiją? Nie widziałeś kamieni? Pakujemy rzeczy i wynosimy się stąd.

- Dokąd? Choć pewnie Karim i Aarya zgodzą się nas przenocować. Możemy spać na podłodze.

- Możemy - odparła Margaret - ale mam lepszy pomysł. Jedźmy do hotelu Norfolk.

- To będzie kosztować fortunę.

- W tej chwili niewiele mnie to obchodzi. - Znowu usiadła obok męża.

- Będziemy musieli coś wynająć - powiedział Patrick. - Nie sądzę, żeby ktoś jeszcze zostawił nam dom pod opieką.

- Jutro zacznę szukać - zaproponowała Margaret.

- Część materiałów z badań jest w szpitalu, najnowsze mam w aktówce. Postaram się jakoś to poskładać i odtworzyć. Prawie zawsze z kimś pracowałem.

Położyli się ze wzrokiem utkwionym w suficie.

- Nie wyjadę - oświadczył Patrick.

- Nie wyjadę - powtórzyła za nim Margaret.

Znaleźli mieszkanie niedaleko szpitala. Poprzedni lokator, lekarz, który wracał do Delhi, umieścił ręcznie napisane ogłoszenie na tablicy. Spędzili dwie noce w hotelu Norfolk i wiedzieli, że na więcej nie mogą sobie pozwolić.

Mieszkanie znajdowało się w wielkim kamiennym domu, niegdyś wytwornym; kiedy jechali przez podjazd, Margaret była zaintrygowana. Otoczony zarośniętym ogrodem, ocieniony koronami dżakarand i eukaliptusów dom wyglądał tak, jakby wcześniej należał do bogacza, któremu przestała sprzyjać fortuna.

Oboje z zaskoczeniem stwierdzili, że w domu jest zarówno *askari* w mundurze, jak i winda. Winda! Gdy strażnik przez telefon skontaktował się z właścicielem, Margaret pomyślała, że portier to właściwie taki *askari* bez maczety. Właściciel, sikh, zaprowadził ich na drugie piętro. Z ogromnego pęku wybrał stosowny klucz i otworzył drzwi mieszkania 3F.

Margaret poczuła się pewniej, gdy zobaczyła okna otwierające się na zapuszczony ogród. W mieszkaniu były dwie sypialnie, więc jedną Patrick mógł wykorzystać jako gabinet. (Nazajutrz rano Patrick wezwał ślusarza i kazał zamontować podwójny zamek w drzwiach pokoju). Oprócz tego był tu kominek na chłodne wieczory, stół przyzwoitych rozmiarów w jadalni połączonej z salonem oraz kuchnia wyposażona we wszystkie „współczesne urządzenia”, jak natychmiast poinformował ich właściciel w turbanie. Niedopasowane meble przypominały Margaret studenckie mieszkania w Stanach i nie była pewna, czy zdoła znieść paskudną zieloną sofę. Pomyślała jednak, że przy odrobinie wysiłku jakoś to wytrzyma. Zależało im na mieszkaniu w budynku, gdzie są też inni lokatorzy, nie chcieli dłużej być sami. Uznali, że mieszkanie na drugim piętrze dla przeciętnego złodzieja będzie zbyt wielkim wyzwaniem.

- Grube ściany. - Właściciel poklepał po tynku. Przyniósł ze sobą dokumenty i długopis.

W dni robocze Patrick chodził do szpitala, a w weekendy często wyjeżdżał, by spełnić obietnicę przyjmowania chorych w przychodniach w całym kraju. Margaret towarzyszyła mu w tych wyprawach, kiedy czuła potrzebę sfotografowania jakiegoś człowieka, miejsca lub zwierzęcia, których jeszcze nie sfotografowała dla Timmy'ego, zostawała natomiast w domu, gdy chciała popracować nad swoim portfolio. Właściciel sklepu fotograficznego udostępniał ciemnię na godziny. W weekendy Margaret wynajmowała ją na sześć, siedem godzin, w zależności od tego, na ile akurat było ją stać.

Wciąż musiała wiele się nauczyć o świetle, o sprzęcie, o wywoływaniu negatywów. Patrick przyjechał tu, by badać choroby tropikalne, Margaret mimo woli rozpoczęła własny projekt badawczy: poznawanie tajników fotografii. Marzyła, by móc wydać album o Kenii, aczkolwiek przypuszczalnie nie byłaby to książka dla przeciętnego odbiorcy. Nie zawierałaby fotografii zwierząt (choć uwielbiała je fotografować), ale niepozowane portrety i fotografie przedstawiające Afrykę, którą zna niewielu turystów.

W redakcji Margaret wciąż dostawała wspólne zlecenia z Rafikiem, który pisywał wyłącznie długie artykuły. Pracowała z nim przy materiale o wdowach (zdjęcie: kobieta w ciąży, przysłaniająca oczy dłonią przed grobem męża, za jej plecami widoczne tysiące innych nagrobków), przy biografii sławnego kenijskiego pisarza Ngugi wa Thiong'o (zdjęcie: przemawiający mężczyzna ze zmarszczonymi brwiami i płonąącym wzrokiem - człowiek pałający słusznym gniewem), przy artykule sprzeciwiającym się obrzezaniu kobiet (zdjęcie: dwie kobiety pochylone nad wyrywającą się, leżącą na ziemi dziewczyną; w rzeczywistości scena została upozowana, kobiety wzięły w niej udział z własnej woli, ponieważ Margaret odmówiła uczestniczenia w prawdziwym obrzezaniu), przy intrygującym reportażu o dzieciach z wioski w dystrykcie Narok, które dobrowolnie zbierają się codziennie rano na naukę czytania i pisania w języku ojczystym oraz naukę mówienia w kisua-hili (zdjęcie: dzieci w różnym wieku w plemiennych strojach stojące przed chatą z dziurawym dachem).

Żeby zebrać materiał do tego reportażu, Rafiq i Margaret pojechali do Narok, oddalonego od Nairobi o dwieście czterdzieści kilometrów. Musieli tam zanocować, Rafiq wynajął więc miejscowego kierowcę, który pełnił

także funkcję tłumacza. W Narok mieli dwa pokoje (w jednym spał Rafiq i kierowca, w drugim Margaret) w hotelu, w którym żaden turysta nigdy by się nie zatrzymał.

Przepraszam - powiedział Rafiq, gdy stanęli przed budynkiem. - Nic lepszego nie byłem w stanie znaleźć.

Nie ma sprawy - odparła Margaret, patrząc na farbę odpadającą od ścian i kraty na oknach. Ze strachem myślała, co może zastać za nimi.

Rafiq splótł ręce przed sobą.

Po raz pierwszy ogarnęło ją przemożne pragnienie, by położyć dłoń na jego piersi. Nie zrobiła tego, ale nie mogła oderwać wzroku od miejsca, które chciała pogłodzić.

- Margaret?

Spojrzała mu w oczy. Zorientował się? Milczał i podejrzewała, że chyba tak.

- Podczas kolacji zajmę się przygotowaniem do jutrzejszych wywiadów, więc obawiam się, że muszę cię zostawić z kierowcą Davidem. - Urwał na moment. - Czy to ci odpowiada?

Tak - odparła, wciąż pograżona w coś w rodzaju transu.

To świetnie.

Margaret uważała, że zachowanie Rafiqa jest i jednocześnie nie jest dziwne. Jakby chciał udowodnić redakcji i całemu światu (a także jej), że będzie się zachowywał jak profesjonalista w sytuacji, gdy praca wymaga od nich noclegu gdzieś w terenie. W pewnym sensie doceniała to, choć z drugiej strony za nim tęskniła. Zwłaszcza przy kolacji z Davidem, który oczy i serce miał skierowane gdzie indziej. Ich kierowca i tłumacz spędził noc ze swoją dziewczyną, mieszkającą w pobliskiej wiosce.

Podczas kilkugodzinnych zleceń Rafiq i Margaret często robili sobie przerwę na lunch albo po skończonej pracy pili herbatę w którejś z wielu kafejek w Nairobi. Margaret zaczęła czekać na te spotkania. Rafiq miał kilka ulubionych miejsc, ale najchętniej chodził do Złotej Filiżanki. Za prostą witryną krył się świat bliskowschodniej kultury: złote tace, drewniane stoły z grubymi polerowanymi blatami, ręcznie tkane dywany we wszelkich

możliwych barwach, misterne płaskorzeźby na ścianach.

Jak tu cudownie - zachwyciła się Margaret przy pierwszej wizycie.

Należy do mojego kuzyna. Przyjdzie później.

Masz liczną rodzinę? - zapytała, gdy Rafiq prowadził ją do stolika.

Wedle zachodnich standardów nawet bardzo. Mam kuzynów w Pakistanie, Londynie, Kampali i tutaj. Gdybym na przykład pojechał do Londynu i nie odwiedził kuzynów, nigdy by mi nie wybaczyli. Są wśród nich naukowcy z najwyższymi stopniami akademickimi i ludzie kompletnie spłukani, są kobiety zasłaniające twarz i takie, które noszą mini i nie wkładają staników. Niezła mieszanka.

Margaret roześmiała się.

Ja mam trójkę kuzynów. Jednego ze strony mamy, dwóch ze strony ojca. Jestem biedna.

O tak.

Z pokoju na zapleczu wyszedł kuzyn imieniem Safeer, żeby przywitać się z nimi. Rafiq przedstawił Margaret jako koleżankę z redakcji, ale trudno było stwierdzić, czy to usatysfakcjonowało Safeera. Ze względu na nią mówili po angielsku. Zanim się zorientowała, na stole postawiono obfity podwieczorek.

- Mam nadzieję, że jesteś głodna - powiedział Rafiq, kiedy Safeer odszedł.

- Co to jest?

- To jest *falooda*, a to *more dhoor ladoo*, ale najbardziej lubię *malai kha-ja*.

- Wszystko wygląda bardzo apetycznie. - Margaret pochwaliła poczęstunek.

- Nie będziesz miała apetytu na kolację.

- Jakoś mnie to nie martwi.

- Kuzyn się obrazi, jeśli zostawimy choćby okruszek. Intensywne smaki, zapach kadzidełka, rozluźniony Rafiq

w koszuli z rozpiętym kołnierzykiem, wszystko to złożyło się na wrażenie wizyty w świątyni egzotycznego spokoju. Margaret ogarnęło poczucie intymności, którego od dawna nie czuła.

- Muszę ci o czymś opowiedzieć - odezwała się. Rafiq zwrócił na nią wzrok.

- O czymś, co mi się przydarzyło na Kenii.

Opowiedziała o wyprawie, nie pomijając żadnych szczegółów. Zrelacjonowała noc w *banda*, splecione dłonie, zachowanie Diany rano.

- Musieliśmy przejść przez lodowiec - ciągnęła. - Był stromy, myślę, że wszyscy trochę się baliśmy. Przewodnik czekaniem wyrąbywał stopnie. Lodowiec miał jakieś sześćdziesiąt metrów szerokości. Wszyscy byliśmy związani liną, począwszy od przewodnika do tragarza na końcu. Raz spojrziałam w dół.

Rafiq odstawił filiżankę. Margaret nie rozumiała, skąd wzięła się u niej potrzeba opowiedzenia tej historii.

- To było przerażające. Po prostu przerażające. Zaczęłam się modlić. Wpatrywałam się w idącego przede mną tragarza. Poruszałam się, kiedy on się poruszał.

Rafiq pokiwał głową.

- Radziliśmy sobie nieźle, byliśmy już w połowie drogi. Nagle uświadomiłam sobie, że dzieje się coś dziwnego, kilka osób zaczęło krzyczeć. Diana wypięła się z liny, wyprzedziła nas i sama zaczęła wykopywać sobie stopnie.

- Bez żadnego zabezpieczenia?

- Tak. Jak zawsze paliła się do działania, nie mogła usiedzieć na miejscu. Tempo przewodnika strasznie ją irytowało. Kiedy się rozejrzałam i zrozumiałam, co robi, wyprzedzała nieznacznie przewodnika, była trzy metry nad nim. - Margaret pokręciła głową. - Potem wszystko wydarzyło się tak szybko, że nie potrafię nawet powiedzieć, co widziałam, a czego nie. Jestem pewna, że widziałam, jak przewodnik wyciągnął rękę, żeby złapać Dianę za kaptur, ale nie zdążył. Przesunęła się tuż koło jego dłoni. To było straszne, Rafiq. Przerażające. Wszyscy uklękliśmy, Arthur wył z rozpacz. Zupełnie oszalał, byłam przekonana, że skoczy za nią i wszystkich nas za sobą pociągnie. Patrzyliśmy, jak Diana spada, wirując. Po prostu leciała w przepaść i to było tak, jakby ktoś w pokoju na ostatnim piętrze wieżowca

nagle otworzył okno, stanął na parapecie i skoczył, zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać.

- Słyszałem o tym.

- Tak?

- Pisano o tym w gazetach. Biała kobieta zginęła na lodowcu podczas wspinaczki na Kenię. Zakładam, że to ta sama wyprawa.

- Kiedy o tym pisano?

- W styczniu, lutym, jakoś tak.

- To Diana.

- Przykro mi.

- Czułam, że muszę ci o tym opowiedzieć. Jestem przekonana, że spowodowałam jej śmierć.

Rafiq milczał.

- Diana była zniecierpliwiona, nie mogła znieść powolnego tempa przewodnika. Jasne. Ale nie wierzę, że wypięłaby się z liny, gdyby nie czuła złości.

- Złości?

- Bo podejrzewała, że między Arthurem a mną coś jest. To prawda, kręcił się koło mnie. I rzeczywiście pozwoliłam mu trzymać się za rękę. Ale między nami nic nie było. Wręcz przeciwnie, trochę się go bałam. Bywał zmienny, w jednej chwili sympatyczny, w następnej protekcyjny. Pozwoliłam mu trzymać się za rękę, nie cofnęłam dłoni. Diana to widziała.

- Stąd ta jej złość. - Tak.

- Myślę, że to wszystko dzieje się tylko w twojej głowie, Margaret, naprawdę.

- Nie, Rafiq. Inni także mnie obwiniają.

- Kto?

- Saartje. Powiedziała mi to od razu, na górze.

Rafiq nalał herbaty do filiżanek.

- W takim razie powinnaś z nią o tym porozmawiać.

- Nie mogę, wyjechała z kraju. Tak samo jak Arthur. Ale po nabożeństwie żałobnym, kiedy widziałam go po raz ostatni, spojrzał na mnie. To

było szczególne spojrzenie. Nie rozmawialiśmy, ale jestem przekonana, że chciał mi powiedzieć, iż oboje ponosimy winę.

- A twój mąż?

-I to jest najgorsze. - Margaret była świadoma, że posuwa się za daleko, mówiąc o swoim małżeństwie. - Na górze Patrick także krzyczał. Krzyczał z powodu Diany, ale też z mojego powodu. Nas, naszego małżeństwa. Następnego dnia przy śniadaniu dał mi jasno do zrozumienia, że uważa mnie za winną.

- Margaret.

- To bardzo skomplikowane, nie zamierzam twierdzić, że nie miał uzasadnionych powodów, bo je miał. Dlatego to takie okropne.

- Ale teraz na pewno macie to już za sobą.

- Nie wiem. Cała ta sprawa wpłynęła na nasze małżeństwo. Próbuje to naprawić i myślę, że Patrick także od czasu do czasu próbuje. Ale sprawa zaszła za daleko, zatruwa nas i nie jestem pewna, czy nam się uda.

- Małżeństwo może mieć burzliwe okresy, ale wciąż warto się starać, by je ratować.

- Skąd wiesz? Byłeś żonaty? Pokręcił głową.

- Mnóstwo kuzynów, mnóstwo małżeństw. Margaret potaknęła.

- Posłuchaj - powiedział Rafiq. - Gdyby nie to, że jeden z moich kuzynów szpieguje nas przez okienko za naszymi plecami, ująłbym twoją twarz w dłonie i powiedział ci, że jesteś cudowną, skomplikowaną kobietą. Obserwuję cię przy pracy. Masz wielkie serce.

- Szpiegują nas? - zapytała Margaret, zaczynając się uśmiechać.

- Z całą pewnością.

- Dlaczego?

- Safeer nie uwierzył, kiedy mu powiedziałem, że jesteś „tylko” koleżanką z pracy.

Margaret zarumieniła się i spojrzała na słodycze.

- Chyba najlepiej będzie, jeśli zaczniemy jeść - powiedziała.

Tamtego popołudnia Rafiq i Margaret długo siedzieli w kawiarni. Rozmawiali, choć bywały też chwile milczenia. Margaret pragnęła dowiedzieć

się, o czym myślał, ale go nie pytała. Kiedy wreszcie wyszli na gwarną ulicę, odebrała blask słońca jak karę.

Pewnego dnia po szczególnie męczącym dniu poświęconym na przedstawieniu sukcesu firmy Ruaraka Enterprises (wielkiego składu części samochodowych) w słowach i fotografiach (te ostatnie się nie udały, firma musiała dostarczyć plan kompleksu budynków), Rafiq i Margaret czuli się tak, jakby zmiażdżyły ich przeraźliwe promienie słońca, upał i stopy metalu. Zadanie było fizycznie wyczerpujące i intelektualnie ogłupiające. Rafiq zdjął marynarkę i rzucił na tylne siedzenie citroena.

- Jedźmy popatrzeć na zwierzęta - powiedział.

- Wspaniały pomysł - zgodziła się Margaret. – Idealne antidotum.

- Tylko popatrzymy - dodał, gdy wsiadła do samochodu. -Nie musimy nawet rozmawiać.

- Brzmi cudownie.

W drodze do rezerwatu Nairobi Rafiq zatrzymał się i kupił zimne napoje i chipsy.

- Skąd wiedziałeś, że marzę o chłodnym picu i soli? -zapytała Margaret.

Tak wyposażeni, wjechali przez bramę do parku. Margaret chciała zapłacić za swój bilet, ale Rafiq jej nie pozwolił.

- To był mój pomysł - oznajmił.

Kiedy Patrick i Margaret mieszkali w Bostonie, jedną z ich najbardziej ulubionych rozrywek były weekendowe wyjazdy na wieś. Przede wszystkim chodziło o wydostanie się z miasta, choć ważniejsze było to, że mogli dać odpocząć oczom, jechać, dokąd zechcą, i zatrzymywać się na posiłek, gdzie im się spodoba. Głównie oglądali okoliczne atrakcje turystyczne (na przykład Concord i Lexington), ale nie wysiadali tam z samochodu. Czasami parkowali przed jakąś farmą i wędrowali po polach, a kiedy trafili na przytulny zajazd, zjadali przy ognisku posiłek oracza. W miasteczkach wpadali do barów, które serwowały tłuste hamburgery i gęste koktajle mleczne. Te wycieczki niemal zawsze skutecznie im przypominały, że istnieje życie poza szpitalami i spotkaniami komitetów rodzicielskich.

Minęło sporo czasu, odkąd Margaret wybrała się „popatrzeć na zwierzęta”; dziwne, ale w czasie pobytu w Kenii to nigdy nie było najważniejsze ani dla niej, ani dla Patricka. Nie znaczyło to, że nie lubiła zwierząt (często były niezwykle, Timmy także się cieszył ze zdjęć, które mu posyłała); rzecz w tym, że dzipy z uczestnikami safari, na które nieuchronnie się natykali, przypominały jej, że zwierzęta to przede wszystkim atrakcja dla turystów.

Afrykańska fauna była jednak wspaniała, a mimo że robione od czasu do czasu fotografie wyglądały banalnie, Margaret zawsze czuła ekscytację na widok stada gnu czy słoni albo samotnego geparda.

Rafiq jechał wolno, z szybkością podaną na tabliczce na bramie parku. Celem wycieczki jest oglądanie, a nie ściganie się po pustych z reguły drogach. Wbrew zaleceniom okna mieli otwarte, żeby do środka wpadało świeże powietrze.

Rafiq prowadził jedną ręką, a drugą od czasu do czasu wyciągał chipsa z torebki albo popijał colę, która dawno przestała być chłodna. Przez większość czasu milczeli. Kiedy po stronie kierowcy pojawiała się żyrafa albo zebra, Margaret mogła na niego popatrzeć. Z jego twarzy i postawy zniknęło napięcie. Ciekawa była, o czym myślał. Pod jego sympatycznymi manierami i inteligencją kryła się jakaś tajemnica, której Margaret może nigdy nie zdoła odkryć.

Na kolanach trzymała aparat i choć miała ochotę zrobić parę zdjęć, nie chciała burzyć leniwego gorącego spokoju, jaki panował w citroenie. Fotografowanie nieuchronnie przypomniałoby im o pracy, a przecież pojechali do parku po to, by od niej uciec.

Rafiq pozwolił żyrafie podejść blisko do samochodu. Wyciągnął dłoń z okruchami chipsów, ale nie potrafił skłonić zwierzęcia, żeby pochyliło głowę i zlizalo sól. Żyrafa przyglądała się im z idealnym spokojem; Margaret pomyślała, że zwierzę bardziej zaintrygowane jest małym pojazdem niż jego pasażerami. Raz Rafiq zatrzymał samochód, by przez szybę od strony Margaret popatrzeć na stadko słoni oddalone o jakieś trzydzieści metrów. Margaret uznała, że teraz może zrobić zdjęcia. Oboje zdawali sobie sprawę, że słoń potrafi zaatakować błyskawicznie, a żółty citroen nie będzie stanowił dla niego żadnej przeszkody, dlatego czujnie wypatrywali nagłych ru-

chów zwierząt. Wyglądało jednak na to, że słoniom tak samo jak im zależy na spokoju, bo stado zatrzymało się nad małą sadzawką.

Sawanna była wysuszona na popiół, pora sucha zbliżała się do końca i wiele zwierząt szukało wodopoju. Jechali najwolniej, jak się dało. Jeśli Margaret pozwalała, by jej spojrzenie błądziło wokół, widziała upał drżący nad ziemią i płaskie korony akacji rozpostarte jakby w poszukiwaniu wilgoci. Przed samochodem przebiegło stadko antylop dik-dik; poczuła się jak w dzieciństwie, gdy oglądała filmy w Cineramie. Wokół nich brzęczały owady, ale Rafiq utrzymywał dostateczną szybkość, żeby nie wpadały całą chmarą do samochodu. Od czasu do czasu Margaret musiała odpędzać ciekawską muchę. Zapach sawanny przypominał jej woń haszyszu.

Raz się zatrzymali i w ciągu dwóch minut otoczyły ich pawiany. Margaret i Rafiq zamknęli okna. Margaret wiedziała, że te zwierzęta są wegetarianami, ale bywają też agresywne. Podejrzewała, że nauczyły się już, iż samochody stanowią dobre źródło pożywienia. Mimo surowych zakazów turyści często dokarmiali pawiany.

Pawiany kochały też obozy. Pewnego razu Margaret z Patrickiem i jego kolegą wybrali się na biwak do Amboseli. Została przy namiotach, podczas gdy mężczyźni pojechali szukać drewna na opał.

- Dziesięć minut później zobaczyłam pierwszego pawiana - opowiadała Rafiqowi. - Wstałam od małego składanego stolika i chciałam je odpędzić. Trochę się przestraszyłam. Próbowalam sobie przypomnieć, czy jedzenie jest w bagażniku peugeota, czy w namiocie. Pojawił się drugi pawian i w ciągu kilku sekund otoczyło mnie kilkanaście. Złapałam patelnię i zaczęłam walić w nią metalową łyżką.

Rafiq wybuchnął śmiechem.

- Nie miałam pojęcia, co pawiany mogą zrobić, kiedy pomyślą, że gdzieś jest jedzenie. Były coraz bliżej, więc zaczęłam śpiewać ile sił w płucach.

- Co śpiewałaś?

- Hymn państwowy.

Rafiq odrzucił głowę i znowu się roześmiał. Sam jego wygląd sprawił, że Margaret się uśmiechnęła.

- Pewnie cię zainteresuje, że na pawianach mój śpiew nie zrobił najmniejszego wrażenia - ciągnęła Margaret. - Zbliżały się ku mnie. Jeden podkraść się z prawej strony, kiedy patrzyłam w lewo. Zastanawiałam się, czy nie wejść do namiotu...

Zobaczyła, że Rafiq kręci głową.

- ...ale zaraz zrozumiałam, że to fatalny pomysł. Nie zniosłabym uwięzienia w namiocie ze stadem pawianów skaczących po płótnie.

- Pewnie tak by było.

- Zobaczyłam w oddali pojedynczy szereg idących w moją stronę tubylców. Nie wiedziałam, kim są ani jakie mają zamiary, ale z miejsca, gdzie stałam, wyglądali, jakby szli mi na pomoc. Po chwili okazało się, że to Masajki, każda na głowie miała pęk patyków. Nie potrafiłam sobie przypomnieć słowa oznaczającego „pomoc” w suahili, nie wspominając już o języku maa, ale moja trudna sytuacja musiała być oczywista na pierwszy rzut oka. Przed obozem kobiety rozdzieliły się i pędem ruszyły na pawiany, machając rękami i wrzeszcząc przeraźliwie. Oczywiście pawiany uciekły, a ja odłożyłam patelnię.

- Co potem się stało?

- Kiedy mój mąż z kolegą wrócili do obozowiska, siedziałam na jednym końcu prześcieradła, na które wyłożyłam wszystko, co zostało w chłodziarnicy. Na drugim końcu siedziało sześć Masajek. Nie mogłyśmy się wprowadzić porozumieć, ale wesoło ze sobą rozmawiały, częstując się płatkami owsianymi, chipsami bananowymi, trójkątnymi serkami i mlekiem z kartonów. Oddałabym wszystko, żeby zrozumieć, co mówiły.

- Płatki owsiane?

- Tak. Kiedy mężczyźni wrócili, wszystkie wstały, włożyły wiązki patyków na głowy i odeszły jednym szeregiem.

- Więc masz ochotę wysiąść i wrzasnąć? - zapytał Rafiq, wskazując pawiany.

Po prawie czterdziestu pięciu minutach jazdy po parku, gdy spotykali zebry, nosorożce i guźce, Margaret nagle cicho powiedziała:

- Zatrzymaj samochód.

Rafiq spojrział na nią, a Margaret wskazała przed siebie. Niecałe dwa metry od nich na konarze akacji leżał lampart. Zwierzę przypatrywało im się, marszcząc nos. Margaret zdawała sobie sprawę, że drapieznik ich dostrzegł - pewnie o wiele wcześniej, niż ona zauważyła wielkiego kota pozornie leniwie wyciągniętego w cieniu przypominającym gałązki liści. Idealnie zakamuflowanego. Prawie idealnie.

- Zamknij okno - polecił spokojnie Rafiq.

Zrobiła, co jej kazał, ale pragnęła wysiąść i zrobić zdjęcie. Sfotografowanie lamparta z tak bliska było rzadką okazją i chciała spróbować. Oczywiście istniało niebezpieczeństwo, że groźne zwierzę przy najmniejszym ruchu zaatakuje. Kolega z dziennika powiedział jej, że sztuczka polega na tym, by nie zamykać drzwi samochodu i obserwować lamparta nieruchomym okiem, jednocześnie kadrując ujęcie. Jedno. Na więcej w żadnym razie nie można liczyć. Jedno zdjęcie i powrót do samochodu tak szybko, jak potrafisz.

- Nie rób tego - powiedział Rafiq. Margaret milczała.

- Nie warto - dodał.

Uniosła aparat, zastanawiając się nad zdjęciem przez otwarte okno, ale kąt był nieodpowiedni, poza tym promienie zachodzącego słońca odbijały się od obiektywu, co zniweczyłoby efekt. Musiałaby jednak wysiąść i stanąć jakieś dwadzieścia centymetrów od samochodu.

Odwróciła się do Rafiqa.

- Nie - powiedział.

- Ale takie zdjęcia są niezwykle rzadkie. Zwłaszcza jeśli można je zrobić w dobrym świetle, a teraz takie jest. Muszę tylko wysiąść i przesunąć się dwadzieścia centymetrów na lewo.

- Nie. Niech inni to robią. - Przygryzła wargę.

- Słuchałbyś mnie, gdybym ci powiedziała: „Nie pisz tego artykułu, niech zrobi to ktoś inny”?

Nie odpowiedział.

- Rafiq.

- Dziesięć sekund maksymalnie. Wsiadasz, robisz zdjęcie, wsiadasz.

-Dziękuję.

- Nie będę cię ratować.

- Jasne.

Długo się zastanawiała, zanim otworzyła drzwi. Miała dziesięć sekund na wykonanie serii czynności, z których najważniejszą było skadrowanie ujęcia. W myślach przeprowadzała próbę generalną.

- Idę - powiedziała, przygotowawszy aparat. Otworzyła drzwi, przesunęła się o dwadzieścia centymetrów

i podniosła aparat. Zwierzę patrzyło w jej kierunku, ale się nie poruszyło. Promienie zachodzącego słońca rzucały na lamparta różowe światło. Margaret zrobiła jeszcze jeden krok w lewo, żeby się upewnić, że ma słońce za plecami. Wiedziała, że Rafiq w samochodzie pewnie szaleje z niepokoju, ale się nie odwróciła, by nań spojrzeć. Przyszło jej na myśl, że kąt padania promieni może częściowo oślepić lamparta, choć zauważyła, że jego oczy przesuwają się razem z nią. Podniosła aparat.

Raz po raz naciskała przesłonę. Była poza samochodem dwadzieścia, może trzydzieści sekund.

- Nie ruszaj się - powiedział za jej plecami Rafiq.

W polu widzenia Margaret śmignął nóż, lampart zaczął prostować łapy. Nóż przygwoździł do ziemi węza. Rafiq zakrył usta Margaret jedną dłonią, drugą położył jej na ramieniu. Wstrząs wywołany jego dotknięciem odebrał jej głos. Rafiq pociągnął ją do tyłu.

- Wsiadaj.

Wykonała polecenie z szybkością i zręcznością sportowca, choć zamknięcie drzwi sprawiło jej pewną trudność. Zauważyła jednak, że lampart nie zmienił swej czujnej pozycji. Rafiq, wystawiony na niebezpieczeństwo kilka sekund dłużej, okrążył samochód, wsunął się na siedzenie i zatrzaskał drzwi. Głęboko odetchnął. Czekali.

- Patrzy na węza - powiedziała Margaret.

- Przez cały czas go obserwował. Im bardziej gad się do ciebie zbliżał, tym większe groziło ci niebezpieczeństwo, nie tylko ze strony węza, ale i lamparta, który mógł go zaatakować, a przy okazji ciebie.

Margaret wypuściła powietrze z płuc.

- Co to za wąż?

- Czarna mamba.
- Jest srebrny.
- To prawda.
- Jadowity?
- Śmiertelnie. Najbardziej jadowity wąż w całej wschodniej Afryce.
- Skąd to wszystko wiesz? - zapytała, zaczynając dygotać z przerażenia.
- Jestem Afrykańczykiem.

Nigdy w ten sposób nie myślała o Rafiqu, choć naturalnie, tak samo jak Diana, był Afrykańczykiem. Przez swoje związki z trzema krajami wydawał jej się obywatelem świata.

Nie odrywając wzroku od lamparta, Rafiq wrzucił wsteczny bieg. Wycofał się na trzy metry, a potem przycisnął gaz, przejeżdżając po wężu i miażdżąc go.

- Twój nóż - powiedziała Margaret. Spojrzał na nią z niedowierzaniem.
- Zawsze go ze sobą nosisz. Uratowałeś mi życie.
- Powiedziałem, że nie będę ratował cię przed lampartem, ale nie wspominałem nic o wężu - odparł z uśmiechem. - Czułem, że nie mogę porzucić cię w sytuacji, która mogłaby fatalnie się skończyć.
- Dlaczego nazywają go czarna mamba?
- Ma ciemną paszczę. Jest taki groźny, bo atakuje ofiarę wielokrotnie, a jad z jednego ukąszenia może zabić od dziesięciu do dwudziestu pięciu ludzi.

Margaret poczuła ucisk w piersiach.

- Wiesz, moim zdaniem przed chwilą dość idiotycznie, jeśli wybaczysz to określenie, zaryzykowałam życie, żeby uzyskać piekielnie mało.
- Twoje też zaryzykowałam.
- To prawda.
- Bardzo przepraszam. Jestem ci bardzo wdzięczna. - Położyła dłoń na ramieniu Rafiq'a, by pokazać mu, jak szczerze są jej przeprosiny. Przez koszulę wyczuwała ciepło jego ciała.

Nie potrafiła przestać myśleć o dłoniach Rafiq'a na swoim ramieniu i ustach. Mimo że chwila była przerażająca, nie chciała zapomnieć tego doświadczenia.

- Chyba powinniśmy wracać - powiedział. Margaret przytaknęła, siadając wygodnie.

Słońce było coraz niżej, cienie się wydłużały. Większe ptaki rysowały się czarnymi kształtami na tle nieba.

- Myślę, że powinieneś się zatrzymać - powiedziała po dłuższej chwili Margaret.

Rafiq zahamował.

- Źle się czujesz?

- Tak. Nie.

- Co się dzieje?

Rozejrzał się na wszystkie strony, wysiadł i otworzył drzwi z jej strony.

Kiedy koło niego stanęła, przyciągnął ją do siebie i wsunął palce w jej włosy. Dziękuję, pomyślała Margaret.

Natychmiast opuścił ręce i odsunął się. Margaret pojęła, że coś jest bardzo nie w porządku. Rafiq odwrócił się do niej plecami.

- O co chodzi? - zapytała skonsternowana.

- Nie mogę tego zrobić.

- Zrobić?

- Być z tobą.

Jego ton i słowa wstrząsnęły nią.

- Nie rozumiem.

Ale rozumiała.

Oparła się o samochód. Kończyło się coś wielkiego, zanim jeszcze przyznała przed sobą, że się zaczęło. Poczucie straty ścisnęło jej serce.

- Tak bym chciała, żebyś tego nie powiedział. ';; Rafiq stanął obok niej.

- Od jak dawna myślisz w taki sposób? - zapytała.

- Że to się musi skończyć? Od teraz. Kiedy sobie uświadomiłem, jak bardzo chcę się z tobą kochać.

- Nie. Że w ogóle coś jest.

- Niedługo po tym, jak cię poznałem.

Ona także o tym wiedziała, prawda? Kiedy patrzyła, jak Rafiq biegnie do samochodu? Kiedy jej wzrok przypadkiem padł na śniadą rękę, kontrastującą z bielą mankietu? Gdy Rafiq tamtego wieczoru do niej zadzwonił?

Przy wszystkich tych okazjach, kiedy szli na herbatę? A zwłaszcza wtedy, gdy dotknął jej ramienia?

- Margaret. Kiwnęła głową.

- Opowiem ci historię - zaczął. - Ty mi swoją opowiedziałaś, teraz kolej na mnie.

Czekała.

- Kiedy byłem w Londynie, miałem romans z mężatką. Bardzo ją kochałem. Nasz związek dawał mi wiele rozkoszy i radości, jednak od samego początku dostrzegałem, że jej chodzi o coś innego. Kochała mnie, ale nie znosiła całej tej atmosfery ukradkowości i zdrady. Po jakimś czasie dla mnie też stało się to nie do zniesienia... Rozumiesz, o czym mówię?

Margaret nie była w stanie wykrztusić słowa. Wiadomość o jego roman-sie z przeszłości okazała się nieoczekiwanie bolesna.

- Nie mogę drugi raz tego zrobić. Przyrzekłem sobie, że to się nie powtó-rzy. Ponieważ wiem, jak się kończy, a koniec jest straszny.

- Ale my nawet... - powiedziała Margaret.

- Nie całowaliśmy się? Nie kochaliśmy się? Masz rację. - Milczał przez minutę. - Wiem, że to cię rani. Mnie też. Przepraszam. Powiem Solomono-wi, żeby nie przydzielał nam wspólnych zleceń.

- Och, proszę, nie rób tego. Objął ją.

- Im mniej będziemy na ten temat rozmawiać, tym lepiej dla nas.

Margaret szukała odpowiednich słów.

- Czuję się tak, jakbym straciła coś pięknego, zanim się zaczęło. Zanim miałam możliwość to przeżyć.

- Przeżyć co? - zapytał Rafiq łagodnie. - Począwszy od tego momentu, musielibyśmy być innymi ludźmi, żeby między nami coś zaistniało. A nie jestem pewien, czy nawet wtedy by nam na tym zależało.

- Mnie by zależało - zaprotestowała.

Rafiq odwrócił się od niej. Sawannę zalało ostre różowe słońce. Margaret zupełnie by się nie przejęła, gdyby nie mogli odnaleźć bramy. Nie chciała wsiadać do samochodu. Niech wokół czają się lamparty i lwy, niech się dzieje, co chce, byle tylko citroen nie ruszył.

- Postójmy tu przez minutę - powiedziała.

Światło gwałtownie zniknęło z trawy. Noc nadeszła jak zawsze: niczym spadająca kurtyna. Wokół nich zwierzęta szukały pożywienia, wkrótce otoczą żółte auto. Nie zrobią krzywdy pasażerom samochodu, bo nie będą w stanie nic zobaczyć w ciemności, ale krzywda już się stała.

Na niebie pojawiły się gwiazdy, po nich wzeszedł księżyc. Margaret chciała przekonać Rafiqą, żeby zmienił zdanie. Pomyślała, że gdyby go pocałowała, zdołałaby go uwieść. Ale czy naprawdę tego chce? Pragnęła kochać się ze stojącym obok mężczyzną, ale też zdawała sobie sprawę, że Rafiq ma rację. Nie mogła znieść myśli, że miał rację.

Po chwili otworzył przed nią drzwi i pomógł jej wsiąść. Zawarczał silnik, Margaret poczuła, jak koła zaczynają się obracać.

Kiedy przejeżdżali przez bramę parku, Margaret odwróciła głowę ku oknu i wpatrywała się w światła miasta. Patrick na pewno się zastanawia, gdzie ona się podziewa.

- Gdzie byłaś? - zapytał, gdy weszła do mieszkania. Nie mieli służącego, który gotowałby im posiłki, więc częściej niż dawniej jedli kolację poza domem. Dziś jednak Margaret czuła aromatyczny zapach potrawy przyrządzanej przez męża.

- Strasznie wyglądasz - dodał. - Co się stało?

- Przepraszam za spóźnienie. Miałam sprawy do załatwienia.

- Jakie sprawy?

Nie potrafiła zebrać myśli. To przesłuchanie ją irytowało.

- Nie wiem, Patrick. Sprawy.

- Dzwoniłem do redakcji.

Niewykluczone, że po jej twarzy przemknął wyraz strachu.

- Solomon powiedział, że byłaś w Ruaraka, ale nie orientował się, dokąd pojechałaś potem.

- Miałam sprawy do załatwienia - powtórzyła spokojnie.

- Solomon mówił, że pracowałaś dzisiaj z Rafikiem.

- Co sugerujesz?

- Sam nie wiem. Dlaczego mi nie powiesz? Margaret spojrzała mężowi prosto w oczy.

- Załatwiałam sprawy - oznajmiła dobitnie.

Patrick podrzucił wielką drewnianą chochlę i pozwolił, *teby* spadła na ziemię.

- Skoro chcesz tak się zachowywać - powiedział.

- Myślę, że chcesz to usłyszeć. Między Rafikiem a mną nic nie ma. Absolutnie nic. Trudno o prawdziwsze stwierdzenie faktu.

Na jego twarzy gniew ustąpił zdumieniu.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Prawdę mówiąc, nie. Przykro mi, że zadałeś sobie tyle trudu. - Wskazała zastawiony stół. - I przepraszam za spóźnienie, ale teraz najlepiej będzie, jak się położę.

Cóż za ironia, pomyślała, wychodząc z salonu, że nie musi kłamać na temat Rafiqa. Czowała gniew i ostry ból. Potrzebowała ciemności i łóżka.

Tamtej nocy zasypiała i budziła się. Przy każdym przebudzeniu wiedziała, że stało się coś złego, a potem prawda do niej docierała. Od nowa. Raz po raz.

Prawdzie towarzyszyły pytania. Czy zdecydowałaby się na romans z Rafikiem? Tak. W tej kwestii nie miała cienia wątpliwości. Czy by cierpiała? Tak, pewnie tak. Czy romans zakończyłby się dobrze? Rzecz niewyobrażalna. Margaret była zła na Rafiqa za jego aroganckie przekonanie, że coś o niej wie, że potrafi przewidzieć jej reakcje. Czy nie byłoby lepiej, gdyby po prostu odsunął się od niej bez wygłaszania tego strasznego stwierdzenia? Chyba jednak nie. Byłaby wówczas dezorientowana i ciągle zadawałaby sobie pytanie: dlaczego mnie nie chciał?

Miała nadzieję, że Patrick pomyśli, iż została obrażona albo upokorzona w redakcji, a teraz próbuje sobie z tym poradzić.

Okazało się jednak, że poradzenie sobie jest trudniejsze, niż Margaret przypuszczała. W konsternację wprawiało ją to, jak bardzo czuje się zmordowana. Kąpiel wydawała się tytanicznym wysiłkiem. Margaret nabrała zwyczaju spędzania weekendów w szlafroku; brakowało jej woli, by się

ubrać. Najczęściej pragnęła tylko, żeby Patrick wyszedł, bo wtedy mogła rozmyślać.

W następny poniedziałek pojechała do redakcji. Znowu przydzielono ją do Jagdish, co było wystarczającą karą. Myślała o rezygnacji, ale co robiłaby przez całe dni? Zastanawianie się nad tym dylematem było bardziej wyczerpujące niż zmuszenie się do ubrania. Od czasu do czasu spotykała Rafiq. Byli wobec siebie uprzejmi, choć nie serdeczni. Zdawała sobie sprawę, że wszyscy w redakcji wyczuwają zmianę. Jeśli wcześniej nie wiedzieli, to teraz na pewno wiedzą.

Była jeszcze druga strata, która ostatecznie ją przygniotła. Któregoś poranka, wychodząc z wanny, pośliznęła się i uderzyła biodrem najpierw o porcelanową krawędź, potem o posadzkę. Choć próbowała, nie zdołała niczego się złapać. Leżała na kafelkach, delikatnie przesuwając dłonią po biodrze, choć bardziej zaniepokoił ją nagły silny ból w brzuchu. Naciągnęła ścięgno? Złapała się toalety i wstała. Włożyła zielony szlafrok i poszła do sypialni, gdzie usiadła na łóżku. Patrick już wyszedł do szpitala, a ona szykowała się do pracy. Pomyślała, że powinna zadzwonić do męża i poprosić, żeby wrócił. A może lepiej będzie, jeśli się pozbiera i jednak pojedzie do redakcji. Skurcz się powtórzył, przypominał te w czasie miesiączki, choć jednocześnie ból był zbyt ostry, zbyt wyrazisty. Margaret pomyślała, że musi pójść do lekarza, najlepiej do ginekologa, u którego już raz była z powodu infekcji grzybiczej.

Zdjęła szlafrok i zostawiła na łóżku. Z komody wyjęła bieliznę, a potem zaczęła szukać w szafie bawełnianej sukienki, która byłaby czysta i w której ostatnio nie chodziła. Kolejny skurcz sprawił, że zgięła się wpół. Określiła się na pięcie i wyciągnęła rękę, usiłując dla równowagi złapać się łóżka. Przy tym ruchu zobaczyła czerwoną plamę na szlafroku.

Zabrano ją nie do szpitala Nairobi, ale do katolickiego, gdzie pracował jej ginekolog. Zadzwoniła do niego, a on wezwał karetkę. Do szpitala pojechała w skrwawionym szlafroku. Patrick do powrotu z Dagoretti, gdzie przyjmował chorych w buszu, był nieosiągalny.

Lekarz powiedział, że to był dopiero szósty tydzień. Margaret usiłowała pojąć jego słowa. Była w ciąży? Na pewno? Tak, potwierdził z przekonaniem lekarz. Poklepał ją po dłoni.

Położyła głowę na poduszce i utkwiała wzrok w suficie. Umieszczono ją w jednoosobowym pokoju, który wyglądał tak, jak zapewne wyglądały szpitalne salki w Londynie w 1918 roku: nieskazitelnie białe żelazne łóżko pod oknem, zasłona z białego lnu, którą w każdej chwili można było je odgrodzić od reszty pomieszczenia, porcelanowy dzban z wodą na stoliku, najmniejszego śladu nowych technologii, chociaż w ścianie widniały otwory - Margaret przypuszczała, że tam podłączano przenośne urządzenia. Siostry miały na sobie białe fartuchy, na ścianie naprzeciwko łóżka wisiał wielki przerażający krzyż.

Siostry umyły ją, lekarz zbadał. Przygotowano ją do łyżeczkowania. Kiedy się obudziła z popołudniowej drzemki, nie potrafiła zapanować nad łzami. Znowu coś straciła, zanim jeszcze się dowiedziała, że istnieje.

Uświadomiła sobie obecność Patricka, kiedy pochylił się i ją pocałował. Powiedział, że jest młoda, ma mnóstwo czasu na dzieci. Dodał, że tak będzie lepiej.

- Jak możesz tak mówić?

- Powinniśmy poczekać, aż wrócimy do domu. Nairobi to nie jest odpowiednie miejsce dla niemowląt.

- Sam w to nie wierzysz - powiedziała, patrząc w jego jasnoniebieskie oczy.

- Tak i nie.

- Mówisz tak, żeby mi pomóc przez to przejść.

- Może. Ale czy taka pomoc jest zła?

- Lepszym sposobem byłby płacz.

- Przepraszam. Sam nie wiem, co czuję. - Ujął jej dłoń. Dziecko scementowałyby ich związek, pomyślała Margaret.

Patrick puścił jej rękę i sięgnął po stojącą na podłodze torbę.

- Przyniosłem ci twój ulubiony koktajl. Waniliowy.

- A skąd go wzięłeś?

- Poszedłem do kuchni i namówiłem kucharkę (przy okazji, też zakonnice). Musiałem dokładnie jej tłumaczyć, co ma robić.

Margaret upiła łyk.

- Dziękuję, Patrick. - Zdobyła się na uśmiech.

- Zatrzymają cię tu przez parę dni.

-Parę dni?

-Na pewno do pojutra.

-Dlaczego?

-To zwykła procedura. Muszą mieć pewność, że nie doszło do infekcji.

W rzeczywistości Margaret była wdzięczna za te kilka dni wytchnienia. Chociaż zakonnice nie przypadły jej do serca - nie było wśród nich ani jednej współczującej duszy - myśl, że nikt niczego nie będzie od niej oczekiwał, wydała jej się pociągająca.

Dostrzegła, że Patrickowi drga kolano. Jest niespokojny, pomyślała. Dlaczego? Nie może się doczekać, kiedy wreszcie będzie mógł wyjść?

- A przy okazji, mnóstwo ludzi chce cię odwiedzić - powiedział.

- Nie dzisiaj.

- Oczywiście, że nie, ale będzie w porządku, jeśli powiem, żeby przyszli jutro?

Margaret spojrzała na męża. Przyglądał jej włosy. Zamknęła oczy. Po chwili usłyszała, że Patrick odsuwa krzesło i wstaje. Dotknął palcem jej policzka i wyszedł.

Odwróciła się w stronę okna. Na dworze było ciemno i sucho. W tym roku pora deszczowa się spóźniała, jeszcze nie nadeszła i niemal wszystko wyschło na wiór. Rośliny pomarszczyły się i zbrązowiały, ziemia zmieniła się w kurz, który nie pozwalał utrzymać ciała w czystości i unieruchamiał silniki.

Była w ciąży od sześciu tygodni. Próbowwała ustalić moment poczęcia, ale tamten okres pamiętała jak przez mgłę. Co by czuła na wieść, że spodziewa się dziecka? Wyobrażała sobie radość. Czy Patrick podjąłby decyzję o natychmiastowym wyjeździe?

Pomyślała o Rafiqu i jego oświadczeniu. Po raz kolejny okazało się, że miał rację. W żadnym razie nie mogłaby z nim być, skoro spodziewała się

dziecka Patricka. A gdyby Margaret nie wiedziała, kto jest ojcem? Straszne byłoby niespokojne wyczekiwanie na poród, żeby się o tym przekonać. Musiałaby o wszystkim powiedzieć Patrickowi.

A jednak zgodziłaby się na te udręki. Nigdy wcześniej nie marzyła, by trzymać w objęciach niemowlę, teraz tak. Nie potrafiła rozstrzygnąć, czy pragnie tego jej serce, czy umysł. A może pragnienie pochodziło z ciała, które nie potrzebuje podpowiedzi?

Margaret pozwoliła sobie wyobrazić dziecko, chłopca. Jak by to było, gdyby wyjmowała go z kołyski i przytulała, a jego główka spoczywałaby na jej ramieniu? Czy ramion nie wymyślono dla tego cudownego celu?

Pomyślała o Rafiqu i jego twarzy, o pięknych brązowych oczach, walijskiej szczęce. O ciele, którego nie miała okazji naprawdę dotknąć. O brzmieniu jego głosu, brytyjskim akcencie, który w dziwny sposób dodawał otuchy: Zastanawiała się, czy wiedział, czy Solomon mu powiedział. A może podsłuchał rozmowę przy sąsiednim biurku. A jeśli usłyszał, czy odwrócił głowę? Czy myślał o niej i żałował, że dziecko nie jest jego?

Margaret myślała o Patricku, który swoje uczucia przykrył cienkim kocem. Własną rolę postrzegał jako jej opiekun, specjalisty od spraw medycznych. W sytuacji beznadziejnej zależało mu na pełnej kontroli.

Patrząc przez okno, Margaret myślała także o Afryce, rozciągającej się tuż za siatką. Przez prawie rok ten kraj był jej stałym towarzyszem, uczył ją, ganił, otaczał. Był teraz w jej płucach i krwi. Przyjeżdżając tu, myślała, że chce wchłonąć Afrykę, tymczasem kontynent wchłonął ją. Nie wyobrażała sobie, że kiedykolwiek zapragnie go opuścić.

Leżała wysuszona jak cała Kenia. Piła mnóstwo wody na polecenie pielęgniarek i z własnej woli. Nic nie mogło ugasić pragnienia. Myślała, jak wszyscy codziennie unoszą oczy do nieba, wypatrując zapowiadającego deszcz wiatru, pierwszej kropli. A po początkowej ulewie będą w błocie świętować, tańczyć, piec kozy, pić i dziękować tym bogom, którym są wdzięczni.

Przysłano jej kwiaty i karty. Wczesnie rano przyszedł Solomon Obok, przynosząc trzy powieści Kenijczyków o Kenii. Autorem jednej był Ngugi

wa Thiong'o, którego Margaret kiedyś fotografowała. Pielęgniarki podały im herbatę; Margaret nie spodziewała się po nich takiego miłego gestu, który zachęcił Solomona do mówienia. Chociaż jednak rozmawiali o wielu rzeczach, jego żonie i dzieciach, niedawnym artykule o Oulu, który wywołał poruszenie, a nawet o ludziach z redakcji, Obok ani słowem nie wspominał o Rafiqu, co odebrała jako znak, że wie, że chyba wiedział od samego początku. Powtórzył jej kenijskie przysłowie o nasionach, które nie kiełkują, i o nasionach zasianych później, które zawsze są mocniejsze od tych pierwszych.

Margaret roześmiała się. Powiedziała mu, że to wymyślił, a on z zażenowaniem przyznał, że istotnie tak jest. Rozmawiali o warunkach, w których pierwszy siew nie zakiełkuje, ale drugi tak.

- Musisz wrócić do pracy - powiedział na pożegnanie. - Jagdish jest bez ciebie samotny.

Znowu się rozśmieszył. Śmiech sprawiał Margaret fizyczny ból, ale warto było.

Przed południem zaskoczył ją Moses z koszykiem awokado z ogrodu w Karen. Margaret myślała z podziwem, jak szybko rozchodzą się tutaj wieści. Wzruszyła ją jego wizyta i powiedziała mu o tym; przyjął jej słowa z radością. Obliczyła, że wyprawa do szpitala i powrót do domu zajmie mu co najmniej dwie godziny, i podziękowała za wysiłek. Zapytała, jak układa się w domu od czasu ich wyprowadzki. Okazało się, że większa część skradzionych mebli została odnaleziona w sklepie w Eastleigh. Gdy były poza domem, zostały wypolerowane, a nawet naprawione. Od tego czasu relacje między australijską pracodawczynią a Mosesem bardzo się poprawiły.

Patrick przyniósł niezbędne rzeczy: koszulę nocną i szlafrok, lustro, szminkę, najświeższe wydanie „Tribune”. Ponieważ poronienie zbiegło się w czasie z jej ospałością i złym samopoczuciem, była przekonana, że Patrickowi oba te zdarzenia zaczynają się zlewać. Uważał, że kiedy Margaret zacznie się ruszać, siły szybko jej wrócą. W tym celu zapisał ich oboje do klubu tenisowego. Miał ochotę znowu zająć się tym sportem.

Tego dnia przy lunchu, który zjedli razem, próbowała określić swoje uczucia do męża, ale jej się wymykały. Wiedziała, że Patrick jest dobrym

człowiekiem, ale nie mogła nic poradzić na to, że krążyło jej po głowie pytanie, czy krzywda nie została wyrządzona przez nich oboje.

Po południu zaskoczyły ją odwiedziny Jamesa i Adhiam-bo. Dla nich podróż do szpitala musiała być o wiele bardziej skomplikowana niż dla Mose-sa. Kiedy stanęli przy łóżku, zobaczyła, że trzymają się za ręce. Musiała pewnie szeroko otworzyć oczy, bo oboje wybuchnęli śmiechem. James wyglądał tak, jakby serce śpiewało mu z radości, a twarz Adhiambo rozjaśniał uśmiech. Przysunęli sobie krzesła, po czym wręczyli Margaret zawiniątko w pakowym papierze przewiązane sznurkiem. Chcieli, żeby je otworzyła natychmiast, zanim jeszcze usiądą. Rozwinęła tkaninę i zaczęła szukać rysunku pod koralikami i nasionkami. Zajął jej to kilka sekund, a kiedy treść do niej dotarła, cicho krzyknęła. Rysunek przedstawiał kobietę z aparatem przy oku, za jej plecami w oddali widoczne były zarysy miasta.

- Cudowne - powiedziała ze szczerym podziwem. - To prawdziwy skarb. Dziękuję.

- Mamy wiadomości - oznajmił James.

- Domyślam się. - Margaret spojrzała na ich dłonie.

- Mieszkamy w moim domu w Lavington, a Adhiambo przez cały dzień robi tkaniny i sprzedaje je na Kimathi Street.

- Na Kimathi Street - powtórzyła Margaret ze zdumieniem.

- W sklepie z wyrobami ręcznymi - wyjaśniła Adhiambo.

- Kobieta widzi zdjęcie w waszej gazecie i mnie znajduje. Jest z... - Zwróciła się do Jamesa.

- Ze Spółdzielni Kobiet - podpowiedział James. - I mówi, że sprzeda wszystko, co zrobię.

- Spółdzielnia zabiera trzydzieści procent - dodał James

- ale dają dobre ceny na rzeczy Adhiambo.

Margaret nie potrafiła uwierzyć, że mimowolnie przysłużyła się komuś - chociaż całą zasługę należało oddać Rafiqowi, który wpadł na pomysł artykułu.

- Niech pani powie panu Rafiqowi - poprosił James.

- Oczywiście - odparła Margaret bez wahania. - Powiem mu. Tak się cieszę.

Niemiecka para uznała, że jedna kobieta w domku Jamesa jest lepsza od kobiety z czworgiem dzieci, pomyślała Margaret. Od czasu do czasu James dostaje więcej jedzenia, a poza tym nie wraca do pustego domu. Zastanawiała się nad żoną i dziećmi w Kitale, ale przypominała sobie, że tamci odwiedzają Jamesa raz w roku, więc to pewnie nie jest problem.

Tak czy owak, to nie jej problem. Jeśli chodzi o Adhiambo i jej dzieci, może teraz, kiedy znowu zarabia, będzie w stanie częściej je widywać. Margaret miała nadzieję, że za swoje wyroby Adhiambo dostaje więcej, niż płacili jej Diana i Arthur, przede wszystkim jednak ucieszyła się, że tamta jest szczęśliwa i wydostała się ze strasznych slumsów. Czuła silny impuls, by natychmiast zadzwonić do Rafiq'a i przekazać mu dobrą wiadomość, ale się opanowała.

Powiedziała Jamesowi i Adhiambo, że wieczorem pokaże tkaninę mężowi, który zabierze ją do domu. Kiedy Margaret wyjdzie ze szpitala, tkanina będzie wisiała na ścianie salonu.

Siedziała sama przy oknie, Patrick poszedł już do domu. Było kilka minut po dziewiątej, wedle zasad obowiązujących w szpitalu późno, dawno po porze odwiedzin. Powietrze pachniało inaczej niż poprzedniego wieczoru. Margaret nie potrafiła określić tego zapachu, zresztą po kilku minutach się rozwiął. Położyła się, naciągnęła kołdrę i już miała wziąć jedną z książek przyniesionych przez Solomona, kiedy w drzwiach zobaczyła jakąś postać.

Rafiq podszedł do łóżka. Miał na sobie garnitur z krawatem, w dłoni trzymał bukiet długich i prostych herbacianych róż.

- Ukradłem ja w Parklands - powiedział.

Podał kwiaty Margaret. Biorąc je, uświadomiła sobie, że usunął z łodyg kolce. W bukiecie było osiem przepięknych róż.

- Masz nowy scyzoryk - powiedziała.

Rafiq wyrzucił z wazonu zwiędłe kwiaty i nalał do niego świeżej wody. Postawił wazon na stoliku koło łóżka, a potem usiadł.

- Przykro mi, że straciłaś dziecko. Musiałem ci to powiedzieć osobiście.

Przykryła oczy dłonią, usiłując odzyskać panowanie nad sobą.

- Trudno mi to pojąć. Nawet o tym nie wiedziałam. Pokiwał głową. To było jak echo.

Pewnie musiał czekać na parkingu, aż Patrick wyjedzie. Zastanawiała się, jak udało mu się przekraść koło zakonnice, przede wszystkim jednak nie miała pojęcia, co jego wizyta oznacza.

- Proszę o wodę - powiedziała.

Wstał i nalał do szklanki wody z dzbanka. Margaret wypila ją duszkiem.

- Cały kraj jest spragniony.

- Zdawało mi się, że powietrze jakoś inaczej pachniało. - Głową wskazała okno.

- Mówią, że dziś w nocy zacznie padać.

- Nigdy wcześniej nie czułam takiej tęsknoty za deszczem.

- Przed tym uczuciem nie ma ucieczki. Choć dla wielu już jest za późno.

- Dla rolników.

Potaknął.

Światła na korytarzu przygasły, znak, że w salach powinien zapaść mrok.

Rafiq wstał i zamknął drzwi. Zakonnice już sprawdziły temperaturę i Margaret modliła się, by nie postanowiły zajrzeć znowu.

- Muszę zgasić, bo przyjdą sprawdzić, czy mi czegoś nie trzeba. - Zapaliła lampę przy łóżku i poprosiła Rafiqą, by wyłączył główne światło.

Zdjął marynarkę i powiesił na krześle. Podwinął rękawy koszuli i usiadł znowu.

- Mam nowiny - szepnęła Margaret. - Odwiedzili mnie James i Adhiambo. Trzymali się za ręce.

Rafiq przekrzywił głowę.

- Mieszkają razem u Jamesa. Adhiambo spotkało wielkie szczęście i prosiła, żebym ci o tym powiedziała, bo uważa, że to nasza zasługa. Jakaś kobieta przeczytała twój artykuł i zobaczyła zdjęcie tkaniny. Odnalazła Adhiambo i zaproponowała jej pracę w Spółdzielni Kobiet.

- Znam tę organizację.

- Adhiambo robi tkaniny, a spółdzielnia je sprzedaje. Biorą za to trzydzieści procent. Nie mogę się doczekać, kiedy tam pójde i sprawdzę, jak

wyceniają prace Adhiambo. Ale najlepsza jest wiadomość, że wydostała się z tej nory. Zrobiliśmy dobry uczynek, Rafiq.

- Czasami dzieje się tak, kiedy najmniej się tego spodziewasz.

- Zastanawiałam się tylko nad małżeństwem Jamesa.

- James mówił, że żona odwiedza go raz na rok? Małżeństwo z rozsądku nie jest w mieście rzadkością.

Potaknęła.

- James jest mądry. Jakoś to rozwiąże.

Odwróciła wzrok do okna. Liście trzepotały, jakby zerwał się wiatr.

- Zastanawiasz się, dlaczego przyszedłem. -Tak.

- Nie mogłem nie zobaczyć się z tobą, kiedy usłyszałem, co się stało. Powtarzałem sobie, że to nie moja sprawa. I nie jest. Ale chciałem osobiście ci powiedzieć, jak bardzo ci współczuję.

Nie próbował jej przekonać, że dobrze się stało. Nie prześliznął się nad bólem do przyszłości, kiedy Margaret wciąż będzie młoda i może urodzić wiele dzieci. Nawet James i Adhiambo, choć powitała ich z radością, próbowali oderwać jej myśli od dziecka. Rafiq zawsze mówił prawdę.

Pogładził rękę Margaret i całe napięcie z jej ciała zaczęło znikać. Zastanawiała się, co oznacza to jego dotknięcie. A potem pomyślała, że może nic nie oznaczać. Zaczynała uczyć się żyć jak Masajowie. Jeśli coś jest, to jest. Jeśli nie ma, to nie ma.

Odprężenie zmieniło się w pragnienie głębsze od tęsknoty za deszczem.

- Nie wiem, co powiedzieć - szepnęła.

- Nic nie mów.

Znowu ją pogładził i ujął jej dłoń.

- Nie idź jeszcze - poprosiła. .. -Nie.

Mimo iż Margaret chciała rozmawiać dalej z Rafikiem, czuła, jak zaczyna odpływać w sen. Zakonnice dały jej środek uspokajający.

- Zostań, dopóki nie zasnę. Nie byłabym w stanie patrzeć, jak wychodzisz.

- Zgaszę lampę do czytania - uprzedził.

Potem pochylił się i lekko pocałował Margaret w usta.

Leżała w ciemności, bo lampy na korytarzu także wyłączono. W Afryce rzadko bywało przytłumione światło, zwłaszcza gdy niebo jak dzisiejszej nocy pokrywały chmury. Margaret usiłowała dostrzec twarz Rafiqa, ale widziała tylko jasną plamę jego koszuli, już zmieniał się w ducha. Trzymał ją za rękę. Wiedziała, że gdyby zakonnice ich przyłapały, powiedziałyby Patrickowi, ale nie dbała o to. Nie chciała tylko, by Rafiq odszedł.

Nocą, gdy Margaret spała, zaczęło padać. Obudziła się wcześniej, ogarnięta uczuciem niezwykłej ulgi. Usiadła i rozejrzała się. Nie było Rafiqa, nie było listu.

Przyszedł, ale już odszedł.

Woda z deszczów wsiąkała w ziemię, cały kraj świętował. Uśmiechali się wszyscy, nawet zakonnice. Chociaż obfite ulewy sprawiły, że drogi stały się nieprzejezdne, a ślady błota znaczyły każdą podłogę, ziemia wreszcie dostała długo wyczekiwany napój. Kiedy Margaret wyszła ze szpitala, powitały ją zielone pączki. Świat obmył się i znowu czuł się czysty.

Patrick okazywał jej troskliwość. Przez dwa tygodnie, kiedy Margaret nie czuła się na siłach wrócić do pracy, spędzał mniej czasu w szpitalu. Zostawał z nią w weekendy. Pozwalał, by była - tylko była - za co czuła wdzięczność. Usiłowała wypłynąć z dna basenu na powierzchnię. W niektóre dni jej się udawało, w inne, stracone, nie potrafiła się zmusić, by wstać z łóżka.

Później, gdy stracone dni były coraz rzadsze, Margaret zaczęła zaznaczać milowe słupy w swym życiu. Pierwszy porządny spacer. Odhaczone. Pierwszy wyjazd do miasta. Odhaczone. Pierwszy dzień w redakcji. Odhaczone. Pierwsza wizyta w klubie tenisowym. Odhaczone. Kiedy odważyła się odbić piłkę na korcie, a potem szybko zapragnęła rozegrać mecz, wiedziała, że fizycznie jej ciało wróciło do zdrowia. Patrick czekał na tę chwilę. Nie tylko wrócił do zwykłego rozkładu zajęć, ale kilka dni później chciał się kochać. Margaret nie była jeszcze na to gotowa, nie miała, jednak dobrej wymówki. Lekarz nie widział przeciwwskazań, a mąż o tym wiedział. I wszystko pewnie byłoby dobrze, gdyby Patrick, rozpinając jej bluzkę, nie zapytał:

- Na pewno wzięłaś pigułkę?

Przez moment była skonsternowana. O którą pigułkę mu chodzi? Przecież bierze ich mnóstwo.

- No wiesz, tę małą różową? Odsunęła się, by widzieć jego twarz.

- Uważasz, że przestałam je brać i dlatego zaszłam w ciążę?

- Cóż, żadne inne wyjaśnienie nie przychodzi mi do głowy.

- Myślisz, że specjalnie przestałam je brać?

- Nie, wcale nie - odparł, podpierając się na łokciu. - Chociaż czasami napomykałaś o dzieciach.

- Tylko raz, jak sobie przypominam.

- No tak. Może raz.

- Za każdym razem, kiedy będziemy się kochać, będziesz mi przypominał o pigułce?

- Nie - odrzekł, choć zanim się zreflektował, zdążyła zauważyć, jak przewrócił oczami.

- Możemy przenieść to na jutro? - zapytała.

- Więc teraz będziemy się umawiać?

Margaret pokręciła głową, czując głównie oszołomienie.

- Dobrze - powiedział Patrick. - Jutro.

Rano obudził ją z głębokiego snu. Na dworze wciąż było ciemno.

- Już jest jutro - szepnął jej do ucha.

Margaret realizowała zlecenia, które dawał jej Solomon, ale fotografia przestała być jej pasją. Wróciła do dawnego trybu „uśmiech i uścisk dłoni”, co tym razem wcale jej nie przeszkadzało. Za każdym razem, gdy wchodziła do redakcji, ogarniał ją niepokój. Momentalnie wiedziała, czy Rafiq już jest, czy niedługo się go spodziewają. Kiedy myśli o nim przebijały się do jej świadomości, odpędzała je. Poczucie drugiej straty, tej, której doznała na podłodze łazienki, nie chciało odejść i coraz silniej zakorzeniało się w jej brzuchu. Margaret nie potrafiła tego procesu powstrzymać.

Skoro nie potrafiła się odważyć na wyprawę w głąb Kenii, którą dopiero zaczynała poznawać, mogła przynajmniej grać w tenisa. Do klubu należeli

przedstawiciele różnych ras i nawiązała wiele nowych znajomości. Można tu było zjeść przyzwoity lunch, a wczesnym wieczorem, po ostatnich meczach, ci, którzy jeszcze nie poszli do domu, spotykali się w barze, lokalu skromnym, acz serwującym *bia baridi*, lodowato zimne piwo.

Klub tenisowy ze swymi zasadami i sukienkami na korcie stał się dla Margaret czymś w rodzaju drugiego domu. Nie wiązały się z nim żadne wspomnienia, poza tym Margaret coraz lepiej radziła sobie z tenisem, którego nie uprawiała od czasów liceum. Wzięła udział w turnieju i zdobyła dobre miejsce. Ponieważ turniej trwał cały dzień, po ostatnim meczu urządzono przyjęcie. Margaret miała jak najlepszy nastrój i świetnie się bawiła. Patrick spoglądał na nią z uśmiechem. W takich chwilach myślała, że mąż jest przekonany, iż w pełni odzyskała zdrowie psychiczne i fizyczne.

Pewnego wieczoru, kiedy siedzieli z Patrickiem przy kolacji, zadzwonił telefon. Telefony zawsze musiał odbierać Patrick, nawet jeśli pora nie była odpowiednia. Z tonu jego głosu Margaret wywnioskowała, że nie rozmawia z przyjacielem ani z kolegą, tylko z osobą, z którą łączy go bardziej oficjalne relacje.

- To Lily - powiedział, kładąc dłoń na mikrofonie. - Mam ją poprosić, żeby zadzwoniła później?

- Nie, odbiorę. - Margaret wstała od stołu.

Patrick podał jej słuchawkę i wrócił do jedzenia.

- Słucham, Lily.

- Margaret, straszne tu zamieszanie. Pan Obok został zatrzymany. Pan Rafiq ma być deportowany.

-Co?

- Jutro jesteś nam potrzebna z samego rana. Margaret wiedziała, że musi zachować rzeczowy i neutralny ton, choć ledwo mogła oddychać.

- Dlaczego? - zapytała.

- Pan Solomon i pan Rafiq są oskarżeni o zniesławienie urzędników państwowych. Pracowali nad artykułem o masowym grobie, w którym pochowano zastrzelonych studentów.

Więc to jednak nie była płotka, pomyślała Margaret.

- Oczywiście, że wam pomogę. Mówiłaś o lotnisku?

W słuchawce zapadło krótkie milczenie, w czasie którego Lily próbowała rozwikłać sens tego niemającego związku z rozmową pytania.

- Tak, właśnie tam w tej chwili przewożą pana Rafiqą. Nie pozwolili mu nawet pójść do domu po rzeczy.

- Och, Lily.

- Więc przyjdiesz?

- Tak, oczywiście.

Odłożyła słuchawkę na widełki. Musi wymyślić jakiś wia-i^godny pretekst do wyjścia z domu.

Kiedy odwróciła się do Patricka, była spokojna.

- Obok ma dla mnie zlecenie. To nie może czekać - powiedziała.

- Teraz? - zapytał z niedowierzaniem Patrick. Margaret prawie nigdy nie pracowała wieczorami.

- Tak. Przez cały dzień chciał złapać pakistańskiego dyplomate, żeby go sfotografować, ale tamten był zbyt zajęty. Przed chwilą jego asystent zadzwonił do Solomona i powiedział, że jeśli sprowadzi fotografa na lotnisko, będzie miał zdjęcie.

- Zawiozę cię.

- Nie - odparła Margaret. - Dam sobie radę. Jedno z nas musi zjeść tego wyśmienitego kurczaka, którego przyrządziłeś. - Wzięła z komody aparat. - Zostaw mi trochę. Niedługo wracam. Teraz muszę już lecieć.

Patrick, który wyglądał tak, jakby próbował tłumaczyć sobie jej słowa z obcego języka na angielski, milczał. Margaret wyszła.

Denerwowała ją konieczność szybkiego dotarcia na lotnisko. Zjeżdżając windą, w myślach powtarzała sobie trasę. Pomachała do nocnego portiera George'a, pobiegła do samochodu i szybko odjechała. Uzmysłowała sobie, że nigdy nie słyszała, żeby policja w Kenii zatrzymywała pędzących kierowców. Poza tym wiedziała, że nawet gdyby ktoś próbował, nie zatrzymałaby się. Najprawdopodobniej byłby to podstęp złodziei, którzy chcieliby ukraść samochód albo coś gorszego. Kiedy skrzyła na drogę prowadzącą na lotnisko, usiłowała sobie wyobrazić, co ją czeka u kresu tej jazdy.

Pomyślała, że zrobi to, co zamierzała, i będzie miała nadzieję, że się uda.

Zaparkowała przed terminalem międzynarodowym. Wsiadła szybko i przewiesiła aparat przez ramię. Przeszedłszy przez podwójne drzwi, zwolniła kroku. Najbardziej swobodnym głosem, na jaki mogła się zdobyć, zapytała wojskowego koło wejścia, gdzie jest odprawa paszportowa. Żołnierz ruchem ręki wskazał kierunek. Margaret z kluczykami w dłoni ruszyła energicznym krokiem. Musiała dokładać starań, by nie biec.

W hali odpraw miała wrażenie, że atakuje ją tłum. Jedni żegnali bliskich, drudzy po prostu czekali, jeszcze inni spali na prowizorycznych posłaniach. Afrykańczycy, Chińczycy, Francuzi, Hindusi, Amerykanie i Arabowie czekali, aż numer ich rejsu wyświetli się na tablicy. Margaret rozglądała się za Rafikiem, ale nigdzie nie widziała nikogo, kto by go przypominał. Zaczęła w duchu panikować, że przyjechała za późno. Wędrowała, metodycznie szukając w tłumie wysokiego czarnowłosego mężczyzny. Wreszcie była pewna, że obejrzała każdą osobę w hali. - Pod ścianą znalazła plastikowe krzesło. Nie potrafiła się zmusić, by wstać i wyjść z terminalu. Przyglądała się każdemu mijającemu ją mężczyźnie.

Rafiq deportowany? Dokąd? Przecież nie do Ugandy. Pojedzie do Londynu, gdzie ma tylu kuzynów? A jeśli tak, czy kiedyś wróci? Czy deportowany ma prawo powrotu? Czy Margaret po raz ostatni widziała go w szpitalu? A potem nagle pomyślała o Solomonie. Co obaj z Rafikiem odkryli? Jak ich złapano? Gdzie jest teraz Obok?

Trzej mężczyźni zbliżali się do hali odpraw. Margaret wstała. Rafiq szedł między dwoma uzbrojonymi żandarmami. Był bez bagażu, krawat miał rozluźniony, zza paska wystawała poła koszuli. Kiedy spojrzał na Margaret, ruszyła ku niemu, ale zaraz się zatrzymała, bo niemal niedostrzegalnie pokręcił głową. Patrzył prosto przed siebie. Przechodząc tuż obok Margaret, rzucił jej pospieszne spojrzenie i bezgłośnie szepnął: „Solomon”. Potaknęła. Boleśnie pragnęła coś mu powiedzieć, ale już się od niej oddalał.

Patrzyła w odrętwieniu, jak wszyscy trzej idą przez tłum. Po chwili zniknęli za drzwiami.

Wróciła na krzesło i długo siedziała w absolutnym bezruchu. Oddychała wolno i płytko, usiłując odzyskać panowanie nad sobą. Przelotne spotkanie

z Rafikiem i jego zniknięcie - oba te wydarzenia nastąpiły tak szybko, że miała wrażenie, jakby ktoś wymierzył jej potężny cios. Utkwiła wzrok w płytkach podłogi. Nic nie słyszała. Widziała wyłącznie Rafiqą. Jego przesłanie było jasne: Zrób coś dla Solomona.

Ujęła głowę w dłonie. Odkąd przyjechała do Kenii, padła ofiarą kradzieży, przyczyniła się do śmierci kobiety, została uratowana przed śmiertelnym ukąszeniem węża, uświadomiła sobie miłość, kiedy ta już się zakończyła, i straciła dziecko. Teraz poproszono ją, by zrobiła coś dla człowieka, którego życie było w niebezpieczeństwie. Musiała patrzeć, jak ukochany mężczyzna znika za drzwiami i z jej życia.

Kiedy poczuła, że już może utrzymać się na nogach, poszła przez rozległe hale do wejścia, przy którym zostawiła samochód. Skinęła głową żołnierzowi przed drzwiami. Za progiem zobaczyła, że koło jej samochodu stoi drugi żołnierz i zagląda do środka.

O Boże, pomyślała z obawą.

Podeszła do drzwi od strony kierowcy, dobrze wiedząc, że nie uniknie konfrontacji.

- To pani samochód, miss?

-Tak.

- Zostawianie pojazdów tutaj jest niezgodne z prawem.

- Wpadłam tylko na chwilę, żeby pożegnać znajomego. Już wróciłam. Wsiadam i zaraz odjadę.

- Muszę udzielić pani nagany za popełnienie poważnego wykroczenia.

Margaret milczała.

- Jak się pani nazywa?

Margaret podała swoje personalia.

- Musimy przeszukać pani samochód. - Gestem wezwał żołnierza stojącego tuż za drzwiami.

- Dlaczego? - zapytała Margaret.

Żaden z wojskowych jej nie odpowiedział. Przebywała w tym kraju dostatecznie długo, by nie protestować, chociaż zjeżyła się, gdy kazali jej się cofnąć, a jeden z mężczyzn stanął obok niej. Drugi poprosił o kluczyki; rzuciła mu je. Znalazł w środku marynarkę Patricka i pustą butelkę po fan-

cie z martwą muchą w środku, a na podłodze okruchy i opakowania po ciasteczkach. W bagażniku był stary przeciwdeszczowy płaszcz Margaret, którego od dawna szukała. Poleciał, by oddała mu aparat, co uczyniła z ociąganiem. Kiedy wyszarpnął ze środka film, wzdrygnęła się, jakby ktoś zerwał opatrunek z jej skóry.

Żandarm zamknął drzwi i bagażnik, po czym zwrócił Margaret kluczyki.

- Mogę prosić o pani paszport?

- Zostawiłam w domu - odparła z niepokojem. Dokąd to wszystko zaprowadzi?

- Ma pani jakiś inny dowód tożsamości?

Margaret zastanowiła się szybko. Samochód zarejestrowany był na Patricka. W kieszonce futerału trzymała czek na sytuacje kryzysowe, na którym widniało jej nazwisko, gdyby jednak pokazała go żandarmowi, mógłby to zinterpretować jako próbę przekupstwa.

- Czy mogę sprawdzić w płaszczu? Żandarm kiwnął głową.

Otworzyła bagażnik i zaczęła grzebać w kieszeniach płaszcza. Wyciągnęła dziesięcioszylingowy banknot, paragon ze sklepu spożywczego, notatkę ze wskazówkami, którą kiedyś sporządziła, i pasek z wypłatą. Przez moment zmagiała się z dylematem, czy może pokazać pasek, skoro nie ma pozwolenia na pracę, ale poza nim niczego nie znalazła.

Wręczyła pasek żandarmowi. Przestudiował go uważnie i spojrzał na Margaret.

- Czym się pani tam zajmuje?

- Czasami sprzedaję fotografie, ale wyłącznie jako wolny strzelec.

- Kiedy kończy się ważność pani wizy?

- W maju - odparła, choć była to całkowita nieprawda. Nie orientowała się w ważności wizy, odnawianiem zajmował się Patrick.

Żandarm oddał jej pasek i machnięciem dłoni dał znak, że może jechać.

Kiedy Margaret otworzyła drzwi mieszkania, Patrick podniósł się z brzydkiej zielonej sofy.

- Gdzieś ty była, do diabła?

- Która godzina?

- Dochodzi pierwsza.

Oparła dłonie o krzesło, by przestały się trząść, i - Zatrzymano mnie - powiedziała.

- Kto cię zatrzymał?

- Żołnierze na lotnisku. Zaparkowałam w niedozwolonym Miejscu i kiedy wróciłam do samochodu, przesłuchali mnie. -O co pytali?

- O wszystko. Przeszukali samochód.

- Chryste, Margaret, musiałaś śmiertelnie się wystraszyć!

- Byłam zdenerwowana. Spociłam się jak mysz.

- Masz szczęście, że cię puścili.

- Chyba tak. - Margaret wcale nie czuła, że miała szczęście. Wiedziała, że nie zniosłaby, gdyby Patrick do niej podszedł.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, na jakiej podstawie mogliby mnie aresztować - powiedziała, idąc do łazienki. - Teraz najbardziej potrzebuję gorącej kąpieli, a potem długiego, porządnego snu.

- Nie będziesz nic jadła?

- Nie, zjem już jutro.

W łazience odkręciła kurki i patrzyła, jak woda wolno napełnia wannę. Uklękła i położyła głowę na krawędzi. Patrick krzątał się po salonie, a potem poszedł do sypialni. Słyszała jego kroki, pasek spadający na podłogę.

Mąż oddalony był od niej o kilka metrów, a mimo to popędziła na lotnisko, by po raz ostatni spojrzeć na innego mężczyznę. Wiedziała, że nigdy więcej go nie zobaczy. Co stanie się z Rafikiem? Co stanie się z nią?

Kiedy nazajutrz rano Margaret weszła do redakcji, Lily siedziała jak sparaliżowana za biurkiem. Pokazała wzrokiem uzbrojonych policjantów, którzy stali trzy metry od niej.

- Musisz wracać do domu - powiedziała cicho. - Nie potrzebujemy cię.

- Co się dzieje? - zapytała Margaret.

- Aresztują jeszcze jednego dziennikarza.

- Ale ja na pewno jestem bezpieczna.

- Wcale nie. Jak przeszukają biurko Rafiq'a, znajdą twoje fotografie. Nie masz pozwolenia na pracę. Musisz iść do domu. Nie możesz nic robić, dopóki cię nie wezwą. Może wcale cię nie wezwą.

- Mój Boże - powiedziała Margaret.

- Teraz już musisz iść - nalegała Lily.

- Czy ktoś próbuje pomóc Solomonowi? Lily nachyliła się ku niej.

- Tak, ale on ma poważne kłopoty.

Po południu z konkurencyjnego dziennika Margaret dowiedziała się, że Oboka wtrącono do więzienia bez prawa do procesu i że przypuszczalnie trzymają go w ziemiance niedaleko Gilgil. Rafiq Hameed został deportowany do Londynu. Oboka oskarżono o zdradę, przestępstwo karane śmiercią. Hameedowi nie postawiono żadnych zarzutów, ale skonfiskowano mu paszport i wszystkie materiały.

Kiedy rano opuściła redakcję, mogła tylko chodzić po ulicach. Minęła sklep, gdzie kiedyś podziwiała złoty imbryk, i restaurację, w której jadła na lunch samosy. Przeszła obok Woolwortha, gdzie wciąż można było kupić miksery. Żebraczki z dziećmi nie było. Margaret ze strachem szukała ich na całej Kimathi Street, ale na próżno. Czy zabrano ją do schroniska? Aresztowano? Wróciła do slumsów? Margaret myślała też o chłopcach parkingowych, którzy kiedyś jej grozili. Co się z nimi stało?

Przede wszystkim jednak rozmyślała o Solomonie i Rafi-qu. Po powrocie do domu zamierzała napisać listy ukazujące światu trudne położenie Oboka, a także pomóc w naciskach na rząd, by go uwolniono. Ale Rafiq? W jego sprawie nic nie mogła zrobić. Przypuszczalnie w Londynie będzie szczęśliwszy. To, że jego ostatnie słowo do niej dotyczyło Solomona, uważała za właściwe, choć i niepokojące. Gdyby tylko mieli trochę więcej czasu.

Kiedy wieczorem Margaret wróciła do domu, na stole przed Patrickiem leżał „The Evening Standard”.

- Co o tym wiesz? - zapytał, dźgając palcem fotografię Solomona.

- Dowiedziałam się o tym, jak rano przyszedłam do redakcji. Patrick obszedł stół i oparł się o blat, krzyżując ręce na piersiach.

- Wczoraj wieczorem wezwano cię z redakcji, żebyś sfotografowała pakistańskiego dyplomatę.

-Tak.

- Ale wtedy Oboka już aresztowano.

- Tak przypuszczam.

- Wczoraj nie wspomniałaś o tym. Margaret odłożyła aparat na komodę.

- Dowiedziałam się dopiero dzisiaj rano - powtórzyła.

- Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

- Możesz wierzyć, w co chcesz.

- I jeszcze jedno rzuciło mi się w oczy w „Iribune” - powiedział, podnosząc gazetę.

- Co takiego?

- Nie ma tu żadnej fotografii pakistańskiego dyplomaty.

- Rano zaniósłam film do redakcji. Zdjęcie nie było przeznaczone do dzisiejszego numeru.

- Napisano, że twój przyjaciel Rafiq Hameed został deportowany.

-Tak.

- I jak się z tym czujesz?

- Jak się z tym czuję? - zapytała z niedowierzaniem. - Czuję się okropnie.

- Co robiłaś przez cały dzień?

- Wiesz co, Patrick? Mam po dziurki w nosie tego przesłuchiwanie za każdym razem, kiedy wracam do domu. Odpowiem ci na to jedno pytanie, na żadne inne nie. Skoro chcesz wiedzieć, co przez cały dzień robiłam, powiem ci. Chodziłam po ulicach. Wyrzucono mnie z pracy i miałam sporo do przemyślenia.

Patrick długo przyglądał się jej twarzy, która nie wyrażała żadnych emocji.

- Może czas najwyższy, żebyś wróciła do domu - powiedział wreszcie.

Część trzecia

TLR

Stojąc w szlafroku, Margaret przyglądała się zapuszczonemu ogrodowi, oparta biodrem o parapet. Liście połyskiwały, deszcz padał nieustannie. Wciąż potrafiła dostrzec plan pierwotnego ogrodu, diamentowy wzór wpisane w kwadrat okręgu. Ile minęło miesięcy, a może lat, odkąd ogrodnik gracował alejki, przerywał bugenwille, obcinał zeschnięte lilie? Ponad gąszczem wznosiły się długie i grube łodygi róż z drżącymi pojedynczymi kwiatami barwy kości słoniowej. Winorośl niemal całkowicie przykryła kępy żółtych kwiatów. Margaret wypatrzyła w kącie coś, co mogło być posągami, choć dostrzegała wyłącznie jakieś kamienne lub betonowe fragmenty.

Gdyby miała dość energii i odwagi, zaproponowałaby sikhowi przywrócenie ogrodowi dawnej świetności. Potrzebowałaby pomocy kogoś silniejszego i dysponującego dobrymi narzędziami do przycinania grubych konarów, ale przed postawieniem stopy w alejce powstrzymywał ją strach przed węzami. Kwitnące rośliny i warstwy liści wydawały się idealnym miejscem dla gadów. Mimo to Margaret podziwiała chaos ogrodu i przedkładała go ponad wypielęgnowane ogrody w Karen i Langacie. Przynajmniej ten smutny skrawek splątanej roślinności był autentyczny. Ile czasu minie, nim kwiaty całkiem znikną pod pnączami? Czy winorośl wedrze się pod dom, zniszczy fundamenty? Czy bugenwille zaczną wspinać się po ścianach, przebijać okna?

Od wczesnego poranka Patrick pracował w gabinecie. Margaret знаła jego rozkład dnia lepiej, niż potrafiła przewidzieć własny. W weekendy wstawał o siódmej, mył twarz szpitalnym mydłem, parzył kawę i jadł miskę płatków. Drugą filiżankę wypijał do grzanki z marmoladą ananasową w gabinecie, gdzie siedział godzinami. Dzisiaj wyjdzie tak, by oboje zdążyli na niedzielny lunch do innego lekarza i jego żony, którzy niedawno przyjechali z Londynu. Niedzielny lunch wciąż był zwyczajem rygorystycznie przestrzegany przez Brytyjczyków, bardziej uświęconym, myślała Margaret, niż chodzenie do kościoła. Zaproponowała, że upiecze sernik z brzoskwiniami, ale nie była w stanie zebrać dość energii, by poszukać formy, nie wspominając już o przesianiu mąki.

Na myśl o sitku przypomniała sobie matkę i serce jej się ścisnęło. Wyjechali rok i dwa miesiące temu, a chociaż rodzice przysyłali taśmy, dzwonili na Boże Narodzenie i pisali co najmniej jeden list tygodniowo, Margaret boleśnie pragnęła znowu się z nimi zobaczyć. Wprawdzie wspominali o odwiedzeniu jej i Patricka, ale w gruncie rzeczy podróż do Afryki znajdowała się poza ich finansowymi możliwościami. Najtańszym rozwiązaniem byłoby, gdyby to Margaret poleciała do Stanów, ale wtedy jej bliscy straciliby szansę na zwiedzenie Kenii, a to wydawało się jej niemal tak samo ważne jak rodzinne spotkanie.

Naczynia zapełniały zlew i czerwony blat, na stole wciąż pozostały nakrycia po wczorajszej kolacji. Poliestrowy szlafrok Margaret był przybrudzony. Jej weekendowy bezwład zaczynał przypominać paraliż. Kiedy Patrick wyjdzie z gabinetu i zobaczy bałagan, będzie zły. Oczekiwał, że skoro on pracuje, Margaret może wykonać przypadające na nią drobne w końcu obowiązki. Przyjrzała się beżowym mankietom białego szlafroka. Będzie musiała pojechać do pralni. Nosila ubrania przez dwa, trzy dni, by odwlec w czasie nieuniknione.

Od tygodni pisała listy do senatorów i kongresmanów w kraju, do przyjaciół, których podejrzewała o polityczne koneksje, do Amnesty International, do „New York Timesa”, nawet do swojej dawnej gazety. Pisała, że Solomon Obok został uwięziony i jest przetrzymywany w strasznych warunkach w ziemiance w jednym z najbardziej przerażających miejsc w Kenii.

Z tego, co potrafiła wyczytać między wierszami w innych kenijskich gazetach, odebrano mu prawo odwiedzin, zakazano także książek. Zastanawiała się, na czym śpi i gdzie spożywa posiłki, ziemianka za bardzo kojarzyła jej się z grobem.

Każdy kolejny artykuł podawał inne miejsce uwięzienia Oboka, niewykluczone zresztą, że władze specjalnie co kilka dni go przenosiły, by zniweczyć wszelkie nadzieje na ratunek. Po pierwszej relacji w „The Evening Standard” nie pojawiły się żadne wzmianki o tym, że Solomon pracował nad materiałem o masowym grobie, w którym pochowano pięćdziesięciu zamordowanych studentów. Na razie nikomu nie postawiono zarzutów.

Redaktorem naczelnym „Kenya Morning Tribune” został człowiek z plemienia Kikuju. Po tej nominacji rozpoczęły się masowe zwolnienia pracowników z plemienia Luo, w tym także Lily. Margaret myślała, że był to rodzaj cichego przejęcia. Rządząca partia kontrolowała teraz wszystkie środki masowego przekazu i dzięki temu mogła narodowi prezentować własny obraz Kenii.

Zdaniem Margaret było to równie skuteczne jak zamach stanu.

Dotąd nikt z redakcji nie zwrócił się do niej z żadną propozycją i szczerze wątpiła, by kiedykolwiek poproszono ją o zrobienie zdjęcia. Nie powiedziała Patrickowi o listach, chociaż lada dzień spodziewała się odpowiedzi. Kiedy mąż zobaczy adresy nadawców, na pewno zacznie ją wypytywać. Czy Patrick ośmieli się otworzyć kopertę? Niewykluczone. Wyjaśni, że martwił się o jej bezpieczeństwo, i to będzie prawda, choć jednocześnie troszczył się o siebie. A co najważniejsze, będzie się niepokoił, czy zdoła doprowadzić do końca swoje badania.

Tamtej strasznej nocy, kiedy Margaret po utracie pracy przez cały dzień wędrowała po Nairobi, Patrick powiedział, że pora, by wrócili do domu. Nigdy więcej o tym nie wspominał. Margaret myślała, że w rzeczywistości chodziło mu o to, że wrócić powinna ona, a on później do niej przyjedzie. Kto wie, ile czasu upłynęłoby, nim zdecydowałyby się opuścić Kenię? Pewnego razu przy kolacji napomknął o wyjeździe do Afryki Południowej na konferencję, ale później o tym już nie mówił.

Kiedy Margaret odsunęła od siebie te powierzchowne troski, pojęła, iż w istocie wciąż oplakuje swój pobyt w szpitalu, który sam w sobie był okresem żałoby. Pragnęła wspominać ostatnią wizytę Rafiqa - przytłumione światła, jego dłoń gładząca jej rękę, jej przeplatające się pragnienie deszczu i tego mężczyzny - bo się bała, że jeśli przestanie o tym myśleć, wspomnienie zblaknie i zniknie. Zostanie deportowane jak Rafiq.

Nie miała od niego wiadomości. Nie sądziła, by kiedykolwiek jeszcze o nim usłyszała.

Zbliżała się rocznica wspinaczki. Czasami Margaret myślała, że zmienne nastroje Patricka i jego rosnące rozdrażnienie można przypisać tamtemu zdarzeniu, o którym żadne z nich nigdy nie wspominało.

Znowu zwróciła wzrok na ogród. Chaos na powierzchni zwodził, ukrywał tkwiące głębiej nieustępliwe korzenie. Czy z małżeństwem nie jest podobnie? Gdyby jej i Patrickowi udało się wyplenić dzikie pędy winorośli, może znowu byłoby między nimi jak dawniej? Znowu staliby się parą, która wzajemnie się kocha i zamierza razem spędzić życie? Uzmysłowała sobie, że od dnia ślubu częściej towarzyszą im kłopoty niż poczucie szczęścia.

Patrick otworzył drzwi gabinetu, balansując szklanką, filiżanką i talerzem. Przystanął, wodząc spojrzeniem po zlewie, stole i Margaret w szlafroku. Wiedziała, że tak zrobi. Zamiast jednak trzasnąć naczyniami, postawił je spokojnie na stole i usiadł koło Margaret przy oknie.

Ujął jej dłoń.

- Co się dzieje? - zapytał. Pokręciła głową.

- Proszę, Margaret. Powiedz, co się dzieje.

Nie mogła mu powiedzieć prawdy, nie kończąc ich związku tu i teraz.

- Przykro mi, Patrick. Nie wiem, co się dzieje. Chyba wciąż chodzi o dziecko. Przede wszystkim jednak martwię się o nas.

- Tak. Ja też.

- Nie mam pracy, więc się zastanawiam, dlaczego tu jestem, co powinnam robić. Pisałam listy do kongresmanów, senatorów i różnych organizacji w sprawie Solomona Oboka.

- Wiem. W szpitalu jest korespondencja do ciebie. Zapomniałem ją zabrać w piątek.

- Zapomniałeś?

- Może.

Margaret uważnie przyglądała się mężowi.

- Nie byłeś zły?

- Na początku tak, ale potem zrozumiałem. Pisałaś te listy, bo jak inaczej mogłabyś pomóc Obokowi?

- Otworzyłeś je?

- Nie. Jeśli chcesz, pojedę po nie.

Czarne włosy po nocy wciąż miał przyklepane z jednej strony. Jasnoniebieskie oczy były lekko zaczerwienione od długiego czytania.

- Dostałem list od mamy - powiedział. - Napisałem do niej, ponieważ nie mogłem zrozumieć, co się z tobą dzieje. Poradziła, żebym dał ci czas, że dojdzie do siebie po utracie ciąży, choćby i bardzo krótkiej, nie jest takie proste.

Usiadła na krześle naprzeciwko męża.

- To był straszny okres - dodał Patrick. - Przepraszam. Margaret uświadomiła sobie, że trzyma dłonie na brzuchu, chroniąc to, czego już w nim nie ma.

- Przynieść ci kawy? - zapytał Patrick. - Wody.

Słyszała trzask otwieranych drzwiczek i szmer wody. Wzięła od Patricka szklankę i napiła się. Stał za nią i zaczął masować jej plecy. Margaret pomyślała, że jej mąż był tak dezorientowany, iż zdecydował się zwrócić do matki o radę. Kiedy ujęła go za rękę, znowu usiadł naprzeciwko. Krzesła stanowiły komplet: niebiesko-kremowe pasy, wytworny kształt.

- Prawdziwym problemem jest tamta wspinaczka, prawda? Zdziwiła się, że Patrick odważył się o tym wspomnieć.

- Zbliża się rocznica.

- Więc ty też o tym myślałaś.

- Myślałam. Minął prawie rok, a przez cały ten czas między nami nie było dobrze.

Patrick spuścił głowę, oparł brodę na dłoni. Będą musieli o tym porozmawiać, czy tego chce, czy nie.

Przekrzywił głowę na bok, jakby wpadł na jakiś pomysł. Czekala.

- Wiesz, co powinniśmy zrobić? - powiedział. - Jeszcze raz wejść na tę górę i dotrzeć na sam szczyt. - Zastanawiał się chwilę. - Może to jedyny sposób na definitywne zostawienie tej sprawy za sobą.

Margaret obserwowała, jak Patrick patrzył na parapet, na czerwony blat. Założył ręce na piersiach. Wiedziała, że mąż analizuje i ogląda swój pomysł ze wszystkich stron. Musiała go powstrzymać, zanim podejmie decyzję.

- Patrick.

- Wiesz - przerwał jej - wiesz, to może wcale nie jest najgorszy pomysł.

- Wejście na Kenię to ostatnia rzecz, na jakiej mi zależy.

- Zastanówmy się przez chwilę. - Gwałtownie machnął dłonią. - Mamy dwie możliwości. Albo pójdziemy tylko my, naturalnie z przewodnikiem i tragarzami, albo poprosimy kogoś, kogo dobrze znamy i lubimy, komu ufamy. - Wstał, kładąc rękę na czole. - Uważam, że jesteś w o wiele lepszej kondycji niż wtedy. Choćby dzięki tenisowi. Możemy to zrobić, przejść przez lodowiec, dostać się na szczyt. Zrobimy to! Zrobimy i będziemy mogli wymazać...

- Dianę?

- Nie, nie Dianę. Nie o to mi chodzi. Będziemy mogli przezwyciężyć to chorobliwe uczucie, które towarzyszy nam od tamtej wyprawy. Tę śmiertelną ciszę. Ten niszczący brak zaufania. Przejdziemy razem całą tę drogę. Ani na chwilę nie zostaniesz sama, Margaret. Zrobimy to jako para.

- Posłuchaj. - Margaret wyciągnęła przed siebie dłonie. - Nienawidziłam wchodzenia na Kenię. Nienawidziłam każdej spędzonej tam minuty. Wspinaczka sprawiała mi fizyczny ból, nie wspominając już o reszcie.

Ale Patrick nie dawał się zniechęcić.

- To dlatego, że narzuciliśmy ci tempo, na jakie nie byłaś gotowa. Zostawiliśmy cię samą. Zachowałem się jak dupek, Margaret, przyznaję. Nie powinienem był odstępować cię ani na krok, nie powinienem był pozwolić, żeby Arthur zbliżył się do ciebie na odległość mniejszą niż trzy metry. Jeśli tak na to spojrzeć, ponoszę całkowitą winę.

Margaret zgarbiła się i mocniej związała szlafrok. Podeszła do zlewu, by nalać sobie drugą szklanekę wody. Napiała się i spojrzała na męża. Na jego twarzy każda nowa myśl odbijała się mrugnięciem, skrzywieniem ust. Potarł dłonią kark.

- Mówię poważnie, Margaret. Ustalmy, że pójdziemy za miesiąc od dzisiaj. To będzie początek pory suchej. Zyskasz - ja też - miesiąc na przygotowania. Teraz wiemy o wiele więcej. Kupimy lepsze kurtki, a jeśli się pośpieszymy, może zdążą nam je przysłać ze Stanów. W każdy weekend będziemy chodzić po Ngong Hills. Wiem, że jesteś w lepszej formie. Spędzi-

łaś tu ponad rok, płuca masz silniejsze. Zostaniemy na kilka dni w Naro Moru, żeby mieć pewność, że dobrze się zaaklimatyzowaliśmy.

- Ludzie pomyślą, że zwariowaliśmy - powiedziała. - Że to brak szacunku.

- Co pomyślą? Kto pomyśli? Przecież nikt poza nami o tym nie wie. Przez cały czas będziemy tylko my, Afrykańczycy i góra. Będziemy sobie pomagać, Margaret. Naprawdę wierzę, że musimy to zrobić. Żeby przełamać... - Potrząsnął głową, w końcu zabrakło mu słów.

Lodowy zator, pomyślała Margaret. Nie widziała męża tak ożywionego od czasu, kiedy przygotowywali się do wylotu do Kenii. Krążył teraz po pokoju, układając szczegółowy plan.

Zastanowiła się. Serce jej się ścisnęło na wspomnienie trzęsawiska, piaragu, szcurów. I tych ponurych czarnych chmur na niebie. A może potrzebuje wysiłku fizycznego, by oczyścić umysł? Tak wyczerpujące zadanie wymazałoby wszystko, co było wcześniej. Przypomniała sobie, jak w czasie wspinaczki trudno było myśleć o czymkolwiek innym. Już to byłoby dobre. Na lodowcu mogą wspominać Dianę. A potem pójdą dalej, dotrą na szczyt. Pomysł, choć początkowo wydawał się zwariowany, zaczynał ją pociągać.

Mimo to pokręciła głową. Nie, to szaleństwo. Jeśli nie potrafi się zebrać, by pozmywać naczynia, skąd weźmie siły do wspinaczki na górę, w dodatku bardzo trudną? Przełożyła włosy na kołnierz szlafroka. W pokoju robiło się gorąco i pomyślała, że trzeba włączyć wentylator.

- Moim zdaniem potrzebny nam jest wspólny cel, którego realizacja łączy partnerów - powiedział Patrick.

Rzucił rękawicę. Zgoda na wspinaczkę oznacza zgodę na małżeństwo. Odmowa będzie równoważna z przyznaniem, że wszystko skończone, nic nie da się zrobić. A potem w ciągu kilku tygodni Patrick ją opuści. Wyjedzie do Afryki Południowej pod pretekstem konferencji. Do Chin albo do Indii. Margaret natomiast wróci do domu. Sama.

Czy ma prawo odebrać ich małżeństwu tę jedyną szansę?

Położyła dłonie na blacie i pochyliła głowę. Odwróciła się do męża.

- Jak myślisz? - zapytał ponownie. Z twarzą rozjaśnioną nadzieją wyglądał jak chłopiec. W ciągu minuty czy dwóch przeszedł od udrezonego zdziwienia do optymizmu.

- W porządku - odrzekła.

Usiadł, jakby jej nie wierzył. Przypuszczalnie przygotował się na dłuższą kampanię.

- Ojej. Naprawdę się zgadzasz?

- Naprawdę.

- Będzie wspaniale, przyrzekam. - Uśmiechał się, rozpościerając szeroko ręce.

- Wierzę ci - powiedziała Margaret.

Everdene i Kevin Winterowie okazali się idealnymi towarzyszami.

Siedzieli we czworo pod dzakarandą, której czerwone płatki wolno opadały na patio. Everdene przygotowała piknik, Kevin pilnował, by w kieliszkach nie brakowało wina. Margaret przeprosiła za sernik, którego nie przyniosła, ale Everdene z uśmiechem odpowiedziała, że jej i Kevinowi kalorie są niepotrzebne.

Ogród jest cudowny, pomyślała Margaret. Zaprojektowano go z myślą o zbiorach, dlatego bardziej przypominał sad. Pomiedzy prostymi rzędami drzew owocowych trawa była krótko przycięta, jakby pasły się na niej owce. Na końcu trawnika płynął czysty strumyk. Przy stole słychać było grzechotanie poruszanych wodą kamyków.

- Macie tu prawdziwy raj - powiedziała Margaret.

- Poprzedni właściciele hodowali owce - uśmiechnął się Kevin.

- A wy je hodujecie? Everdene wybuchnęła śmiechem.

- Nie, mamy tylko złudzenie owiec.

- O wiele mniej roboty - skomentował Patrick.

Kevin oprowadził ich po kamiennym domu w Muthaiga. Budynek niegdyś był męskim klubem, co wyjaśniało wspaniałe sale na parterze i wiele małych pokoi na piętrze. Tu był bar, mówił Kevin, a tu palarnia. Pokazał dawną bibliotekę i główny hol.

- Tu stało biurko recepcjonisty, a tam znajdowało się małe pomieszczenie dla portierów. Sypialnie są małe, mieści się w nich pojedyncze łóżko. Pierwsi osadnicy przyjeżdżali tu na przyjęcia albo kiedy chcieli odpocząć od żon. Droga z Karen była długa w czasach, gdy podróżowano konno. Je-

śli wybierali się tu na kolację, zostawali pewnie na dwa, trzy dni. Zburzyliśmy ścianę na piętrze, żeby pomieścić w sypialni podwójne łóżko i komodę. Dziwne, ale para, która tu przed nami mieszkała, nie pomyślała o tym. Często zastanawiamy się nad ich małżeństwem.

Patrick uśmiechnął się lekko.

Chociaż Kevin był młody, Margaret myślała, że życie ukształtowało już jego twarz na zawsze. Ciągłe mrużył oczy.

Everdene była urocza, Margaret czasami spotykała podobne do niej spokojne i inteligentne kobiety. Jasnobrązowe włosy spadały jej do ramion, czoło przysłaniała grzywka. Nosila wielkie okulary przeciwsłoneczne. Patrick powiedział jej wcześniej, że Kevin specjalizuje się w chorobach kości, a Everdene, która ma doktorat z ekonomii, wykłada na uniwersytecie. Do Kenii przyjechali cztery miesiące temu i nie mieli w sobie ani śladu cynizmu, tak charakterystycznego dla wielu cudzoziemców, których spotykali Patrick i Margaret.

Margaret podwinęła żółtą sukienkę nad kolana i wyciągnęła się wygodnie na płóciennym pasiastym leżaku. Everdene podała talerz z serami i owocami, Kevin dolewał im białego wina, które wciąż jakimś cudem pozostało lodowato zimne. Smakowało jak *vouvray* i Margaret zastanawiała się, gdzie trafił na to owocowe francuskie wino.

- Niedzielny lunch to cudowny pomysł - powiedziała do Everdene. - Mogę go od ciebie pożyczyć?

- Właściwie to niedzielny piknik - odparła Everdene. - Bardzo lubimy pikniki. W Londynie trudno je urządzać, bo pogoda jest okropna, dlatego tutaj tak się nimi rozkoszujemy. Na początku naszego pobytu nigdy nie miałam dość słońca i Kevin zmuszał mnie do noszenia kapelusza. Oczywiście ma rację, ale czasami uwielbiam opalać twarz. Czego pewnie się domyślasz, widząc moje piegi.

- Nie wydaje mi się, żeby ktoś wyjeżdżał stąd bez piegów - zauważyła Margaret. Zerknęła na Patricka, który z ożywieniem rozmawiał z Kevinem.

- Chciałabyś wody do wina? - zapytała Everdene. - Człowiek przekonuje się, że jedynym minusem niedzielnego pikniku jest ból głowy o szóstej.

- Bardzo proszę.

Everdene naląła z dzbanka schłodzonej wody do kieliszka.

- Boże, jak tu cudownie - westchnęła Margaret. - Nie chciałabym się stąd ruszać.

- My też nie chcemy, choć oczywiście musimy, żeby pójść do pracy. Dom pełen jest dziwactw, Kevin na pewno je wam pokazał. Ogród na tyłach pierwotnie był boiskiem do krokieta i urządzano tam przyjęcia pod namiotami, co tłumaczy jego rozmiary.

- Jak wam się udało znaleźć taki wspaniały dom?

- Rodzice przyjaciela przynosili się i chcieli go wynająć. To trochę kłopotliwe mieć tyle przestrzeni tylko dla dwóch osób. Formalnie opiekujemy się nim, choć pozwolono nam dokonać kilku zmian. Nigdy nie byłoby nas stać na taki dom. Kiedy stąd wyjedziemy, wprowadzi się ktoś inny albo właściciele go sprzedadzą. W końcu będą musieli.

Margaret mruknęła coś cicho.

- Na początku nie podobał mi się pomysł wynajmowania takiego wielkiego domu - ciągnęła Everdene. - To nie w porządku, wzięwszy pod uwagę, że cudzoziemcy są tu chwilowo. Dom powinien dostać jakiś Afrykańczyk, a jeszcze lepiej, gdyby urządzono tutaj szkołę. Możesz to sobie wyobrazić? Idealne rozwiązanie. Ale decyzja nie należy do nas, a kiedy pierwszy raz tu przyjechaliśmy... cóż... myślę, że pozbyliśmy się wszelkich skrupułów.

Margaret się roześmiała.

- Zapomnij o wyrzutach sumienia. To i tak nie wasza wina... W ogóle o tym teraz nie rozmawiajmy. Rzadko miewamy takie dni jak dzisiejszy, chcę się nim rozkoszować.

- Masz rację, oczywiście. Mieszkacie bliżej Nairobi?

- Tak. Wcześniej wynajmowaliśmy domek w Langacie, później opiekowaliśmy się domem w Karen, a w końcu wylądowaliśmy bliżej miasta.

Czy miała ochotę opowiadać Everdene o przyczynach, dla których musieli zrezygnować z poprzednich domów? Nie. Pragnęła o tym zapomnieć. Czowała się tak, jakby jej umysł był po brzegi wypełniony niepokojem i potrzebował odpoczynku. Chciała słuchać o dziwactwach domu Everdene i błędzić wzrokiem po ogrodzie albo nawet zamknąć oczy.

Postawa Patricka także zdradzała odprężenie. Czy naprawdę dzisiaj rano udało im się rozbić ten lodowy zator? Jeśli tak, otrzymali cudowną nagrodę.

Margaret spojrzała na Everdene.

- Opowiedz mi o swoich studentach - powiedziała.

- Co sądzisz? - zapytał Patrick, gdy wracali peugeotem do swojego mieszkania.

- Polubiłam ich. Świetnie się bawiłam.

, - Ja też. Zastanawiałem się nad wspinaczką. - To znaczy?

- Myślałem, żeby zaproponować im udział w wyprawie. Jego słowa zaszkodziły Margaret. Przecież ta wspinaczka

miała być osobistym wyzwaniem dla nich dwojga. Pójście we dwoje to jedno; natomiast obecność Kevina i Everdene nada wyprawie zupełnie inny charakter.

- Będziemy mogli podzielić się kosztami po połowie - dodał Patrick.

Margaret uzmysłowiła sobie, że podoba jej się pomysł towarzystwa.

- Myślisz, że są wspinaczami? - zapytała. - A my jesteśmy?

- Czy takie zaproszenie nie będzie jednak przedwczesne? Spotkaliśmy się dopiero raz.

- Czuję się swobodnie. Zrelaksowany. Mów, co chcesz o Arthurze i Dianie, ale z nimi ani przez sekundę nie byłem zrelaksowany. - Patrick wjechał na rondo.

Margaret zgadzała się z jego opinią, choć z niechęcią myślała o zapraszaniu obcych na wspinaczkę. Wyprawa przestanie być próbą zdobycia czegoś więcej niż tylko samej góry. W pomysł pójścia we dwoje była jakaś czystość, poczucie celu. Z drugiej strony z Kevinem i Everdene na pewno lepiej by się bawili. Co więcej, byłiby bezpieczniejsi. Gdyby udało im się dotrzeć na sam szczyt, ta druga sprawa rozwiąże się sama przez się, prawda? Przecież owe dwa plany wzajemnie się nie wykluczają.

- Porozmawiaj z Kevinem - powiedziała. - Zapytaj, co o tym myśli.

Nazajutrz wieczorem Patrick wrócił do domu z wiadomością, że Kevin z entuzjazmem przyjął propozycję wyprawy. Nigdy nie brali pod uwagę wejścia na Kenię, ale pomysł bardzo mu się spodobał i powiedział, że przedyskutuje to z Everdene.

Patrick i Margaret zdecydowali już, że nie powiedzą im o Dianie. Wiązało się z tym pewne ryzyko, bo tamci mogli usłyszeć od kogoś o tragedii, ale rozpoczynanie wspinaczki z takim obrazem przed oczyma nic dobrego by nie dało. Dlaczego ich tym obciążać? Mimo to Margaret zastanawiała się, czy oboje z Patrickiem nie wykorzystują nowych znajomych do własnych celów.

Po kolacji zadzwonił Kevin. Everdene bardzo spodobał się ten pomysł i miała mnóstwo pytań.

- Powinniśmy wcześniej potrenować - powiedział Patrick.

- Może w niedzielę wybierzemy się na wędrowkę po Ngong Hill? Teraz my przygotowujemy piknik. Wejdziemy na któryś z wierzchołków, odpoczniemy, zejdziemy. Przy jedzeniu porozmawiamy. Weźcie notatniki i długopisy, będziemy musieli sporządzić listy. Przede wszystkim musicie kupić sobie buty do wspinaczki i dobrze je rozchodzić. W mieście jest niezły sklep. Poczekaj chwilę. - Patrick odwrócił się do Margaret.

- Jak się nazywa ten sklep?

- Sir Henry.

- Sir Henry - powtórzył Patrick do słuchawki.

Jakie to dziwne, myślała Margaret, że teraz oni oboje są tymi bardziej doświadczonymi.

- Świetnie - powiedział Patrick i odłożył słuchawkę. - Załatwione.

W tamtym tygodniu Margaret wysprzątała mieszkanie i dwukrotnie pojechała do pralni. Patrick postawił sztuczną choinkę, którą kupili rok temu. Everdene i Kevin zaprosili ich na świąteczny obiad, a w dzień Bożego Narodzenia Margaret i Patrick zadzwonili do swoich bliskich. Pod koniec rozmowy Margaret poprosiła rodziców, żeby w sklepie narciarskim kupili dla nich najlepsze kurtki, rękawice i długie jedwabne kalessy, a także jedwabne skarpety. Powiedziała, że bardzo zależy jej na czasie, bo do wspi-

naczki został niecały miesiąc. Gdyby rodzice wysłali paczkę od razu po świętach, niewykluczone, że dojdzie w porę.

Timmy oczywiście zapytał, kiedy Margaret wróci do domu. Ton jego głosu sprawił, że o mało nie powiedziała: jutro. W końcu zadowolił się obietnicą, że niedługo. Rodzice orzekli, że głos Margaret brzmi o wiele lepiej niż podczas ich ostatniej rozmowy, kiedy leżała w szpitalu.

Bo rzeczywiście czuje się lepiej, odparła z przekonaniem. Razem z Patrickiem wejdą na szczyt, była tego pewna. Nie wspomniano o poprzedniej wyprawie, o której rodzice wiedzieli. Nie pytali, dlaczego chcą powtórzyć ten wyczyn, a ona nic im nie mówiła.

Rozłączywszy się, Margaret myślała o tym, jak wiele będzie musiała pogrzebać, zostawić za sobą. Rozumiała, że to może się okazać głupie, nawet niezdrowe, lecz nie widziała innego sposobu na odzyskanie kontroli nad swoim życiem.

Rozmyślała o Rafiqu. Pewnego dnia przez kilka godzin przekonywała siebie, że kiedyś przelotnie się w nim zadurzyła i to wszystko. Podejrzewała, że to zdarza się ludziom w związkach małżeńskich: durzą się w kimś, a potem idą dalej. Nie muszą nic z tym robić.

Wiedziała jednak, że się okłamuje, że nigdy nie zapomni Rafiqą. Doszła do wniosku, iż pozostaje jej kompromis polegający na życiu na dwóch równoległych torach; jednym, biegnącym naprzód, i drugim - zarezerwowanym dla wspomnień. Zastanawiała się, czy to wykonalne i jakie to oznacza koszty dla jej małżeństwa.

Myśląc o Rafiqu, usiłowała wyobrazić sobie miejsce, w którym osiadł. Widziała go, jak jedzie taksówką do pakistańskiej dzielnicy Londynu, do Brick Lane, a może Bethnal Green. Przypuszczała, że zatrzymał się u kuzynów. Kobiety pilnowały dzieci i rozmawiały, mężczyźni namiętnie kibicowali meczom krykieta w telewizji. Czasami Margaret widziała Rafiqą tak wyraźnie, że czuła ból, nie potrafiła jednak go osadzić w konkretnym miejscu ani przypisać mu konkretnej pracy. Czy zamieszkał u krewnych? A może z Londynu pojechał do Islamabadu? Czy czułaby się dobrze, gdyby

dzieliła z nim życie? Gdyby była z nim związana w czasie, kiedy go deportowano, podążyłaby za nim, nie wątpiła w to ani przez chwilę.

Odkrycie, że jest w lepszej kondycji niż podczas ostatniej wędrówki po Ngong Hills, napełniło Margaret radością. Pamiętała tamto straszliwe pragnienie i walkę o oddech. Teraz nic z tego się nie powtórzyło. Czerwone mrówki przypominała tylko po to, by przestrzec Kevina i Everdene.

Na pierwszej wycieczce usiedli we czworo na szczycie wzniesienia i sporządzili listy. Na drugiej bez trudu dotarli do grobu Fincha Hattona z obeliskiem, na którym wyryto słowa z „Rymów sędziwego marynarza”. Na trzeciej dotarli na koniec łańcucha i wrócili do samochodu w rekordowym czasie. Kevin i Everdene byli w doskonałej kondycji, o wiele lepszej niż Margaret, kiedy mieszkała w Kenii tyle czasu co oni. Everdene miała mocne nogi i zawsze chodziła z laską; Margaret szybko przejęła od niej ten zwyczaj. Muskularna sylwetka Kevina sprawiała wrażenie, jakby jego przeznaczeniem były wspinaczki. Poruszał się najszybciej z całej czwórki. Patrick i Margaret zapowiedzieli, że będą go hamować. Dzielili się z przyjaciółmi przerażającymi historiami o odmie płucnej i odmie mózgowej, o udrękach choroby wysokościowej.

Everdene dopytywała o lodowiec, ale Margaret złapała się na tym, że nie jest w stanie jej odpowiedzieć. Patrick przejął inicjatywę, opisał linię, wyciągnięcie stopni, ostrożne tempo przewodnika. Stwierdził, że w czwórkę przejście będzie łatwiejsze niż w szóstkę. Ani on, ani Margaret nigdy nie wspomnieli o Dianie, nie wymienili także nazwisk ludzi, z którymi pierwszy raz wchodzili na górę. Przyznali tylko, że nie dotarli na szczyt i dlatego powtarzają wspinaczkę, która w najlepszym razie jest trudna.

Kiedy wrócili do domu Everdene i Kevina, Margaret opowiedziała historię o Kikuju i Kirinyaga.

Czasami miała wrażenie, że słyszy echa tamtych wydarzeń.

- Dopadły was te straszne choroby, o których opowiadaliście? - zapytała Everdene podczas kolacji po trzeciej wycieczce.

Patrick i Margaret spojrzeli na siebie. Margaret odparła, że miała lekki atak choroby wysokościowej po przejściu przez lodowiec i dlatego nie pró-

bowali nawet iść dalej. Zakręciło jej się w głowie na myśl, że okłamuje kobietę, którą uważa za przyjaciółkę. Sama się jednak na to skazała, skoro na początku szczerze nie opowiedziała o Dianie. Teraz będzie musiała kłamać dalej.

- Daje się napiwki przewodnikowi i tragarzom? - zapytał Kevin, który wyszedł na werandę w swetrze wyciętym w serek. Długie białe *dashiki* Margaret opadało do ziemi. Miała cztery, każde w innym kolorze, i dla wygody wkładała je przy każdej możliwej okazji. Everdene podkreśliła opalenizną gazową bluzką i srebrnym naszyjnikiem. Słońce zaszło, Margaret wiedziała, że niedługo będą musieli wejść do domu. Wraz z zapadnięciem zmroku z trawy zrywały się chmary moskitów.

- Myślę, że damy napiwek przewodnikowi, a on podzieli się z pozostałymi - powiedział Patrick. Po chwili namysłu dodał: - Albo nie.

- A wiesz, ile się daje? Chcę się zorientować, żebym miał przy sobie dość gotówki.

- Cóż, z całą pewnością nie będziesz potrzebował gotówki w czasie wspinaczki - odparł Patrick. - Nie wiem, ale się dowiem, zanim wyruszymy.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę to miejsce - powiedziała Everdene. - Słyszałam, że tam jest cudownie.

Margaret pomyślała o impalach w trawie i uciekającej łani.

- Nie zapomnij o bluzie - powiedziała. - W porze kolacji robi się okropnie zimno. Zresztą zimno będzie przez całą drogę. Wyjściem jest ubieranie się na cebulkę.

- Minął rok od waszej pierwszej próby? - zapytała Everdene.

- Tak, niemal co do dnia - odparł Patrick, nie patrząc na żonę. - W ciągu roku są tylko dwa krótkie okresy, kiedy wejście w ogóle jest możliwe. W czasie pory deszczowej to wykluczone, poza tym można zabłądzić w zamieci.

- Zamieć na równiku - powiedział Kevin. - Wciąż nie mogę się przyzwyczaić do tej myśli.

- Zobaczycie śnieg - wtrąciła Margaret. - Zwłaszcza na szczycie.

Poprzedniego dnia dostali paczkę z kurtkami i jedwabną bielizną. Aby odebrać przesyłkę, Patrick musiał odstać w kolejce na poczcie niemal go-

dzinę. Wcale go to nie zdziwiło. Przed Bożym Narodzeniem trzeba było czekać prawie godzinę.

Margaret żałowała, że nie pomyślała o przyjaciółach i nie poprosiła o cztery komplety bielizny. W każdym razie mogła im dać skarpetki.

Everdene, Kevin i Patrick wzięli wolny piątek, żeby spędzić w ośrodku dwa noclegi przed wspinaczką. Ciekawe, czy trafią na tego samego przewodnika i tragarzy, zastanawiała się Margaret. Miała nadzieję, że nie. Przewodnik z całą pewnością pamiętałby ją albo Patricka i może by coś powiedział, co usłyszeliby Kevin lub Everdene - wołała nawet nie wyobrażać sobie takiej sytuacji.

W tamten niedzielny poranek, kiedy postanowili ponownie wejść na Kenię, Patrick użył słowa „wymazać”. Margaret zastanawiała się nad tym przez wiele tygodni i doszła do wniosku, że ma nadzieję właśnie to uczynić ze wspomnieniami z pierwszej wspinaczki.

Przyjrzała się uważnie tragarzom. Przedstawiła się każdemu po kolei i zapytała o ich imiona. Uśmiechali się. Nie dostrzegła żadnej znajomej twarzy. Z przewodnikiem rozmawiała w suahili i po angielsku. Uścisnęła mu dłoń i zapytała, jak się nazywa. Na imię miał Njoroge. Zastanawiała się, czy czuł niepokój, zabierając na górę kolejną grupę. Od poprzedniego razu dowiedziała się, że połowa wypadków śmiertelnych z powodu choroby wysokościowej zdarza się na Kenii.

Margaret i Patrick włożyli już tam granatowe puchowe kurtki. Część ubrań i jedwabną bieliznę spakowali do plecaka, zostawiając je na niższe temperatury. Everdene miała na sobie czerwoną kurtkę narciarską, na widok której Margaret zbladła jak ściana. Kaptur nie był obszyty białym futerkiem, mimo to kurtka była tak bardzo podobna do stroju Diany. Nic na to nie można poradzić. Przecież nie mogła powiedzieć: „Everdene, nie noś czerwonej kurtki”.

Kevin miał czarną narciarską kurtkę; Margaret przypuszczała, że ciepłe rzeczy przysłano im z domu. Sprawdziła, czy mają rękawice, i przypomniała o okularach przeciwsłonecznych.

Tym razem Patrick zabrał Kevina na pstrągi. Kiedy wrócili ze sporym połowem, poprosili kucharza, żeby przyrządził ryby na kolację. Świeże i delikatne pstrągi były doskonałe. Zabawnie było obserwować obu mężczyzn dumnych z tego, że zdobyli jedzenie dla żon; oczywiście Margaret przez cały posiłek okazywała im stosowny podziw i szacunek. Kiedy mężczyźni wędkowali, poszły z Everdene na spacer (ani śladu po imapalach), a potem popływały w basenie. Margaret zauważyła śliski osad na dnie i unoszące się na powierzchni kształty przypominające algi. Po powrocie do pokoju wzięła długi prysznic, by pozbyć się wszelkich niechcianych przedstawicieli fauny i flory.

Drugiego dnia po kolacji Margaret i Patrick kochali się po raz pierwszy od tygodni. Wolno ją rozebrał, długo całował jej szyję i ramiona; wiedział, że Margaret bardzo lubi takie uwodzicielskie gesty, ale wcześniej często z nich rezygnował. Chociaż nie potrafiła odpędzić od siebie myśli, że się starają (może nawet zbyt usilnie), spróbowała wprowadzić się w podobny nastrój. Świadoma była jednak, że pewna jej część zamyka się przed Patrickiem. Wątpiła, by mąż to zauważył; minął ponad rok od czasu, gdy kochała się swobodnie, bez oporów.

- Cały czas będę przy tobie - zapewnił po raz kolejny Patrick. Ustalił porządek: najpierw on i Margaret, by ustalić tempo, za nimi Everdene i Kevin. Draga para nigdy nie próbowała wyprzedzać, chociaż czasami szli we czwórkę obok siebie, kiedy wszyscy rozmawiali. Margaret przekonała się, że może rozmawiać i wspinać się jednocześnie; była zadziwiona różnica w stopniu trudności obu wypraw. To nie znaczy, że mogłaby dziś wbiec na górę, wcale nie. Wciąż była najpowolniejsza z nich, ale lepiej radziła sobie z wysokością niż rok temu. Na Kevinie i Everdene początkowe etapy wspinaczki nie zrobiły najmniejszego wrażenia, nie mieli zadyszki, nie byli zmęczeni. Margaret uznała, że to musi być genetyczna łatwość aklimatyzacji, którą Brytyjczycy w przeciwieństwie do Amerykanów posiadają. Zaraz jednak uznała swoją teorię za pozbawioną podstaw.

- W tym miejscu spotkaliśmy się z bawołem - oznajmił Patrick. - Był cholernie wielki i przez cały czas się w nas wpatrywał. Przewodnik i traga-

rze dziwili się, że nie zaatakował, bo nie ulegało wątpliwości, że go przestraszyliśmy, wychodząc zza zakrętu. Pewnie wiatr wiał w naszą stronę. Przestraszony bawół to przerażająca bestia. Na zboczach Kenii więcej ludzi ginie od jego ataków niż jakiegokolwiek innego zwierzęcia.

- Co się stało? - zapytała Everdene.

- Wycofaliśmy się, bardzo powoli, żeby nie zwracać na siebie dodatkowej uwagi. Nie wiem, czy wcześniej zauważyliście rozwidlenie na szlaku; w każdym razie zawróciliśmy do tego rozwidlenia i poszliśmy inną drogą. Kosztowało nas to co najmniej godzinę.

- Więc... skąd wiemy, że nie ma tu bawołów? - zapytała Everdene, zdradzając pierwsze oznaki strachu.

- Nie wiemy - odparł Patrick.

- Przewodnik jest świetny - dodała pośpiesznie Margaret, by stłumić niepokój żony Kevina. Miała ochotę zapytać Patricka, po co straszy Everdene, skoro dopiero co zaczęli wspinaczkę. - Poza tym wszyscy mają *panga*.

Wielki byłby pożytek z tych noży, dodała w duchu.

- Idziesz zadziwiająco dobrze - powiedział Patrick, kiedy znowu ruszyli. - Pewnie lepiej się czujesz.

- Tak. Wolałabym, żebyś nie wspominał o bawołach. Uważam, że im mniej będziemy się niepokoić, tym lepiej dla nas wszystkich.

- Masz rację, przepraszam - powiedział Patrick w charakterystyczny dla siebie sposób. Koniec. Temat zamknięty.

Margaret zerknęła na męża. W odpowiedzi na jego komplement skrzyzczała go. To nie jest najlepszy sposób na osiągnięcie wspólnego celu.

Wbiła łaskę w ziemię.

- Żałuję, że jej nie miałam za pierwszym razem.

- Miałaś kij na trzęsawisku - powiedział Patrick.

- Ale wtedy było już za późno.

Słońce weszło, gdy zbliżali się do stacji Met. Margaret ogarnęło uniesienie.

- To niesamowite - powiedziała do Everdene. - Za pierwszym razem dzień był bardzo pochmurny i zupełnie nic nie mogliśmy zobaczyć. Popatrz na ten widok!

Znajdowali się dość wysoko i mogli podziwiać zbocze schodzące tarasami do niziny. Margaret szukała Nairobi, ale choć dostrzegała mniejsze miasta, nie potrafiła wskazać stolicy. Po tej stronie góry, na której się znajdowali, niebo było błękitne, kiedy jednak się odwróciła, widziała wiszące ciemnoszare chmury zasłaniające szczyty.

- Proszę, żebyśmy w nie nie weszli - powiedziała na głos.

- My jesteśmy przyzwyczajeni do chmur - odrzekła Everdene.

Margaret pragnęła jej opowiedzieć, jak mroczne niebo podczas wyczerpującej wspinaczki potrafi odebrać człowiekowi ducha i wolę tak niezbędną do dalszej drogi. Połyskliwy widok, który mieli przed sobą, wydawał się jeszcze cenniejszy, jeśli porównać go z tym, co najprawdopodobniej napotkają jutro lub pojutrze.

W stacji Met byli o trzeciej, pół godziny później jedli gorący posiłek. Po posiłku Margaret weszła na pobliską półkę, skąd mogła rozkoszować się widokiem, słońcem i błękitnym niebem. Uniosła twarz do gorących promieni. Kto to powiedział? Arthur czy Willem? Że chociaż temperatura spada w okolicy zera, słońce przypieka tu mocniej niż na dole. Włożyła okulary przeciwsłoneczne, ale zdawała sobie sprawę, że ryzykuje poparzenie.

Kiedy wróciła do schroniska, pozostali grali w remika. Przypomniała sobie poprzednią wyprawę, kiedy wszyscy byli zbyt wyczerpani i przygnębieni, żeby wziąć do ręki karty. Margaret usiadła obok nich. Kevin pytał, czy Patrick słyszał o nowej chorobie, która pochłonęła już wiele ofiar. W Naivasha i Nakuru stwierdzono kilka przypadków. Miejscowi reagowali zdziwieniem i przerażeniem. Nikt nie miał pojęcia, w jaki sposób ta choroba się rozprzestrzeniła.

Patrick nic o tym nie wiedział, choć sprawa go zainteresowała. Powiedział, że się temu przyjrzy.

Kiedy skończyli kolejną partię przy akompaniamencie przechwałek i jęków, Margaret podeszła do przewodnika, który siedział oddalony o kilka kroków od tragarzy. Zastanawiała się, czy przewodnik zawsze siedzi osobno, potwierdzając tym hierarchię w grupie. Bliskość ognia była przyjemnym doznaniem. Margaret usiadła obok Njoroge.

-Jambo.

-Jambo.

-Habariyako?

-Nzuri. Nzuri sana.

- Chciałam o coś cię prosić.

-Memsahib.

- Kiedy wejdziemy na lodowiec, chciałabym na środku zatrzymać się na kilka sekund, pół minuty powiedzmy. Kiedy ostatnim razem przeprowiałam się przez lodowiec, nie odważyłam się spojrzeć w dół. Chciałabym pokonać ten strach.

- Była pani wcześniej na górze?

- Rok temu.

- Dotarła pani na szczyt?

- Nie. Jedno z nas zachorowało. - Ta odpowiedź wydała się Margaret najprostsza.

- Musi pani dojść na szczyt - powiedział przewodnik. Chociaż słońce świeciło mu prosto w oczy, nie nosił okularów.

- Mam taką nadzieję.

- Tak, tak - powiedział zapalczywie. - Jeśli będzie pani w stanie i nie zachoruje znowu, musi pani to zrobić.

- Trudno wejść na sam szczyt?

- Podejście jest strome, ale krótkie.

Margaret podniosła jakiś patyk i zaczęła rysować po ziemi. Podmuch wiatru przywiał ku nim dym. Pomachała dłonią, próbując go odpędzić. Tragarze nie zwracali na nią uwagi, jej obecność zupełnie im nie przeszkadzała.

- Od jak dawna się tym zajmujesz? - zapytała.

- Ja pięć lat to robię. - Przewodnik pokiwał głową. Miał na sobie dość cienką niebieską kurtkę, podobne nosili wszyscy przewodnicy.

- Lubisz to?

- To dobra praca. Dobrze płacą.

- A gdzie mieszkasz? - Nie wyobrażała sobie, że mógłby dojeżdżać do tego rodzaju pracy z daleka.

- Mamy chaty w ośrodku. Zatrzymała się pani w ośrodku? -Tak.

- Tam bardzo ładnie.

- Rzeczywiście, bardzo się nam podobało. Mój mąż poszedł na ryby.

Przewodnik uśmiechnął się. - I pani mąż łapie ryby?

- Razem z kolegą złapali sporo. - Margaret gestem wskazała grających w karty. - Zjedliśmy je na kolację.

- Ach, to mieliście szczęście - roześmiał się Njoroge.

Margaret przytaknęła.

- Chciałabym zadać ci jeszcze jedno pytanie, ale nie musisz odpowiadać, jeśli nie masz ochoty.

Njoroge odwrócił się ku niej.

- Straciłeś kogoś na górze?

- Straciłem?

- Czy w czasie którejś z wypraw ktoś zmarł?

- Kiedy ludzie umierają, to dlatego że nie mają przewodników. Sami siebie prowadzą. Dwaj umierają ze mną. Cztery lata temu.

- Tak mi przykro. Jak to się stało?

- Kiedy jesteśmy w Górnej Chacie, oni chorzy. - Przewodnik położył dłoń na czole. - Bardzo chorzy. Choroba jest w głowie.

- Bolała ich głowa?

- Nie. Wariują z choroby. Idą na szczyt w zamieci i nic mi nie mówią. Mija pół godziny, a ja dopiero wiem, że poszli. Wychodzę na zamieć, żeby ich znaleźć, ale ich nie znajduję. Przychodzą strażnicy i szukamy. Szukamy przez dwa dni. Ale potem brakuje mi jedzenia i muszę iść na dół. Za tydzień niebo jest czyste i strażnicy znajdują ciała bardzo daleko od szlaku.

- Zabłądzili?

- Tak, *memsahib*. Gubią się. Myślę wtedy, że nie jestem dobry do tej roboty. - Njoroge pokręcił głową. - To jak pilnowanie kóz. Muszę trzymać razem wszystkie moje kozy i dbać, żeby były bezpieczne. Nie mogę pozwolić, żeby się oddalały, bo większe zwierzęta je zjedzą.

Ten obraz sprawił, że Margaret się wzdrygnęła.

- Ale przecież ci ludzie specjalnie poszli bez ciebie.

- To i tak moja wina. Powinienem widzieć chorobę. Zawsze powinienem sprawdzać.

- Przykro mi, że ci się to przydarzyło - powiedziała Margaret.

- Och, mnie też jest przykro. - Njoroge znowu ze smutkiem pokręcił głową.

- Ja i tak myślę, że to nie była twoja wina. Głupi ludzie robią głupie rzeczy i czasami cała wina leży po ich stronie.

- Przrzekam, że wy się nie zgubicie.

⌚ - Dziękuję. Proszę, mów do mnie Margaret.

- Zatrzymujemy się na środku lodowca - powiedział przewodnik. - Ale musi pani zawiadomić innych, żeby nie byli zaskoczeni. Zaskoczenie jest bardzo niedobre na lodzie.

- Tak, uprzedzę ich.

- O co chodziło? - zapytał Patrick, kiedy zostali sami w chacie i przygotowywali nocleg. Kevin i Everdene już wcześniej wybrali prycze, więc Patrick rozłożył fioletowe śpiwory po drugiej stronie drzwi, żeby obie pary miały trochę prywatności. Wiedział, że nikogo poza nimi nie będzie, bo zapytał o to przewodnika.

- Poprosiłam Njoroge o przysługę - wyjaśniła Margaret. - Mam nadzieję, że nie będzie ci to przeszkadzało. Poprosiłam, żeby na środku lodowca zatrzyma! się na trzydzieści sekund, bo chcę spojrzeć w dół!. Powiedziałam, że poprzednim razem się bałam i chcę pokonać strach. To samo powtórzę Kevinowi i Everdene, bo muszę ich uprzedzić o postoju. Kiedy będziemy się przeprawiać przez lodowiec, nie będę mogła oddać hołdu Dianie, nie będę w stanie nawet o niej myśleć. Przez cały czas będę się wpatrywać w stopy człowieka, który idzie przede mną. Przecież pamiętasz.

Patrick przytaknął.

- Och, i przy okazji - dodała z uśmiechem - jesteśmy kozami.

Margaret długo nie mogła zasnąć. Myślała, jak rok temu cierpły jej nogi i wyczerpana zapadła w sen, gdy tylko położyła głowę na poduszce. Teraz czuła podniecenie i niepokój. Podejrzewała, że powodem jest lodowiec. Wyobrażała sobie, co będzie czuła, kiedy postawi stopę na lodzie.

Żałowała, że nie mogą z Patrickiem nocować na dworze z Njoroge i tragarzami. Zaledwie przelotnie zerknęła na gwiazdy, miała na to chwilę między zgaszeniem lampy a zamknięciem drzwi. Cudownie byłoby położyć się na ziemi i patrzeć z tej wysokości na idealnie czyste niebo usiane gwiazdami, bo już nigdy później nie będzie to możliwe. Obecność gwiazd uznała za obiecujący znak. Może ta złowroga chmura, którą widziała wcześniej, odeszła.

- Nie śpisz? - szepnął Patrick.

-Nie.

- Dobrze się bawię, a ty?

- Teraz jest zupełnie inaczej niż w zeszłym roku. To był doskonały pomysł.

-Kocham cię.

- Ja też cię kocham - odparła.

Strome trzęsawisko wcale nie było łatwiejsze do przebycia w słońcu, choć Margaret miała lepszy nastrój, dlatego że nie czuła się pokonana przez przypominające klej błoto. Na razie chmura nie zbliżała się do nich, choć nad szczytem ulatywały sinoczarne kłęby. Bóg nas strzeże, pomyślała Margaret, acz nie jest specjalnie litościwy. Jeśli dopisze im szczęście, chmura odejdzie i zostawi ich w spokoju.

Margaret starała się nie oddalać od Everdene, która zmagала się z błotem.

- Straszne - powiedziała Everdene, próbując się uśmiechnąć. Z trudem łapała oddech.

- Wykroty - odparła Margaret.

- Równie dobrze mógłby je opisać Dante - dodała Everdene, choć sporo ją to kosztowało.

- To jak walenie głową w mur. Poczujesz się lepiej, kiedy dojdiesz na górę.

- O ile tam dojdę.

- Na pewno. Tym akurat nie musisz się martwić. Mężczyźni nie mogli nic poradzić na to, że szli szybciej od nich.

Ciągle wyskakiwali do przodu, a potem czekali na Margaret i Everdene. Pozwalali im odpocząć i dopiero potem szli dalej. Margaret, która nieco lepiej radziła sobie z tym odcinkiem trasy niż Everdene, cieszyła się, że nie jest ostatnia, ale dokładała starań, by nie wykorzystywać swojej pozycji. Dodawała Everdene odwagi, zachęcała, gawędziła i często powtarzała, żeby tamta nie próbowała mówić. Pomyślała o Njoroge, który przypominał wielbłąda, bo potrzebował tak niewiele wody, chyba że pił, kiedy na niego nie patrzyła. Wydawało jej się to niemożliwe: zawsze szedł przed nimi, choć utrzymywał niewielki dystans.

Podczas krótkiego postoju Margaret powiedziała Everdene, że na lodowcu chce spojrzeć w dół, dlatego na środku zatrzymają się na chwilę. W zeszłym roku nie była w stanie tego zrobić, a czuje, że musi pokonać strach. Przewodnik już wie, teraz trzeba tylko powiadomić Kevina.

Everdene pokiwała głową, niezdolna wykrztusić słowa.

Na górze usiadły obie na skraju trzęsawiska, choć podłoże było błotniste. Patrick zorientował się, że Everdene ma kłopoty, i dał znać przewodnikowi.

- Chyba musimy odpocząć i napić się - powiedział.

Kevin usiadł obok żony, która oparła głowę na jego ramieniu. Patrick wybrał tę chwilę, by opowiedzieć im o Afrykańczykach biorących udział w pierwszej ekspedycji na górę, którzy myśleli, że na wodę w garnku ktoś rzucił urok, kiedy zamarzała. Ze strony Patricka był to niezły wyczyn, pomyślała Margaret, bo jemu także brakowało tchu. Tylko na Kevinie męczące podejście nie zrobiło żadnego wrażenia.

- Jesteś niesamowity - powiedziała do niego Margaret. - Musisz mieć potężne płuca.

- Sam też tego nie rozumiem. Jestem tak samo zdziwiony jak ty.

Stojący w pobliżu Njoroge powiódł wzrokiem po szczytach.

- Nadchodzi pora deszczowa, by nas powitać - oznajmił.

Kiedy zbliżali się do obozu Mackindera, Margaret pomyślała o szczurach. Czy to możliwe, że przez ten rok je wytepiiono? Nie sądziła. Postanowiła, że dobrze się okryje i będzie spała blisko Patricka. Nie weźmie go za rękę, taki gest byłby zbyt bolesny.

- Cholera - powiedziała Everdene, zaglądając do szalasu.

- Macie karimaty? - zapytała Margaret.

- Tak. Tu jest okropnie.

- Spędzimy tu tylko jedną noc.

Margaret zamierzała rozłożyć karimatę i śpiwór, ale zrezygnowała. Myśl, że wsunie się do śpiwora, w którym jest szczur, była nie do zniesienia.

- Posłuchaj - powiedziała do Everdene, która rzuciła swoje rzeczy na brudny materac. - Powiem ci o czymś, o czym w zeszłym roku nikt mi nie wspomniał, a szkoda. Bardzo możliwe, że nocą pojawią się tu szczury.

- W szalacie? - zapytała Everdene z niedowierzaniem. Od potu i czapki miała włosy przyklejone do głowy.

Margaret przytaknęła.

- Mówię ci o tym, bo o mało nie dostałam zawału serca, kiedy szczur przebiegł mi po dłoni. Rozłóż śpiwór przed samym pójściem spać, nakryj się pod samą brodę i nie wystawiaj rąk. Mnie szczury przeraziły, choć w gruncie rzeczy tak naprawdę nam nie przeszkadzały. Myślę, że biegają pod ścianami i szukają jedzenia. Będiesz za bardzo zmęczona, żeby nie spać, więc po prostu się nie przejmuj. Macie śpiwory, które można spać razem?

- Tak. Wczoraj tego nie zrobiliśmy, bo były prycze.

- Na dzisiaj to najlepsze wyjście. - Pomyślała, że ona z Patrickiem postąpią tak samo. - Od ciebie zależy, czy uprzedzisz Kevina. Cztery osoby z naszej zeszłorocznej grupy przespały spokojnie całą noc i nie miały pojęcia o szczurach.

- Nie powiem mu, śpi jak kamień. Ale dziękuję, że mnie uprzedziłaś, pewnie bym wrzasnęła, gdybym poczuła szczura.

- Twój mąż nie chrapie. - Margaret nie mogła powstrzymać się od tej uwagi.

- Nie. - Everdene się roześmiała.

- Zazdroszczę ci.

Pomimo warunków panujących w szalacie Everdene odżyła, dotarłszy do obozu. Tylko Patrick wyglądał marnie. Zbladł, na twarzy miał plamy. Kiedy siedzieli na werandzie, a tragarze czyścili im kurtki z błota, milczał.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Margaret.

- Chyba tak. Muszę tylko odpocząć.
- Więc dzisiaj nie będzie śpiewów?
- Wiesz, co mamy na kolację?
- Niech zgadnę. - Przyłożyła palec do policzka. - Gulasz?
- I tak nie jestem głodny.

Margaret uważniej przyjrzała się mężowi. Blandość to jedno, a brak apetytu to zupełnie inna sprawa.

- To mi się nie podoba, Patrick. Może masz początki choroby wysokościowej?

- Mówię, że muszę odpocząć, a ty od razu wyskakujesz z chorobą wysokościową?

Margaret przypomniała sobie, co rok temu mówił Arthur albo Willem: często osoba chora ostatnia się do tego przyznaje. Postanowiła, że będzie obserwować męża. Niewykluczone, że pomoże mu nocna aklimatyzacja, oczywiście mógł też zjeść coś, co mu zaszkodziło. Patrick zawsze twierdził, że trzeba szukać najmniej dramatycznych wyjaśnień.

- Zepnę nasze śpiwory - powiedziała.
- Ja to zrobię.
- Jeśli będziesz chciał się położyć, powiedz, pójdę do szałasów i to zrobię
- Szczury - powiedział Patrick.
- Tak.

Nic więcej nie dodała.

Wieczorem do zachodu słońca znowu grali w remika, choć tym razem Margaret zajęła miejsce Patricka, który poszedł się położyć na przygotowane przez nią podwójne posłanie. Po grze zaproponowała, żeby przez kilka minut poleżeli i popatrzyli na gwiazdy. Kiedy Kevin przy posiłku zauważył, że Patrick nie wstał, zapytał Margaret, czy mąż dobrze się czuje. Odpowiedziała, że jej zdaniem jest zmęczony i musi odpocząć, chociaż wszyscy powinni się wzajemnie obserwować i wypatrywać oznak choroby wysokościowej u towarzyszy. Rano oceni stan Patricka i będzie przy tym potrzebowała pomocy Kevina. Wyjaśniła, że jeśli powie przewodnikowi, że Patrick cierpi na chorobę wysokościową, będzie to oznaczało koniec wyprawy. Przewodnik po prostu zawróci i nawet Patrick zrozumie, że bez nie-

go nie można kontynuować wspinaczki. Będzie wściekły, pomyślała Margaret. A może poczuje ulgę?

- Jakie to cudowne - powiedziała Everdene, wpatrując się w połyskujące na niebie gwiazdy. - Daję słowo, nigdy jeszcze czegoś takiego nie widzieliśmy. Dla tego widoku warto było się pomęczyć.

- Szkoda, że nie mam teleskopu. - Kevin westchnął. - Przypuszczam, że inni brali ze sobą teleskopy.

- Bywałam w różnych częściach Ameryki, gdzie podobno powietrze jest czyste i nie ma żadnych miejskich świateł, ale niebo nigdzie tak nie wyglądało - stwierdziła Margaret. - Wiem naturalnie, że tutaj są inne konstelacje niż na półkuli północnej. Niestety, nie znam nazw.

Kevin miał niejaki doświadczenie w tej dziedzinie z czasów, gdy należał do skautów. Wskazał kilka gwiazdozbiorów, które znał z książek.

- Człowiek czuje się taki mały - powiedziała Everdene, wodząc wzrokiem po oszalałającej panoramie nieba.

- Bo my jesteśmy mali - odparła Margaret.

- Jesteście mali i musicie iść do chaty - odezwał się nad nimi Njoroge. - Jutro budzimy się o trzeciej rano. A może wy zapomnieli?

- Próbowałam zapomnieć. - Margaret usiadła. Njoroge także spojrzął w gwiazdy.

- Ngai słucha naszych modlitw. Pora deszczowa chce przyjść na górę Kenię, ale on ją zatrzymuje.

- Miejmy nadzieję, że zatrzyma ją jeszcze przez jeden dzień - powiedział Kevin, zrywając się na nogi.

- Ngai zrobi, co zechce - odparł Kikuju.

Rano Patrick bardzo się starał i Margaret zauważyła, że chociaż nadal był nieswój, to nabrał trochę kolorów. By pokazać, że czuje się lepiej, poprosił o obfite śniadanie. Kucharz odmówił - właściwe śniadanie przewidziane było po przejściu przez lodowiec - ale Patrick zjadł dwie wielkie kromki chleba z dżemem z guawy i wypić dwie filiżanki kawy, zanim przewodnik kazał im wyjść. Obserwując męża, Margaret była pewna, że się

przymusza do jedzenia - udawał dzielnego, jak dziecko - nie mogła jednak nic zrobić. Przerwanie wyprawy ze względu na niego rozgniewałoby Patricka i skłoniło go do podwojenia wysiłków mających na celu przekonanie ich, że nic mu nie jest. Wiedziała, że potrafiłby odpowiedzieć na wszystkie pytania zadane przez ratownika, a przecież to stanowiło ostateczny sprawdzian.

- Myślisz, że Patrick dobrze się czuje? - zapytał Kevin.

- Nie na sto procent, ale dostatecznie dobrze - odparła Margaret. - Porozmawiam z nim.

- Wszystko w porządku? - zapytała męża, kiedy wkładali plecaki.

- Jezu, Margaret, o co ci chodzi? Czuję się dobrze. Każdy z obecnych może to potwierdzić. Próbujesz przerwać wyprawę?

Jego atak odebrała jak cios. Była przekonana, że przeciwiczył sobie tę odpowiedź.

- Ależ nie - odparła. Everdene i Kevin już wyszli, zostawiając ich samych. - Skoro mówisz, że czujesz się dobrze, to tak jest. Ostatnia rzecz, na jakiej mi zależy, to przerwanie wyprawy. Możesz mi wierzyć, tak samo jak ty chcę dojść na szczyt. Choć nie twoim kosztem.

- Kurwa, czuję się dobrze - powtórzył. Margaret odwróciła się i wyszła.

Piarg okazał się tak samo trudnym wyzwaniem jak w zeszłym roku. Margaret pamiętała, że nienawidziła każdej minuty wspinaczki, a piarg był najgorszy. Teraz też widziała przed sobą tylko stożki światła z latarni. Patrick ruszył pierwszy; pomyślała, że chce udowodnić, iż jest w doskonałej kondycji. Nie potrafiła zebrać dość sił, by zachęcać Everdene, która szła obok niej i szczerze mówiąc, lepiej sobie radziła. Silne nogi Everdene stanowiły atut na tym odcinku wspinaczki. Dobre maniery powstrzymały ją od dodawania otuchy Margaret, co zburzyłoby subtelną hierarchię, która się między nimi ukształtowała. Margaret polubiła ją jeszcze bardziej.

Podejrzewała, że każde doświadczenie na górze jest inne, nawet gdyby wchodziło się na nią co roku - była to myśl tak przygnębiająca, że od razu ją od siebie odepchnęła.

Pokonawszy piarg, Margaret schyliła głowę do ziemi, by złapać oddech. Patrick zakaszał. Kiedy poprosił o wodę, tragarze rozdali im także po ciasteczku. Margaret bolało gardło i próbowała ugasić pragnienie lodową wodą.

Chociaż słońce jeszcze nie wzeszło, zaczynało świtać i Ngai znowu zadziałał na ich rzecz. Dzień zapowiadał się pogodny. O ile Margaret mogła się zorientować, ciemna chmura przesunęła się nieco na bok od szczytu.

- Cholerny cud - stwierdził Kevin. - Jeśli dalej będziemy mieć tyle szczęścia, dotrzemy na szczyt.

- Innego wyjścia nie ma - odparła Margaret. - Kiedy zaczną się deszcze, już tam będziemy. A na takiej wysokości deszcze nie padają.

- Wyobrażam sobie, że większym problemem będzie ślepotą śnieżną.

Teren oddzielający piarg od lodowca wydawał się łagodny w porównaniu z tym, co mieli za sobą. Kiedy promienie słońca padły na skały nad ich głowami, Margaret ogarnął podziw na widok pełnej majestatu góry. Żadna katedra nie mogłaby z nią konkurować. Jeśli ktoś pragnąłby odnaleźć religię, odnalazłby ją właśnie tutaj, w samej wielkości szczytów i tym, jak połyskiwały, sugerując obecność duchów. Jak łatwo byłoby uwierzyć w pogańskich bogów, bliskich na wyciągnięcie ręki; w ich potęgę, siłę i piękno. Złowroga ciemna chmura, niemal oślepiająca biel lodowca, zrywający się wiatr, wspaniałość skał - wszystko to zdawało się przekazywać wiadomość. Wystarczyło, by ludzie zgodzili się co do jej treści i powstałaby religia.

Przed wejściem na lodowiec przewodnik powiedział, że zatrzymają się na środku na kilkusekundowy odpoczynek. Margaret patrzyła na Njoroge, chociaż unikał jej wzroku. Kłamstwo w kłamstwie, by wszyscy poczuli się swobodnie.

Zrobiła pierwszy krok na lodzie. Teraz też kolejność ustalił przewodnik. Everdene za Njoroge, tragarz, Kevin, tragarz, Margaret, tragarz, Patrick i kucharz jako ostatni. Patrick, na którego twarzy odbijała się biel lodu, dostał czekan, który w razie konieczności miał wbić w lód. Margaret zastanawiała się, czy nie popełniła błędu, nie mówiąc przewodnikowi o prawdziwej przyczynie postoju na środku lodowca. Czy gdyby wiedział, cofnąłby

się przed nią ze strachem jak przed zwiastunem nieszczęścia? A może usłyszałyby od niego mądre słowa, które by ją uspokoiły?

Wbrew sobie pomyślała o kozach. Przewodnik na początku i kucharz na końcu byli pasterzami usiłującymi przeprowadzić stado przez lód. Uśmiechnęła się do tego obrazu.

Nie ośmieliła się patrzeć w dół, zostawiła to na postój. Nie pozwalała sobie myśleć o upadku Diany, chociaż czuła, jak wspomnienia tłoczą się tuż na granicy świadomości. Oddychała wolno i głęboko, by się uspokoić, ale stwierdziła, że od tego zaczyna jej się kręcić w głowie. Wpatrzona w stopy poprzedzającego ją tragarza, zastanawiała się, czy Everdene, Patrick i Kevin się boją. Patrick wiedział, co się może zdarzyć na lodowcu. Pewnie przed oczyma stawały mu wizje podobne do tych, które nawiedzały Margaret.

Zbliżali się do połowy lodowca i Margaret zadawała sobie pytanie, czy to jednak nie był głupi pomysł. Dlaczego jej to przyszło do głowy? Nie musiała zatrzymywać się i patrzeć w dół, ta myśl zaczynała ją przerażać. Przecież mogła na skraju lodowca odmówić w myślach modlitwę. Nikt nie musiałby o tym wiedzieć, nawet Patrick. Skąd ta ckliwa prośba? Przewodnik uzna, że próbuje poradzić sobie ze strachem. Patrick pomyśli, że postanowiła uczcić pamięć Diany. Czy Everdene i Kevin, mimowolni uczestnicy tego absurdu rytuału, ośmielą się spojrzeć w dół? A może już to zrobili?

Margaret poczuła, jak lina nieruchomieje. Ze względu na przewodnika i męża musi odegrać swoją rolę. Ma na to pół minuty.

Mocno wbiła stopy w lód. Tragarz odwrócił się ku niej, jakby chciał powiedzieć: Tak, teraz.

Powiodła wzrokiem po stromej połaci śniegu. Zmusiła się, by spojrzeć w mroczną przepaść na jej końcu. Żałowała, że nie przygotowała sobie jakichś słów na tę chwilę. Myślała, że odpowiednie słowa przyjdą do niej we właściwym momencie, i teraz miała do dyspozycji tylko obrazy. Lekkie wybrzuszenia na lodzie. Zęby rozpaczliwie zrywające rękawiczkę. Czerwony kaptur z białym futerkiem. Przewodnik wyciągający rękę. Nieruchome ciało zsuwające się w dół.

Blask raził ją w oczy. Zastanawiała się, co powiedzieć Dianie. Słyszała, jak z tyłu Patrick woła ją po imieniu. Musiała się pospieszyć. Odnosiła wrażenie, że nienaturalnie ustawiła stopy. Co może powiedzieć Dianie?

Przepraszam. Tak mi przykro.

Rok, którego nie przeżyła. Rok, w którym nie była matką. Rok, w którym nie była żoną. Wkrótce miną dwa lata, potem dziesięć, dwadzieścia. Za dwadzieścia lat Diana byłaby w średnim wieku. Matka Margaret miała pięćdziesiąt jeden lat. Diana straciła cały ten czas, który mogła spędzić z dziećmi. Straciła szansę na wnuki.

Wszystkie te straty łączyły się w jedną, w każdej zawierały się pozostałe. Narastały jednocześnie, wywoływały wspomnienia. Margaret myślała o Rafiqu. Myślała o dziecku. Myślała o swoim małżeństwie.

Chwila fizycznego przerażenia, poczucie utraty równowagi. Zachwiała się, a potem uklękła. Wyciągnęła rękę do tragarza przed sobą i przez sekundę poczuła panikę, bo przed sobą miała pustkę. Chwyciła się kurczowo liny i zaraz tragarz ją złapał. Trzymając Margaret za ramię, wbił czekan w lód.

Odzyskawszy równowagę, poczuła, jak ogarnia ją paraliż. Wiedziała, że brakuje jej odwagi, by wstać. Nie miała pojęcia, jak to zrobić.

Przyłożyła dłoń do okularów i rozplakała się. Czy kiedykolwiek płakała z powodu Diany? Przez cały ten czas? Teraz płakała nad Dianą i nad sobą. Tragarz złapał ją z tyłu w pasie. Słyszała, jak Patrick woła jej imię. Nie mogła mu odpowiedzieć, ponieważ usiłowała powstrzymać płacz. Zaciśnęła zęby i wydała dźwięk, w którym brzmiał gniew, choć wcale go nie czuła. Tragarzowi trzymającemu ją za rękę powiedziała, że nie potrafi się podnieść.

Pokręcił głową; nie zrozumiał jej.

- Nie może wstać! - zawołał Kevin do przewodnika.

- Jest ranna? - zapytał Njoroge.

- Nie wiem! - odkrzyknął Kevin. - Nie wydaje mi się. Chyba tylko roztrzęsiona.

- Straciła równowagę! - zawołał Patrick. - Tragarze ją złapali.

- Może wstać? - zapytał przewodnik.

- Myślę, że tak - odparł Patrick. - Jestem tego pewien.

- Złamała coś?

- Nie! - krzyknęła Margaret. - Nic mi nie jest! Przewodnik przeszedł na ojczysty język, wydając polecenia tragarzom.

- Kiedy im pani powie, tragarze panią podniosą - zwrócił się do Margaret.

- Musi się pani rozluźnić i nie bać. Uratują panią, jeśli się pani odpreży i będzie robiła to, co każą. Rozumie mnie pani?

- Tak - odrzekła.

Wyciągnęła rękę, by dać znak tragarzom, że jeszcze nie jest gotowa. Pomyślała o Everdene, Kevinie i Patricku. Im dłużej będzie klęczała, na tym większe niebezpieczeństwo ich naraża.

- OK - powiedziała do tragarzy.

Usiłowała się rozluźnić, choć było to niemal niemożliwe. Podnieśli ją, ale wciąż tkwiła w niewygodnej pozycji i cała się trzęsła. Tragarze jej nie puszczali. Czekali, aż sama odzyska równowagę.

- Teraz jest pani całkiem dobra - odezwał się ten za jej plecami.

Poczekwała, aż była pewna, że mocno opiera stopy na lodzie, potem krzyknęła do przewodnika z przodu, że może ruszać.

Kiedy wszyscy zeszli z lodowca, Patrick wypiął się z liny i ruszył prosto do Margaret. Mocno szarpnął ją za ramiona.

- Kurwa, co to było?

Głowa poleciała jej do tyłu. Margaret wpatrywała się w męża. Kevin stanął za Patrickiem i położył mu dłoń na ramieniu.

- Co się dzieje? - zapytał. Patrick puścił żonę.

- Nic. Zupełnie nic.

Margaret widziała, że Kevin mu nie wierzy. Kto uwierzyłby mężczyźnie, który tak brutalnie potrząsnął żoną? Podeszła do niej Everdene.

- Tak mi przykro - powiedziała.

- Nie, to mnie powinno być przykro - sprzeciwiła się Margaret. - Zachowałam się nie fair wobec was.

Opowiedziała im wszystko. O poprzedniej wspinaczce i potrzebie uczczenia pamięci Diany.

- Miałam swój cel - zakończyła - i powinnam wam była o tym powiedzieć.

- Mogłaś się zabić - odparła Everdene.

- Przestraszyłam was. Musieliście się bać o siebie.

- To prawda - przyznała się Everdene. - Cała sprawa była przerażająca. Choć najbardziej baliśmy się o ciebie.

- To było głupie. Po prostu bardzo głupie.

- Posłuchaj, czułaś, że musisz to zrobić. Rozumiem. - Everdene łagodnie położyła dłoń na jej ramieniu. - Rozumiem też, że nie chciałaś nas niepokoić.

- Dziękuję - powiedziała Margaret.

Drugą ofiarą choroby wysokościowej była Everdene. Kiedy dotarli do Górnej Chaty, przyznała się, że strasznie boli ją głowa. Chwiejnym krokiem weszła do środka i położyła się na pryczy.

Prycze, pomyślała Margaret. Co za luksus.

Patrick zrezygnował z prób ukrywania swoich dolegliwości. Położył się na pryczy naprzeciw Everdene i zwinął się w kłębek.

Margaret usiadła koło Everdene i zaczęła masować jej plecy.

- Za kilka minut zaczniemy schodzić.

- Muszę odpocząć - jęknęła Everdene.

Margaret wyjęła worek z lekarstwami i podała obojgu aspirynę.

- Mnie też daj - odezwał się Kevin. Siedział na pryczy, trzymając głowę w dłoniach.

- Ból głowy? - zapytała Margaret.

- To i inne rzeczy.

- Daj mi znać, jeśli będziesz potrzebował imodium. Choroba wysokościowa powinna minąć zaraz po zejściu z góry. Wyruszamy za kilka minut.

Nalała wody dla całej trójki, ale Patrick nie chciał pić. Margaret wyszła przed szalas porozmawiać z przewodnikiem, który stał z rękami na biodrach.

- Wszyscy źle się czują - wyjaśniła.

Wyraz twarzy przewodnika nie uległ zmianie.

- Pani mąż mówi mi o kobiecie, która umarła rok temu. Margaret zacisnęła dłoń.

- Tak. Bardzo przepraszam. Wiem, że powinnam ci była o tym powiedzieć.

- Musi teraz pani iść na szczyt. Ngai zaprasza deszcze. Margaret uniosła wzrok. Ciemna chmura szybko przesuwała się nad Lenanę.

- Nie mogę iść na szczyt. Mąż i przyjaciele są chorzy, przypuszczalnie mają chorobę wysokościową. Musimy jak najszybciej sprowadzić ich na dół.

- Tak, zrobimy to - odrzekł przewodnik. - Ale najpierw odpoczną. Kiedy będą odpoczywać, pójdzie pani ze mną.

- Powinnam zostać z nimi - zaprotestowała Margaret. Jak mogłaby wejść na szczyt bez Patricka? Czy nie oznaczałoby to zerwania łączących ich jeszcze więzi?

- Nie - powiedział przewodnik. - Nic im nie będzie. Rozgniewała pani Ngai. Myle się?

Naprawdę rozgniewała Ngai?

- *Memsahib*. Jedyne sposobem, żeby to naprawić, to znaleźć szczyt.

- Teraz?

- Tak - potwierdził Njoroge energicznie. - Musimy iść w tej minucie.

- Boję się. - Margaret popatrzyła na strome podejście.

- Nie będzie się pani bała. Ja poprowadzę. Znowu spojrzała na Lenanę.

- Powiem im i zaraz wracam.

Kevin i Everdene już spali. Kiedy się obudzą, pomoże im zejść z góry - przez lodowiec, po piargu, przez trzęsawisko. Jeśli dopisze im szczęście, wciąż będą przyjaciółmi, kiedy już znajdą się na dole. Jeśli chodzi o Everdene, Margaret zrobi wszystko, co w jej mocy, aby tak było.

Uklękła, zbliżając twarz do twarzy męża. Zobaczyła, że otworzył oczy.

- Njoroge mówi, że muszę wejść na szczyt. Żeby odpokutować.

- Domyśliłem się.

- Przykro mi, ale chciałabym pójść.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Przemawia przez ciebie choroba.

- Wcale nie. To i tak był idiotyczny pomysł. Margaret rozumiała, o co mu chodziło. Wyznaczyli sobie

trudny cel - wejść na szczyt, by uratować małżeństwo - choć wiedzieli, że to może się okazać niewykonalne. Czy znaczyło to, że małżeństwo, które mogło przetrwać w Ameryce, w znajomym otoczeniu, nie jest w stanie wytrzymać wyzwań i moralnej złożoności Afryki? A może po prostu chodziło o to, że i ona, i Patrick - choć mieli dobre zamiary - przestali się kochać?

Pogładziła męża po plecach.

- Gdybym mogła sporządzić lekarstwo, po którym poczułbyś się lepiej, zrobiłabym to.

Patrick nie odpowiedział; jego milczenie ją rozgniewało.

- Miałaś romans z Eleną? - zapytała.

- Teraz mnie o to pytasz?

- Tak.

- Czy to ważne? Zastanawiała się przez chwilę.

- Nie, w gruncie rzeczy wcale nie.

Patrick odwrócił od niej twarz.

- Nie miałem, cokolwiek to warte. Dotknęła jego głowy.

- OK - szepnęła i wstała.

Przewodnik pokazał jej, jak włożyć raki i jak z nich korzystać. Uprzedził, że w żadnym razie nie może zdejmować okularów przeciwsłonecznych.

Niemal od razu zaczęła się pocić, po plecach przebiegały jej ciarki. Zbocze było bardzo strome, niżej żaden odcinek nie mógł się z tym równać. Zdawało się, że powietrza tu nie ma. Margaret była zaskoczona, że nie boli jej głowa.

Zamieć uderzyła, gdy byli w połowie drogi. Śnieg kłuł Margaret w odsłonięte części twarzy. Sądziła, że przewodnik zawróci, ale tego nie zrobił. Bez niego nie mogła zejść.

Przeżyła wstrząs, gdy sobie uświadomiła, jak blisko krawędzi zaśnieżonego klifu idą, jak głębokie są przepaści otwierające się w dole. Nigdy w życiu nie poważyła się na równie niebezpieczny wyczyn.

Dziwiła się, że przewodnik nie przygotował jej na niebezpieczeństwo, a potem ogarnęła ją panika na myśl, że może się pośliznąć. Njoroge nawet by się nie zorientował. Czy próba zdobycia szczytu miała być karą? Wymierzoną przez przewodnika? Przez Ngai? Margaret ledwo widziała zbrocze przed sobą; gdyby nie miała okularów, musiałyby zamknąć oczy.

Przewodnik parł w górę, droga zdawała się nie mieć końca. Tym razem Margaret i Njoroge nie byli złączeni linami, z tyłu nie szedł tragarz, by ją chwycić, gdyby spadała. Margaret utkwiała wzrok w czerwonym pasku na rakach przewodnika, żeby nie stracić go z oczu w śnieżycy.

Miała taką zadyszkę, że nie była w stanie zawołać go po imieniu.

Zaczęła iść na czworakach. Przyszło jej na myśl, że może umrzeć. Czyż wchodzenie na szczyt podczas zamieci śnieżnej nie jest objawem niepokromionej pychy? Ale Njoroge nalegał. Czemu na nią nie czekał? Jego zachowanie było niezrozumiałe.

Kiedy znowu będzie mogła swobodnie oddychać, nakrzyczy na niego, że tak ją przeraził.

Nie, pomyślała, nie zrobi tego. Wszyscy czworo na nim polegają, od niego zależy, czy bezpiecznie zejść z góry.

Teraz już ledwo miała siłę się czołgać. Zaczęła odmawiać modlitwę.

Wciąż klęczała, gdy Njoroge wyciągnął do niej rękę. Podniosła się z trudem. Na twarzy miał zawiązaną bandanę.

- Teraz się pani udało. Margaret rozejrzała się zdziwiona.

- To jest szczyt?

- Szczyt, tak.

Położyła mu dłoń na ramieniu, by złapać oddech. Czekał cierpliwie, aż mogła samodzielnie utrzymać się na nogach.

- Tu czasami wbijają flagę - powiedział. - Ma pani flagę?

- Flagę? - Pokręciła głową.

- Wszystko w porządku. Wiatr i tak je zabiera. Margaret wbiła stopy w śnieg i rozglądała się, ale nic nie widziała. Może pewnego dnia opowie Rafiqowi, że w końcu zdobyła Kenię.

- Ngai teraz pani wybaczy - powiedział Njoroge. Mimo że płatki śniegu kłuły ją w twarz, stała tam przez długą chwilę.

Jakie to zdumiewające, pomyślała. Wspięła się na górę słynną ze spektakularnych widoków, a zobaczyć mogła tylko małe białe płatki - i czy to właśnie nie jest najpiękniejsze?

TLR